



STARA PANNA.

Powieść Współczesna.

PRZEZ

Kazimierza Bujnickiego.



W I L N O.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1855.

WYDAWCA

Wydawnictwo

Warszawa

STARA PANNA.

STARA PANA

STARA PANNA.

Powieść Współczesna.

PRZEZ

Kazimierza Bujnickiego.



**INSTYTUT
BADAN LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

00-240 Warszawa

Tel. 26-68 63, 26-62-51 w. 42

W I L N O.

Nakładem i Drukiem Józefa Zawadzkiego.

1855.

STARA PANA



Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno 28 Kwietnia 1854 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.

415

PANU JÓZEFOWI-IGNACEMU

KRASZEWSKIEMU,

Snopek ten, na bogatej Jego niwie
uzbierany,

przesyłam w życzliwej dani.



PANE JOZEFOWI-IGNACIUM

KRAJNIE WSKRZYTA

Wszystko jest dla Ciebie - twoje życie

Wszystko

Wszystko jest dla Ciebie w naszym świecie

I.

W jednej z zachodnich prowincyj Cesarstwa, mieszkała, nie powiem lat temu wiele, we wsi swój dziedzicznej Julja Bogacka, podkomorzanka Pomorska, dziewica dojrzałego już wieku. Twarz jej, acz pozbawiona uroku młodości, nie była jeszcze bez wdzięku, bo czas, ów nieubłagany niszczyciel piękności cielesnej, nie śmie, rzekłbyś, tknąć pewnych nadobnych rysów któremi się na licach człowieka piękność duszy jego maluje. Oczy więc i usta panny Bogackiej zachowały słodycz spojrzenia i uśmiechu, a czoło dawną swą pogodę; lecz te oczy i usta otoczone były, jakby powiedzieć, małemi zmarszczkami, a na czole rysowały się już

horyzontalne linje, owe zdradzieckie karby ubiegłych lat dziesiątków. Kibić, niegdyś giętka, rozpierała dziś swą miąższością otaczające ją rogowe ściany gorsetu, a na pulchnej rączce omal nie pękały paryzkie rękawiczki; o zgrabnym zaś trzewiczku ani już myśleć, lecz tu jej przyszła na pomoc moda długich sukien ukrywająca małą deformacją klassycznej niegdyś nóżki. Taką była nasza Julja w chwili gdy zaszły w jej życiu przygody, które opisać przedsięwziąłem.

Czytelnicy, a bardziej jeszcze czytelniczki ciekawe być muszą dowiedzieć się nasamprzód, czemu to dobrą, piękną i majątną dziewicę spotkał los, co go niektórzy niefortunnym zowią, pozostać *starą panną*? Mógłbym zbyć krótką odpowiedzią: że przykład już to nie pierwszy, że tak chciało przeznaczenie i t. p. Wolę jednak nieukrywając prawdy, wyjawić głównejsze tego faktu przyczyny.

Julja była młodszą córką majątnych rodziców i miała siostrę imieniem Klara, upośledzoną nieco od natury. Brak wdzięków w starszej siostrze, silniej wpadał w oczy obok piękności młodszej, cały więc rój aspirantów nawiedzających dom państwa Bogackich przekładał naturalnie piękną nad szpetną. Rodzice to widzieli, a nie chcąc aby jedna

z ich córek osiadła na koszu, postanowili, i święcie się nawzajem obowiązali słowem, aby Julję nie wydać pierwój za mąż, aż ją w tém uprzedzi Klara. Jak na nieszczęście, żaden z tych którzy się Klarze podobali nie zapragnął jej ręki, a kilku innym starającym się o nią odmówiła, już to że się jej zdawali spekulować na posag, już prosto że zjednać serca jej ku sobie nie potrafili. Boleli nad tém rodzice, lecz nie było w ich myśli zmuszać niebogę do małżeństwa, oczekiwali więc azali się nie nadarzy w końcu przyzwoita dla niej partja, a tymczasem ubiegały lata osłabiając w nich nadzieję urzeczywistnienia tej chęci, bez zachwiania wszakże w uczynionem raz postanowieniu. Dodać trzeba, że lubo kochali obie swe córki równą miłością, postępowanie ich z niemi, skierowane ku rzeczonemu celowi, stawało się niejednakowe. Stawiając Klarę na pierwszym planie usuwali Julję w głąb widowni, tak iż zaprząttniona spełnieniem wielorakich poleceń swjej matki, rzadko ukazywała się gościom, podczas gdy tamta w gustownym, lecz niestety, niemogącym upiękrzyć ją stroju, przewodziła zabawom w salonie. Klara towarzyszyła matce przy odwiedzinach w sąsiedztwie, jeździła z nią do miasta na karnawał, Julja zostawała w domu przy

ojcu, pod pretekstem potrzeby dozorowania kobiecego gospodarstwa, a rzeczywiście aby nie zawadzała siostrze w znalezieniu męża. Przykrém było jój z razu to wyłączenie; wychowana w posłuszeństwie rodzicielskiej woli, nie narzekała głośno, lecz bolała w duszy widząc sobie odmówione przyjemności których jój siostra używała z całą swobodą. Gdyby więc wrodzona prawość, zdrowy rozsądek, i, co jeszcze rzadszą w dziewczynie, reflexja nie obwarowały jój serca od zawiści, byłaby znenawidziła Klarę; gdyby zaś nie rezygnacya z gruntownej pobożności pochodząca, oddałaby się smutkowi, zasępiłaby humor swój pogodny, i byłaby była nieszczęśliwą. Lecz gdy skutkiem rozwagi należycie pojęła położenie siostry, uniewinniła ją w swém sercu, a w postępowaniu rodziców nie ujrzała już nic niesprawiedliwego. „Rodzice kochają nas obie za-
 „równo (mówiła sobie), lecz jam piękniejsza od
 „mojej siostry, więc to nieszczęście nakazuje trzy-
 „mac mię w ukryciu żebym jój nie zagradała świa-
 „ta i szczęścia. Wyjdzie za mąż Klara, wówczas
 „kolej na mnie, a tymczasem cierpliwie i wesoło
 „znośmy co Bóg przeznaczył. Smutek niszczy zdro-
 „wie, wesołość je utrzymuje. Przystając być zdro-
 „wą, przestałabym być ładną, a wtedy *adju!* nie

„wieleby mi pomogło tańcować na weselu Klaruni.
 „Więc tak zrobię: panu Wincentemu (był to jak
 „się domyślacie wybrany jej serca) powiem, że bę-
 „dę dlań stateczną, niechże i on się nie zmienia,
 „a tymczasem niech stara się wyswatać kogo Kla-
 „rze. Sama zaś, aby głowy nie trudzić próżnemi
 „myślami, zajmę się gospodarstwem jak najpilniej,
 „i przyda się to w czasie, jeżeli mi sądzono zostać
 „gospodynią własnego domu. Ot tak, i wszystko
 „pójdzie dobrze. A modlić się będę gorąco na in-
 „tencją biednej Klary.” Taki sobie nakreśliwszy
 plan postępowania, wykonywała go stale, i była
 szczęśliwą. Zwinnie się krzątała około gospodar-
 stwa, wyręczając sędziwą matkę we wszystkiem,
 i wszystko też pod jej okiem szło jak najlepiej.
 Lubiła ogrodnictwo, a najbardziej kwiaty: lubiła je
 prawie jak pana Wincentego, i to była cała poety-
 czna strona jej życia. Julja tedy postępowała w la-
 ta bez troski, a przynajmniej ze spokojną rezygna-
 cyą a zatem z pogodą duszy; lecz wyrachowany
 plan państwa Bogackich całkiem się im nie udał.
 Oparli na rozumowaniu postępowanie swe w rze-
 czy, którą po chrześcijańsku powinni byli zdać na
 wolę Najwyższego, a chcąc koniecznie wydać za mąż
 obie córki, poumierali osierocając jedną i drugą

w panińskim stanie. Młodsza liczyła sobie wtedy spełna lat 30, o wieku starszej niktby dobrze nie powiedział, bo szpetne twarze mają ten przywilej, że się starzeją nieznacznie. Nieszczęsne wotum rodziców, zstąpiło wraz z niemi do grobu; Julja była teraz wolną stanąć na kobiercu kiedy sama zechce, i czytelnicy oczekują może przybycia owego pana Wincentego po słodką nagrodę stałości. Ach! Pan Wincenty dawno już był mężem innej! „Niegodziwy! — (wykrzyknie która z czytelniczek) „a biedna Julja? jakże zniosła to wiarołomstwo?” Ile wiem zniosła je mężnie, z żalem lecz z godnością, nieoddając się rozpacz. Znowu reflexja przysła jej na pomoc do ukojenia boleści zranionego serca. „Stałość w kochaniu (powiedziała sobie w końcu), warunkową jest w słabej ludzkiej istocie. Pan Wincenty stałym był przez całe dwa lata, widać że ta cnota w charakterze jego do wyższego zakresu wznieść się nie mogła. Ilużby to innych nie wytrzymało i do połowy tego czasu. Czytałam w książkach o cudach stałości, lecz w rzeczywistym świecie nie słyszałam o nich. Może się ludzie zmienili, może nabywając coraz większej ogłady, pozbywają się pierwotnego hartu swej duszy. A kiedy tak jest, cóż winien pan

„Wincenty że wraz z innemi ten hart utracił?
 „Ofiarujmyż Bogu nasz frasunek, i starajmy się za-
 „pomnieć o tém co niegdyś mile kołysało serce.”
 Oto jak poczciwa dziewczyna rozmyślając sobie
 w prostocie umysłu, potrafiła oddalić od siebie
 gwałtowność żalu po stracie niestałego kochanka.
 I niech piękne czytelniczki nie posądzają mojej bo-
 haterki o nieczułość serca. Charakterem prawdzi-
 wej czułości jest łagodność w osądzeniu win cu-
 dzych, i gotowość do odpuszczenia choćby najbole-
 śniejszej urazy; jest wyrozumiałość na słabości
 ludzkie, i poddanie się wyrokom Nieba bez szem-
 rania; a gdy takiej czułości serca towarzyszy roz-
 sądek i zamiłowanie pracy niedopuszczające imagi-
 nacyi błąkać się w krainie marzeń, łatwo wte-
 dy przychodzi kobiecie panować nad sobą, zatrzeć
 w umyśle bolesne wrażenie i uleczyć rany serca,
 choćby nawet ręką ukochanego zadane. Ależ to
 bohaterka prozaiczna!— rzecz znowu jaka zwolen-
 niczka powieści namiętnych.

A cóż tu poradzić— odpowiadam— gdy ją taką
 Bóg stworzył, a jej biograf nie chciał czy nie umiał
 zrobić z niej Lelją, lub coś podobnego. Zresztą
 trzeba trochę cierpliwości piękne panie; pomnijcie
 na tytuł tej powiastki, a jeśli się autorowi uda zro-

bić ją cokolwiek zajmującą, przyzna może mu która z was kiedyś niemałą zasługę.

Julja tedy przebaczyła panu Wincentemu, zaprzyjaźniła się nawet z jego żoną, i przekonała się, poglądając na ich niewzorowe pożycie, że nie-stałość kochanka wyszła jej na dobre. Lecz to odkrycie uczyniło ją trwożliwą w wyborze męża, a gdy się jaki ukazał konkurent, patrzyła nań niedowierzającym okiem i mówiła sobie: „Kiedy pan Wincenty, który mi się wydawał młodzieńcem bez wady, dziś, gdy go znam lepiej, dowodzi żem się w tem myliła, któż zaręczy iż ten co się obecnie do mnie zaleca, nie będzie gorszym od niego?

Na zasadzie tego syllogizmu odmówiła kilku, czego jej nie chwalimy. Ze zbytcej ostrożności częstokroć opuszczamy szczęśliwe zdarzenie, które jak wiemy chwycić trzeba w locie. Może też i to naszej Julji stawało na przeszkodzie, że przebywszy lat 30 w panińskim stanie i rozumnie się doń stosując, uczuła się w końcu szczęśliwą; nie do tego zaiste stopnia, żeby jej poczciwe i czułe serce nie-doznawało czasem tęsknoty za innem szczęściem, które zdaje się być przeznaczeniem niewiasty na ziemi, lecz tyle przynajmniej, że gdy przyszedł

czas wybrania dla siebie męża, brała tę rzecz na uwagę bez zapалу, owszem skłonna była, jak widzieliśmy, zaufać więcej rozsądkowi niż sercu. Zobaczymy w dalszym ciągu tej powiastki, azali się jej serce kiedykolwiek praw swoich nie dopomni.

Spytacie teraz co się działo z Klarą?— Ach! nie-szczęśliwa ta istota prawdziwie godną była litości. Rodzaj życia jaki, z winy swych rodziców, wiodła przez czas tak długi, wprowadził ją w próżnowanie, w marne zaprzątanie się toaletą, wyszukiwanie barw i stroju posługujących nie do podniesienia wdzięków których nie miała, lecz do złagodzenia twardości rysów twarzy i niekształtności kibici które ją szpeciły. Dzienniki mody były jej całą lekturą, narady z krawcem, z haftarką, targi z kupcami i korespondencya z miastowemi modystkami całym jej zajęciem. Cóż dla niej przyniosły wszystkie te codzienne trudy? Oto, że na każdym balu, w każdym towarzystwie, znajdowano ją najlepiej ubraną i razem najszeptniejszą ze wszystkich pa-nien. W wiosnie swych lat, świeżość lica, blask oka, ten kwiat młodości, co go zowią *la beauté du diable*, przy gustownym stroju, ratowały ją od przymiotnika *szpetnej*, słyszano nawet lwów salo-nowych nazywających ją *une beauté bizarre*, co ona,

za pomocą poszeptu miłości własnej, brała za synonim *beauté piquante*. Gdy zaś jeden z jej adoratorów, posunął grzeczność aż do znalezienia rodzaju jej piękności wyższym od pospolitej gładkości Julji, przewróciło się nieboracze w głowie, stała się surową, ba, nawet wybrędną w wyborze, przekonana, że kogo zechce tego wnet ujrzy niewolnikiem swjej piękności *bizarre ou piquante*, dość że *niepospolitej*.

Tak przeleciał wiek wiosenny, wiek ideałów i żłudnych marzeń, nadeszło skwarne lato, kwiat rozwinięty niepodobny już był do swojego pączka, puszek świeżości zeń uleciał, a przydomek *beauté bizarre* zamienił się w ustach lwów niemiłosiernych na inny straszliwy: *laideur personifiée*. Już temu żaden synonim zaradzić nie był w stanie, a co gorsza, zwierciadło zdawało się wchodzić w spisek ze lwami. Dopieroż żal niewczesny i katusza wspomnień: „Ach! czemużem nie poszła za bogatego „pana Jana?— czemu pogardziłam ubogim panem „Tomaszem?— a pan Rafał?— a pan Apolinary?— „Do każdego coś upatrzyłam, zawsze mi się chciało czegoś lepszego, a dziś— dziśbym już wzięła „Bóg wie jakiego, byle nie zostać starą panną! „Możesz co być nieszczęśliwszego jak być starą

„panną! Dziwna ta Julja, nie stracha się wcale
 „tego losu. Byle gospodarstwo szło dobrze, a
 „w ogrodzie dużo było drzew i kwiatów, już ona
 „szczęśliwa i o nic się innego nie troska. Istota
 „ograniczona, nie zdolna sięgać wzrokiem w przy-
 „szłość, cieszy się chwilą obecną, jakby ta nieula-
 „tywała, uwija się około domu, śmieje się w za-
 „wody ze swemi dziewczkami, zajada z apetytem,
 „śpi na jednym uchu, i konserwuje się doskonale,
 „jakby piękność była jej na co potrzebna. Niespra-
 „wiedliwa naturo! pocóżes mię obdarzyła umysłem
 „wyższym, duszą ognistą, smakiem delikatnym,
 „kiedyś mi tak skąpo udzieliła powierzchownych
 „wdzięków, za któremi przebrzydły ród męzki prze-
 „pada jak głupi; tak, iż bez tego przydatku przy-
 „mioty ducha w niewieście nie prawie nie ceni!—
 „Na szczęście, pieniądz wielką u tego rodu ma war-
 „tość, a mój posag nie lada; znajdzie się więc kon-
 „kurent — myśl mię ta boli bo upakarza, lecz
 „z dwojga złego wybrać trzeba mniejsze — tak jest,
 „wolę wziąć jakiegokolwiek męża anizeli zostać
 „starą panną.”

— „Ja zaś (mówiła tymczasem do siebie Julja),
 „wolę sto razy zostać starą panną jak się oddać
 „człowiekowi niegodnemu całej mojej miłości.”

Oto jak z nich każda myślała, a czas okazał która wyszła na tém gorzej.

Znalazł się naresztę aspirant do ręki panny Klary. Dymisyonowany półkownik, któremu odebrano półk za złe obchodzenie się z podkomendnymi, a to z przyczyny częstego zakrapiania się grogiem, i co też zrujnowało do szczytu jego finanse. Miał i wioseczkę, lecz ta była opisaną za *deficyt* w półkowym *jaszczyku*. Wykręcił się jakoś z pod sądu, ale potrzebował na głowę pieniędzy na wyelibowanie swęj jedynej wioseczki. Zastłyszawszy więc o niemłodej, nieładnej a posażnej pannie, nie tracił czasu. Wyczernił należycie krótko ostrzyżoną szpakowatą czuprynę i sumiaste wąsy, wdział na siebie mundur ze szlifami (dla większego efektu, chociaż nieprawnie ale na partykularzu nie lękał się żadnej z tego złej konsekwencyi), pozawieszał na szerokiej piersi krzyże i medale na nowiutkich wstążeczkach, i wsiadłszy do starego odnowionego koczyka pędził do przedmiotu gorących swych westchnień. Przybywszy do domu dwóch dziewic, i bez meldowania się wszedłszy do salonu, znalazł tam Klarę przygotowaną do przyjęcia gościa, bo to jęj było codzienną myślą, nieodstępłą nadzieją. „Do „, djabła (rzekł sobie w duchu) szpetna jak mój sta-

„ry mantelzak—ale z tém mniejsza, kiedy dwakroć „sto tysięcy pod poduszką. Więc marsz do ataku!” Pięknie tedy wyprostowany szcęknął ostrogami i po żołniersku sam się zarekomendował krótko i zwięźle. Przypomniawszy jakieś dawne przyjacielskie stosunki między Klary i jego rodzicami (o czém ona nigdy wprawdzie nie słyszała, lecz uwierzyła bez trudności słowu wojownika wysokiego stopnia), po czém gdy zaczął prawić o swęj wojskowej karierze, o kampanjach odbytych z chwałą, o szturmach, atakach, transzeach, redutach i przedmostowych szanцах, wyrosł wnet w oczach Klary na olbrzyma wojny, i podbił jęj serce równie swą marsową fizjognomią, swemi sutemi szlifami, jako i prozopopeją swych walecznych czynów. Biedna dziewczyna czytała *Les Chevaliers du Cygne* pani de Genlis, i zdawało się jęj, że jednego z tych zuchów miała w tęj chwili przed sobą. Dano herbatę, Julja weszła, i pan półkownik rekomendując się jęj z kolei, poczynął się wahać, i mówił do siebie: „Aj, co ta, to dalibóg piękna! czy nie lepiejby by- „to do nięj wyrzyczować baterię?” lecz wnet, jako doświadczony, spostrzegł, że na nią nie rzucił tego uroku co na starszą, że nań nie patrzyła wcale, a słuchała go z miną jakby trochę drwiącą gdy po-

wtarzał swoje rodomontady. „Ba! rzekł znowu „w duchu, mnie tu chodzi głównie o majątek, ta „więc z dwóch lepsza która pewniejsza” — i znowu swe attencye obrócił do Klary. Przy pożegnaniu prosił, aby mu wolno było składać jej swe hołdy; a gdy na to otrzymał zezwolenie, nie zwlekał już najmniej, i za drugą wizytą serce swe wraz ze szlifami u pięknych nóg złożył. Julja radziła siostrze nie śpieszyć z przyrzeczeniem aż się da lepiej poznać kawaler, lecz Klara oczarowana blaskiem rycerskiej postawy i dzielną wymową konkurenta, nie usłuchała siostry. Tyle więc tylko zostawiła sobie czasu, ile potrzeba było do zakupienia nowych strojów i błyskotek, i do zrobienia z Julją działu wspólnej ich fortuny. Po kilku miesiącach, ślubowiny odbyły się prywatnie, a półkownik uszczęśliwiony, żałował jedynie że w dniu tak uroczystym nie było mu się z kim upić. Julja na prośbę siostry zgodziła się mieszkać czas niejaki u nowego małżeństwa, i wprędce przekonała się naocznie jak nieszczęśliwie Klara omyliła się w swoim wyborze. Po kilku bowiem tygodniach, półkownik przestał się żenować: coraz częściej zaglądał do szklanki, coraz się stawał hałaśliwszym i despotyczniejszym. Dopóty tylko udawał czułego i nadskakiwał żonie,

dopóki nie wyłudził u niej znacznej kwoty pieniędzy i nie uwolnił swęj wioseczki z pod sekwestru. Przerazona Klara nagłą zmianą humoru i postępowania z nią męża, używała wszelkich środków jakiego jej podawało szczere do niego przywiązanie, aby go odwodzić od zbytkowania w trunku, i zwrócić na tor przyzwoitości. Próżne w tém były jej zabiegi: wrodzone i zhartowane w wojskowej służbie brutalstwo, wzmagalo się pod wpływem spirytusowych napojów do tego stopnia, że gdyby obecność Julji nie stawała mu na przeszkodzie, byłby dom cały przewrócił i żonie by dał może uczuć ciężar swojej ręki. Piękność Julji i charakter jej łączący w sobie dobroć z energją, działały przeważnie na ten umysł dziki, tak iż nawet w paroksyzmach pijanstwa, gdy zdawało się że już go nic nie uhamuje, jej głos uciszał w nim burzę, i choć się po cichu dąsał, nie śmiał w obec niej dopuszczać się żadnej nieprzyzwoitości, lecz ucałowawszy jej rękę, odchodził mruczając, by się rzucić na łóżko i pogrążyć we śnie wezbrane swe zwierzęce namiętności; rzekłbyś, zjadliwy brytan wracający warcząc do barłogu na rozkaz swojego pana.

Gdy tak panowanie Julji nad szwagrem sprawiało z jednej strony pomyslny skutek, z drugiej na

nieszczęście rodziło nową niedolę. Człęk ten namiętny, bez żadnych zasad, wierutny egoista, uczuł do niej ów niecny pociąg, jaki rodzi piękność niewiasty w sercu rozpustnika. Bystry wzrok Klary spostrzegł to wprzód, nim prosta i cnotliwa Julja mogła się nawet domyślić podobnej zgrozy. Tkliwe jego spojrzenia i słowa, brała, w swjej nieznajomości ludzkiego serca, już to za uczucia przyjaźni, już za skutek winem rozgrzanej głowy. Karciała te wybuchy czułości surowym wzrokiem i poważnym napominaniem, lecz wystawić sobie nie mogła żeby ten gbur i pijak mógł się przejąć uczuciem miłości. Serce jej prawe i czyste, niewyobrażało sobie innego kochania jak ten ogień święty, który się w niem kiedyś zatlił dla niewdzięcznego pana Wincentego, i zagaśł potem skutkiem silnej woli. Zazdrość Klary bolesnym ciosem otworzyła jej oczy i ukazała brzydką tę stronę zepsutego świata, która dotąd była przed nią ledwie niezupełnie zakrytą. Z razu nie pojmowała przynówek siostry, dziwiła się nagłej zmianie w jej uczuciach ku sobie, lecz gdy jednego razu Klara w uniesieniu zazdrości, jaśnie się przed nią wytłumaczyła ze swych podejrzeń, zrozumiała nareszcie nieboga z przerażeniem rzecz całą, i czując się śmiertelnie obrażoną

przez obojgu małżonków, nie zwlekała ani chwili, by ich pożegnać. (*)

Nieszczęśliwa Klara, oddalając tym sposobem od siebie siostrę, straciła jedyną swoją podporę, jedyną obroicielkę. Wystawiona już bez żadnej zasłony na brutalstwo męża, rozjątrzonego do szaleństwa odjazdem Julji, można sobie wystawić, jaki los ją czekał.

Julja, przybywszy na mieszkanie do pięknej wsi, co się jej była dostała, długo nie mogła ukoić w swjej duszy frasunku z owego nieszczęsnego wypadku. Gniew nie miał miejsca w poczciwem jej i pełnem dobroci sercu; zapomniała prędko o niesłusznych przymówkach zazdrośnej Klary, czuła pogardę i odrazę bez nienawiści ku bezecnemu szwagrowi, lecz boleśne wrażenie pozostało w jej umyśle, pozostała

(*) Może się wydać komu rzeczą nieprawdopodobną żeby 30-letnia panna w takiej być mogła niewiadomości względnie zbyt pospolitego na świecie zepsucia. Odpowiadamy na to, że, dzięki Bogu, są jeszcze niewiasty tak bogobojnie i dbale wychowane, że im na myśl nie przychodzi posądzać bliźniego o jaki podobnie szkaradny występki. Niewinność, to jest prawdziwa czystość serca, może przetrwać, szczególnie w kobiecie, do najpóźniejszego wieku. I nie tylko *a priori* o tém konkludujemy, lecz mieliśmy żywe tego przykłady przed oczyma.

dreńcząca pamięć krótkiego jej pobytu w tym nie-
szczęsnym domu, bezskuteczna litość nad losem sio-
stry niemogącym się już naprawić, a w końcu za-
szczepione w duszy podejrzenie co do ogólnego cha-
rakteru mężczyzn, których nieinaczej już dzieliła
jak na lekkich i fałszywych. Samotność dodawała
goryczy jej smutkowi: nie miała z kim go podzie-
lić, czuła potrzebę towarzystwa, pomocy, przyja-
źni, ale nie miała odwagi szukania tego wszystkie-
go w mężu. Małżeński związek wyglądał jej czémś
tak strasznym, że odpychała od siebie wszelką myśl
o nim. Z kobiet nie było w tej okolicy żadnej z któ-
rąby się zaprzyjaźnić mogła. Miała wprawdzie dwie
cioteczne siostry z których każda radaby była mie-
szkać przy niej, lecz jedna z tych dobrych kobiet
zbyt była gadatliwa i ruchawa, druga przeciwnie
ociężała i milcząca, bo głucha. Ostatnia była wdo-
wą na szczupłym dożywociu, i miała 7-letnią cór-
kę której nie była w stanie dać należytego wycho-
wania. Julja wzięła więc do siebie tę dziewczkę
i zajęła się nią jakby własną córką, co jej osła-
dzało samotne godziny. Lecz obok tego potrzebo-
wała jeszcze kogoś coby dozierał męzkiego gospo-
darstwa, interesów i zajmował się gośćmi, co nie
rzadko i licznie niekiedy u niej się zbierali. Pomi-

mo bowiem czwartego już krzyżyka, zwabiła niechęca ku sobie czcicieli różnego kalibru i wieku. Przykre to zaiste położenie dla panny mieszkającej na wsi; cóż gdy ona tak lubiła swoją wieś, swój Julin, tak też kochała swych kmiotków wzajem do niej przywiązanych, że za nicby się nie przeniosła do miasta. Trzeba jej tedy było poważnego pomocnika, i znalazł się na szczęście, jakiego żądała, w osobie dalekiego krewnego, którego los opaczny postawił w potrzebie szukania dla siebie obowiązku w zamożnym domu. Pan Jakób Bogacki, z tytułu rotmistrz a z osoby wdowiec podstarzały, nieszczęśliwy w małżeństwie i w procederze, w który go wciągnęła chciwość niesumiennego a możnego sąsiada, ujrzał się w końcu bez żony i bez majątku. Pierwszą mu śmierć zabrała, i tego nie nazywał niedolą, drugi pochłonał przegrany proces, co go już przywiodło do prawdziwej nędzy. Jedynym co mu pozostał skarbem był syn; śliczny, pełen zdolności chłopak, którego oddał do szkół, i miał już tam zeń pociechę, lecz brakowało środków do utrzymania go przyzwoicie i posunięcia wyżej w naukowym zawodzie. Lucyan Bogacki liczył sobie lat 13, kiedy znękany niedolą ojciec jego zakołatał do drzwi Julji, i został przyjętym więcej jak krewny,



aniżeli sługa. Rotmistrz był człowiek z głową nieco lekką lecz z sercem poczciwem i łatwo się przejmującym wdzięcznością; mierność talentów zastępowało w nim doświadczenie, a w szkole nieszczęścia nabył roztropności której mu brakowało za młodu. Był to jeden z tych ludzi którzy lepiej prowadzą interesa cudze aniżeli własne; wtenczas tylko pracowici i baczni gdy im koniecznie być takimi nakazuje sumienie. Nie zawiodła się więc Julja poruczając mu zarząd swój fortuny; znalazł nawzajem rotmistrz posadę swoją tak dla siebie przyjemną, i tak dla jedynaka swego pożyteczną, że mu już prawie nie żal było straconego mienia. Lucyan przepędzał wakacje w Julinie; rzeski, hoży i bystry malec, współ z małą, ładną i wesołą Teklą, niewinnemi igraszki i dziecinnym tak miłym dowcipem, napełniali chwile Julji weselem, i dzielili między sobą jej serce. Lata bieżyły, lecz ona nie zdawała się na to zważać, czuła się w swym stanie i położeniu szczęśliwą, a ztąd czcicieli swoich niemiłosiernie jednego po drugim wyprawiała z koszykiem po grzyby. Atoli, na czas niejaki bieg ten pogodny jej życia przerwany został bolesnym wypadkiem.

Po zerwaniu stosunków z siostrą, rzadko ją ztam-

tań dochodziły wieści. Klara się wprawdzie upamiętała, a dobra Julja odpuściła jej z serca swoje urazę, ale już do dawnej między sobą poufałości nie wróciły. Zapewne półkownik stał temu na przeszkodzie, nienawidząc teraz szwagierkę, i niedozwalając żonie żadnej z nią komunikacyi, w bojaźni może żeby nie szukała u niej pomocy i obrony przeciw jego brutalstwu, i przeciw zamachom na zagarnienie jej majątku.

Dnia jednego w późnej jesieni, gdy Julja siedziała sama w swojej sypialni, drzwi się nagle otworzyły, i ujrzała przed sobą postać, a raczej cień Klary, taką w niej znalazła zmianę. Nieszczęśliwa rzuciła się jej na szyję, i długo, dla rzewnego płaczu, słowa wyrzec nie mogła. Nareszcie wyjękła głosem rozpachy, że z własnego domu uciekła piechotą, nie mogąc znieść już dłużej prześladowań męża, jego tyranji, rozpusty i wymagań. Przyszło do tego że z pistoletem w ręku chciał ją zmusić do podpisania weksłu na znaczną bardzo sumę, a gdy z przestachu zemdląła, niecny ten człowiek ocuciwszy ją, zostawił by do sił wróciła, i zapowiadając że niebawnie wróci, zamknął na klucz drzwi jej pokoju. Po tym napadzie, nie zostawało już jej nic więcej jak szukać ratunku w ucieczce.

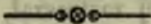
Nie zwlekając też chwili, zabrała z sobą jakie mogła kosztowności i wyniosła się oknem do ogrodu, ztamtąd zaś śród okropnej słoty dobiegła do wsi, gdzie usiadła na chłopski wózek i tak do Julina szczęśliwie się dostała. „Ach najmilsza siostrze, do-
 „dała kończąc opłakaną swą powieść — nie słucha-
 „łam rozsądnej twój rady, płocho się oddałam nie-
 „znajomemu mnie człowiekowi, i dobrowolnie się
 „tém skazałam na niedolę, a później przez również
 „nierozumną zazdrość, pozbawiłam siebie twój opie-
 „kuńczyj straży, i dopełniłam miary mego nie-
 „szczęścia.”

Czuła Julja płakała z nią, pocieszała niebogę, ulokowała ją jak najwygodniej, i najstaranniej się zajęła jej zdrowiem i interesem. Rotmistrz niezwłocznie poczynił w imieniu półkownikowej potrzebne kroki do prawnej separacyi z niegodnym mężem i do wydobycia z jego szponów fortuny nadwężonej bezładem i marnotrawstwem. Nie pomogły półkownikowi pieniackie wybiegi, daremnie takż próbował prześlagać małżonkę i przysięgał życia swego poprawę, ona już słyszeć o nim nie chciała, a gdy jego złe sprawy nadto były jawne, ażeby jakakolwiek w téj mierze pozostawała wątpliwość, przegrał proces kompletnie. Władza duchowna za-

dekretowała zupełną separacją, a sądownictwo skasowało niesłuszne męża do majątku żony pretensje. Wrócił tedy półkownik do swej wioseczki jak był z niej wyszedł, to jest z długiem. Klara odzyskała wolność i majątek, ale straconego zdrowia nikt jej powrócić nie mógł. Niszcząca powolnie lecz nieuleczona niemoc, wtrąciła ją naresztę do grobu. Umarła na rękę Julji wkrótce po wygranym ze swym mężem procederze. Uszła wprawdzie losu, który ją kiedyś najbardziej zastraszał, umrzeć starą panną, lecz za późno spostrzegła, że gorszy los spotyka niewiasty w źle dobraném małżeństwie. Oby się panny wychodzące z młodości przejęły silnie tą prawdą, aby im ta nauka w las nie poszła.

Julja ukoivszy żal po stracie nieszczęśliwej siostry, stała się jedyną dziedziczką spadłego po rodzicach majątku, o drugie tyle zatem bogatszą. Liczba fatalna 40 wypadła z księgi chrestnych wpisów, ale błogi numer 50,000, jaśniał jako summa summarum czystego rocznego dochodu, na kartach księgi jej kasjera, pana rotmistrza. Na giełdzie spekulacyj matrymonialnych, stosunek taki nie ma nic zastraszającego dla ryzykujących stawki, nadewszystko gdy znajome powszechnie dobre przymioty przedmiotu spekulacyi, konsolidowały kurs

jego reszty, i podnosiły ją do wysokich procentów. Julja, którą przepraszam najmocniej za powyższe metaliczne porównanie, Julja, mówię, ujrzała więc u stop swoich podwojoną liczbę wzdychających do pięknych oczu jej szkatułki, jak mówi cytowany bez końca a zawsze trafnie, skąpiec nieoszacowanego Moljera.



2.

Jeżeliśmy za głęboko może zabrnęli w przeszłość panny Julji, niech łaskawi czytelnicy raczą sobie przypomnieć, żeśmy to uczynili nie tak z dobrej woli, jak z potrzeby wytłumaczenia przyczyn dla których bohaterka nasza posiadająca wszystkie warunki do pomyślnego wstąpienia za młodu w stan ś. małżeński, została starą panną. Ocenienie tych przyczyn zostawujemy wyłącznie czytelniczkom, a sami wracamy do terażniejszości, to jest do epoki od której dopiero powieść nasza bierze początek. Jesteśmy tedy na wsi u panny Julji Bogackiej, i pozwalamy sobie wprowadzić czytelnika w piękny dzień letni, na obszerny, podłużny czworobok ubity żwirem i narysowany arabeskami grządek pokrytych

dziećmi wdzięcznej Flory (używając wyszłej już z mody przenośni), między którymi rozrzucone tu i ówdzie wznoszą się klomby ładnych krzewów. Kwietnik ten jednym ze swych krótszych boków przypiera do mieszkalnego murowanego domu z balkonem, a drugim przeciwległym do kształtnej altany ocienionej białą i żółtą akacją; dwie zaś boczne dłuższe jego ściany tworzą cieniste z lip strzyżonych aleje, tak gęste i sklepione, że do ich wnętrza żaden promień słońca przeniknąć nie może, a ztąd w upały letnie do wielce przyjemnej służą przechadzki. Po za temi alejami leżą obszerne ogrody, jeden owocowy, a drugi z potażerją, inspektami i cieplarnią. Nigdzie przepychu ani nawet wytwornego smaku, coś jakby trochę po staroświecku, a jednak miłe dla oka, bo serce zacnej niewiasty dziwnie dobrze kieruje jej ręką, w ozdabianiu zamieszkałego przez nią miejsca.

Godzina siódma ranna. Na kwietniku nie widać nikogo, prócz ogrodnika, sędziwego Macieja z krzywym nożem w rękę, poważnie stąpającego pomiędzy rabatami i pilnie oglądającego kwiaty. Stary ówik wybiera regularnie tę godzinę do zajmowania się tą częścią ogrodu, wie albowiem, że pani jego lubownicza kwiatów, będzie tędy przechodziła ze swém

domowém towarzystwem do altany na śniadanie. Jakoż nie czekał długo: panna Julja ukazała się na balkonie, za nią wybiegła 17-letnia blondynka, świeża jak jedna z różyczek rozwijających się na parterze, była to jęj siostrzenica i wychowanka Tekla, a po chwilię szybkim krokiem nadszedł rotmistrz, i podając ramię kuzynce, uważnie ją sprowadził z ganku. Posuwała się wolnemi ruchy pulchna dziewczica, oglądając z lubością liczne swoje, różnego kształtu, barwy i woni ulubieńce, klepnęła po ramieniu Macieja, na którego czerstwej twarzy zajaśniała radość i duma, i skierowała się potem ku altanie, podczas gdy Teklunia tu i ówdzie zrywała po kwiateczku dla cioci i dla siebie na bukiet. Maciej na to spoglądał z ukosa, marszczył się i mruzczał jak sknera, gdy mu kilka groszy wymyka z kasety, rotmistrz drażnił starego drwinkami, a potem na zgodę sypał mu na dłoń z rożka tabakę bernardynkę, świdrówkę, którą Maciej lubił namiętnie. Gdy zasiedli w altance, przyniesiono śniadanie, a ponieważ wszyscy troje od dwóch godzin już byli na nogach, wzięli się więc z apetytem, Julja do kawy, Tekla do śmietanki a rotmistrz do polewki. Wypróżniwszy swój talerz, starzec otarł usta, zażył tabaki, zadumał się trochę i głęboko westchnął.

— Wzdychasz kuzynie — rzekła doń Julja; zgaduję przyczynę frasunku i wierzaj że go podzielałam. Lucyanek cię niepokoi?

— A już ciż, ten błazen za pozwoleniem kuzynki. Wszakże to blisko trzy lata jak nam nie pokazał oczu. Zasmakował sobie pono pieścioszek w miastowém życiu, a to djabła warte za pozwoleniem kuzynki.

— Posądzasz go niesłusznie. W pierwszym roku czas wakacyjny nieborak przechorował, a z rozpoczęciem uniwersyteckich kursów, wziął się do pracy z takim natężeniem, że znowu piersi sobie osłabił i następnego lata z rady lekarzy do wód jeździć musiał.

— I na tę podróż wiem od kogo miał sobie posłane pieniądze (przerwał rotmistrz patrząc na Julję z wyrazem uwielbienia i wdzięczności). Ale po licha, za pozwoleniem kuzynki, tak mu było ślęczeć nad książką, że o włos nie dostał suchot? Bieda z naszą młodzieżą? Większa część lubi próżnować, a który pracowity, to jak się zapali do nauk, chciałby zostać ósmym mędrcećm świata, osiąść wszystkie umiejętności, co przecie jest niepodobieństwem; dla tego też nie jeden w tym zapędzie albo zdrowie, albo rozum nadweręża.

—Pod ostatnim przynajmniej względem—wrzuciła Julja—niema się czego obawiać o Lucyanka; listy jego dowodzą, że się w nim rozum pięknie rozwinął.

—Pisze hultaj nienajgorzej—mruknął z wewnętrzną radością starzec—ale, właśnie chciałem powiedzieć, że już kilka poczt przeszło jak nie pisze wcale, i to mię o zdrowie jego czyni niespokojnym.

—A może już sam do nas jest w drodze; nie niepodobnego.

—Dałby to Bóg! lecz ja tym młokosom nie ufam.

—Bądź dobrej myśli kochany kuzynie, bo patrz, oto mi kawałek bułki od ust odleciał, wróżba niezawodna, że gość śpieszy na śniadanie.

—I znajdzie tylko te dwa bukieciki na przekąską, odezwała się Tekla, i dobrze tak będzie panu Lucyanowi za tak długą rezydencję w mieście.

—Jeżeli, czego się nie spodziewam, wróci do nas motylem, to mu właśnie takiego trzeba będzie śniadania—rzekła Julja.

—Motylem! zawoła rotmistrz—niech-no mi się tylko odważy być miastowym trzpiotem, wiercipiętą! Dalibóg, że za pozwoleniem kuzynki, odszukałbym dla niego w moich gratach pewnego sprzętu odziedziczonego po moim ś. p. ojcu.

— Na to mój rotmistrz nie otrzymałbyś mojego pozwolenia; ale miejmy nadzieję, że Lucyanek wróci do nas pszczołką, z miodem nauki i mądrości.

— Amen, powiedział rotmistrz uchylając głowę, i dzięki mojej dobrodziejce, że krzepisz me serce nadzieją. Ale za Lucyankiem ledwie nie zapomniał donieść, że pani baronowa od dni kilku już się znajduje w Althofie i zabawi do jesieni.

— Cieszyłoby mię to, rzecze Julja, bo nie można jej odmówić pochwały. Grzeczna, dowcipna, uprzejma w swym domu, słowem przyjemna sąsiadka — wiem przytém, że mi szczerze sprzyja. Tekluniu każ zebrać ze stołu i przynieś mi moją robotkę, serce.

Tekla wybiegła, a Julja mówiła dalej:

— Otoż nie lubię, że baronowa może smakować sobie w towarzystwie tego szambelana, który mię nudzi śmiertelnie.

— He, he, rzekł rotmistrz pokręcając głowę, wiem bodaj co on zamyśla.

— Mnie to najjmniej nie obchodzi co on myśli, ale niechby nie paplał całemi godzinami o swoich podróżach lądowych i morskich, o politycznym swoim znaczeniu i podobnych fanfaronadach, którym nikt nie wierzy.

—A trzebaż mu kłamać, gdy chcąc się dobrze zarekomendować, nie mógłby nic prawdziwego przytoczyć na swoje zaletę.

—Baronowa musi go przecie znać dobrze, mogłaby dać siebie durzyć jego samochwalstwem.

—Zna go ona na wylot, to też on przed nią inaczej zapewne śpiewa. Bawi ją cudzym kosztem, pochlebia, i obok jej czworonogiego milczącego pieska, gra rolę takiegoż gadającego dwunogiego.

—Wybacz kuzynie, ale gdyby tak było, pani Althof nie mogłaby mi go swatać.

—Chce się go pozbyć, bo widać, że ją w końcu znudził, a przytem drogo kosztuje. Szambelan robi dłużki, a baronowa musi je płacić. To, widzi pani, nie miło damie, której intraty nie odpowiadają wydatkom na zbytki. Przed rozwodem było inaczej: szambelan, przyjaciel obojga małżonków, brał z dwojga kieszeni a najczęściej z mężowskiej, wypłacając się jemu powiadają—za pozwoleniem—

—Dość, dość rotmistrzu, niema pozwolenia. Jużem ci nieraz mówiła, że masz zły język, a to grzech przed BOGIEM. Baronowę znam od bardzo dawna, jestem z nią w najlepszych stosunkach, uważam za przyjaciółkę, a wszyscy, prócz kuzyna, mówią o niej z respektem.

—Przepraszam, nic już nigdy na nią nie powiem. Co zaś do starego szaląputa, niech wybaczy, będę go zawsze tym tytułem honorował.

—Byle o tém nie wiedziała baronowa, bo to jej krewny.—Ale otoż i Tekla. Mówmy o czém inném.

—Wiesz co, ciociu, rzekła wchodząc Tekla, sprawdzi się bodaj prognostyk, bo jakaś bryka podróżna pędzi gościńcem.

—Kupiec z towarami może, albo ktoś co nas pominie, bo zbyt jeszcze rano aby miał być gość. Gdy to mówiła, ukazał się schodzący z balkonu wysoki, smukły mężczyzna i szedł żwawo ku altanie. Rotmistrz spostrzegł go pierwszy i pilnie się weń wpatrywał, przysłaniając ręką oczy; Julja krótkiego trochę wzroku, widziała tylko męzką postać, lecz bystrooka Tekla rumieniąc się jak kalina, zawołała:— „Zdaje mi się że pan Lucyan!”

Był to on w rzeczy samej, i wprzód nim Julja wyszła ze zdziwienia, już młody, piękny człowiek całował jej kolana, poczem padł ojcu w ramiona, i na końcu uściskał oburącz rękę Tekli. A kiedy stał przed niemi w całej krasie swjej urody, z całą potęgą męskiego oblicza, na którym jaśniała wyższość rozumu i prawość serca, obie kobiety doznały jakiegoś nieznanego im dotąd uczucia. Obie pamię-

tały Lucyana jak 18-letniego żwawego chłopca, który bawił jedną a bawił się z drugą; pusty, wesoły, zwyczajnie student na wakacjach, korzystający z chwil swobody aby wyczerpać do dna uciechy jakich wieś i rodzina rade dostarczają tym bohaterom ław szkolnych; a teraz oto, chłopiec zmienił się w męża: przybyło mu wzrostu, postawa przybrała kształt pełen poważnego wdzięku, twarz się ściągnęła w nadobniejszy owal, a bladą cerę, ślad przebytej niemocy, ożywiały piękne, ciemne, wymowne oczy, nad któremi się łagodnie wznosiło białe, szerokie, dumające czoło. Usta zawsze rumiane ocieniał wąsik czarny, lśniący, lecz na tych ustach nie widać już było dawnego figlarnego śmiechu, ani w całej twarzy wyrazu dawnej wesołości. Z myślącego czoła spływał na nią cień dumań głębokich, tłumiący żywość poruszeń w młodocianych rysach. Tak przeobrażony młodzian był w rzeczy samej do niepoznania, i nie dziw, że Julję i Teklę widok jego wprowadził w miłe zdziwienie, kiedy ojciec nawet przecierał oczy łzą radości zaszłe, i wykrzykiwał: „Jakżeś się ty odmienił. Na innem miejscu, nie poznałbym cię do razu!

Pierwsza Julja pokonała w sobie chwilowe wzruszenie, i przybierając ton wesoły, rzekła:

— Witamy cię Lucyanku— co też mówię?— już ci to miano nie przystoi.

— Nie nazywaj mię droga ciociu inaczej. Tak przystoi dobrej matce względem syna— odrzekł Lucyan z czułością.

Nie wiem czemu Julji ścisnęło się serce na te słowa. Rotmistrz prosił ją takż żeby chłopca nazywała po dawnemu; nie zgodziła się atoli na to, mówiąc:

— Nie trzeba mu było tak urosnąć, takich dostać wąsów, i tak spoważnieć. Kiedy zobaczę że po dawnemu jeszcze przewraca na trawie koziołki i wchodzi na drzewa po owoce i gniazda, wtedy go chyba znowu po dawnemu nazywać będę. A teraz trzeba pomyśleć o śniadaniu dla podróżnego, bo z naszego zostały tylko kwiaty.

— Jużem posłała Grzegorza po przekąskę, rzekła Tekla, obracając w rękę bukietem.

— Proszę tymczasem o kwiaty, powiedział Lucyan, bom tego lata nie pieścił się jeszcze z tak pięknymi. Tekla zapłoniwszy się trochę, podała mu bukiet, który on niosąc do twarzy, rzekł patrząc jej w oczy: „Prześliczne!”

Julja zaś obracając się do rotmistrza z wymuszo-

nym rzekła śmiechem, czy tylko nie wraca motylem?— Na co rotmistrz:

— A broń Boże! nie wybawiłyby go wasy od plag!!
Lucyan i Tekla tego nie dosłyszeli zajęci kwiatami, a może i sobą, ktoby tam ich odgadł.

Grzesio przyniósł śniadanie a z nim czy dla pomocy, czy z ciekawości, przyszła Julji faworytka pokojowa Kasia. Powitali oboje z serdecznością Lucyana, a Kasia za stołkiem swęj pani, poprawiając coś w rannym jęj ubiorze, szepnęła cichutko:— „Ach! „jakże wyładniał, jaki teraz piękny!”— Co się wiadać niepodobało Julji, bo jęj kazała odejść.

Przybycie Lucyana zmieniło w Julinie dawną postać rzeczy. Wszystko tam przybrało tryb jakiś niezwyčajny, jakby rzec, świąteczny. Dotąd Julja ubierała się czysto ale bez najmniejszej wytworności. W niedziele tylko i w uroczyste święta, wiejskim zwyczajem ukazywała się nieco strojnziej, zawsze jednak stosownie do swojego wieku. I Tekla nie zdawała się mieć wielkiej żądzy do ubiorów modnych. Piękne swe blond włosy, gładko zaczesane, zdobiła latem jakim ładnym kwiatkiem, kilka sznurków drobnych koralii odbijało dobrze od białej szyi, skromna sukienka rysowała wdzięcznie jęj giętką kibić, a przy każdym poskoku (w częm nie

była skąpą), ukazywała się zgrabna nóżka w czarnym prunelkowym trzewiczku na bielutkiej, cieniutkiej pończosze. We święta białą lub bladoniebieską sukienkę zdobiła szarfa, czyli przepaska z szerokiej wstęgi ze spadającymi do kolan końcami. A teraz widzielibyśmy Julję w swojej garderobie przed otwartymi szafami, a Teklę w swym pokoiku przed wysuniętymi szufladami komody, zatopione w rozmyślaniach nad rozmaitemi szczegółami ubioru: już przymierzające suknie, już przeglądające uważnie, kołnierzyki, garnirowania, wstążki, pelerynki, chusteczki i t. d. Widzielibyśmy wędrownych kramarzy rozkładających w sali różne damskie towary, także krawca, gorsetnika; widzielibyśmy rotmistrza pakującego pieniądze do listów pod adresem miastowych modystek i szewców, zgoła tak prawie jak to bywało za czasów nieboszczki Klary. Julja strojąc się sama, nie mogła zaniedbać ubioru Tekli, raz przez delikatność uczucia, a powtóre żeby się nie podać w jakie podejrzenie.

Lucyan nie widział tego wcale. Przybywał z miasta, gdzie miał codzień przed oczyma pięknie i zbyt kownie wystrojone damy, a wiedział, że fortuna Julji dozwalała jej dogadzać swym gustom; lecz rotmistrz, zwiertzył do razu co się kryło pod tym pa-

roxyzmem elegancyi, i pokręcając siwego wąsa, mówił sobie: „*Si Deus vult*, może z tego coś i będzie.”

— Bądź co bądź, a we wnętrzu biednej Julji działo się coś takiego, z czego ona jeszcze sobie zdać należy nie umiała sprawy. Od owój epoki serdecznego afektu ku niewdzięcznikowi Wincentemu upłynęło lat już 20. Ciemna więc tylko pozostała w niej pamięć ówczasowego stanu serca, a że, jak widzieliśmy, rozważa była jedną z władz czynnych jej umysłu, odkryła więc za jej pomocą iż w stanie obecnym zachodziło coś niezwyčajnego, a zatem wymagającego haczności, aby owo coś nie zagłuszyło głosu rozumu. „Że kocham mówiła sobie tego chłopaka (czemuż nie chciała w nim widzieć dorosłego młodziana?) to rzecz przecie naturalna: kochałam go kiedy był małym, wówczas gdy dawał tylko nadzieję, że będzie takim jakim jest teraz, miałabym odwrócić odeń serce przeto, że urosł, zmężniał, że ma wąs pod nosem? Gdyby z dobrego stał się złym, z przywiązanego niewdzięcznym, mogłabym odepchnąć go od siebie, lecz przeciwnie widzę go coraz lepszym, coraz wdzięczniejszym za me dobrodziejstwa, czemuż pytam miałabym sobie zabronić dawnego ku niemu przywiązania? — Jużciż wiem (tu się rozśmiała), że na kobiercu źlebyśmy jakoś

obok siebie figurowali. Różnica wieku (westchnęła) stawi między nami przegrodę. Gdybym była młodszą (westchnęła znowu i głębiej) ha, któż wie?— — Dzisiaj zaś byłoby szaleństwem. Widzę to, i właśnie dla tego powinnam być spokojną — Cóż więc jest w tém co mię dręczy, niepokoi?— Azali to nie skrupuł jaki? — nie obawa złych języków?— Lecz czyliż mię ludzie nie znają?—może nie zupełnie znają, ale taka jest przynajmniej opinja większości, że serca Julji Bogackiej żaden mężczyzna nie zdobędzie, że jeśli kiedy to już teraz lód ten roztopić nie podobna, że jeśli w tém sercu był kiedyś ogień, dziś już zagaśł do szczętu. Obmowa więc mię nie dotknie, serce i rozum zdają się być w zgodzie, a jednak czuję w piersi jakieś ściskanie; patrzeć na Lucyana nie mogę jak dawniej spokojnie, ręka moja drży gdy on ją po synowsku całuje, głos jego dziwne jakieś echo budzi w mej duszy! Niezawodnie są to skrupuły zbyt lękliwego sumienia — Już mię mój spowiednik strofował za dręczenie się skrupułami— a ja się nie poprawiam, wpadam, jak uważam w nowe — zresztą, nic w tém tak złego, bo mię to robi ostrożniejszą.”

Kiedy tak Julja rozmyśla i biedzi się z sobą, Tekla nie chodzi po rozum do głowy, nie zbija skru-

pułów, o których niema pojęcia, radośnie owszem, z uszczęśliwieniem, młode serduszko otwiera nowemu, błogiemu uczuciu, które ją zachwyca do trzeciego nieba, a tak jest czyste, niewinne, że mu sam anioł-stróż niema nic do zarzucenia. Dziewica nie docieka wcale jakie są Lucyana względem niej uczucia: kocha, więc stara się podobać przedmiotowi swjej miłości, więc gusta jego odgaduje, stroi się w kolory jemu ulubione, wyszukuje dlań kwiatów, których woń najbardziej mu przyjemna, słucha go z uwagą, gra i śpiewa piosenki jego wyboru, szczęśliwa gdy on czasem głos swój łączy z jej głosem. Boi się tylko, choć nie wie dla czego, być z nim sam na sam, a gdy się to zdarzy, nie podnosi oczu i odpowiada monosyllabami, dopóki wejście trzeciego nie wróci jej swobody. Boi się niebożatko żeby Lucyan nie powiedział, że ją kocha. „Nie wytrzymałabym zdaje mi się (mówi) tego słowa z ust jego! Umarłabym ze wstydu i radości razem! Niech on tylko nie przestaje być dla mnie takim, jakim jest dotąd, więcej mi do szczęścia mego nie potrzeba.”

Oto jakie było stanowisko Lucyana w sercu każdej z dwóch kobiet; lecz on o tém nie wiedział. Przyzwyczajony od tak dawna do odbierania z ich

strony okazów szczerego przywiązania, niczego więcej nie pragnął, niczego się zatem nie domyślał. Ładniutka, świeża twarzyczka Tekli, ciemny błękit łagodnego jej oka, naturalna gracya w każdym ruchu, wszystko to wzrok jego mile głaskało, nie przenikając atoli do głębi duszy, zajętej innemi przedmiotami, i pewnemi wspomnieniami kłójącemi jej pokoj. Dusza Lucyana szlachetna i czuła, łatwo przyjmowała wrażenia, co tylko więc silnie na imaginacyą działało, co zajmowało umysł, w tém wszystkim i serce brało swój udział; wszelkiemu rodzajowi pracy oddawał się z zapałem, każdej moralnej wyższości, każdej przejawie piękna składał hołd swej duszy. Myślał się w sądzeniu o ludziach, przesłepiając wady ukryte w niektórych pod świetną powłoką talentu, pod udanym zapałem do rzeczy wyższych, bo nieprawość i obłudność tak mu były obce, że się ich rzadko kiedy mógł dopatrzeć w drugim. Zdradzony w swej ufności, zrywał na zawsze stosunki z tym co go zdradził, lecz to go nieuczyniło baczniejszym względem innych. Cześć oddawaną bogactwu, uważał za najsromotniejsze poniżenie godności duszy ludzkiej. Człłek interesowany, spekulant pędzący życie w materialnych zabiegach, przedmiotem był dla niego nieprzezwyctęzonego wstrętu.

Nauka nawet огоłocona ze wszelkiego uroku poezji, nie zwrócona ku niematerialnemu dobru, nie miała dla niego wartości. Był to jeżeli chcecie, młody zapaleniec z niedojrzałą jeszcze głową ale z niezsutém sercem.

Pojętny i pracowity, przebiegł zawód szkolny z zadowoleniem nauczycieli, i otrzymał, po ukończeniu studjów w uniwersytecie, stopień magistra obojga praw. Poświęcił się téj nauce, nie tyle z wewnętrznego ku niej pociągu, jak w celu stania się za jęj pomocą użytecznym ludzkości. Magistraturę pojmował w jęj najszczytniejszém znaczeniu, a światły, sumienny sędzia, był w oczach jęgo najszacowniejszym towarzystwa członkiem. Nie każdy zaiste może być sędzią z urzędu, lecz każdy, gdy wart tego, może nim zostać z wolnego litigantów wyboru, może być pośrednikiem w sporach między ludźmi rozmaitej klasy, a ten, który pogodził dwóch pokłóconych chłopów o wóz siana, równej dostąpił zasługi jakby pojednał dwóch panów processujących się o wioskę. Taką wartość miała dla Lucyana znajomość prawa i ustaw krajowych; szczególny zaś jęj powab zawierał się dlań w tém, że czyni człowieka sposobnym do niesienia pomocy biedakom ucisionym przez możnych. To poświęcenie się obro-

nie słabych, przybierało w poetycznej jego wyobraźni urok jakby rycerstwa wieków średnich, i czyniło gotowym do walki na polu prawa z każdym ciemiężcą, lub piniaczem. Były to po części marzenia szlachetnego serca i młodej głowy, lecz mu one suchą naukę prawa zaprawiały słodyczą, oświecały poezją; one ustrzegły też go zarazem od autoromanji, w którą byłby wpadł niechybnie na wzór tylu innych uzdolnionych młodzieńców, puszczających się płocho w ten niebezpieczny zawód z wielką dla siebie szkodą a bez żadnego dla literatury pożytku. Lucyan więc stał się człowiekiem użytecznym, nie przestając być miłośnikiem sztuk pięknych, które poczytywał za kwiaty cywilizacyi, za najśłodsze oraz wytchnienie po studjach poważnych i pracach z obowiązku. Pisał tedy wiersze by je czytać samemu sobie, rysował z natury i nie źle, rzadko atoli komu pokazywał swe krajobrazy, rzępolił na wiolonczelli i śpiewał z biedy, gdy tem mógł sprawić małemu, poufałemu kółku przyjemność; co zaś najbardziej lubił, to udzielać swych miernych talentów drugim, osobliwie kobietom, gdy z nich która zażądała tej odeń posługi. Stawał się tym sposobem dla tej płci niebezpiecznym pomimo swej wiedzy i chęci; gdyż w poczciwej jego duszy

nigdy nie powstała myśl zwodzenia. Ale właśnie taki młodzian podbija serca niewiast tém snadniej, im z nich która więcej posiada szacownych płci swej przymiotów. Lucyan, ani razu jeszcze się nie zakochał. Nie jedna mu się bardzo podobała, dla nie jednej westchnął, pomarzył chwilę i na tem skończył; bo piękność i dowcip w kobiecie nie były jeszcze dostatecznymi do podbicia jego serca. Piękność i dowcip cenił zaiste wysoko, lecz je uważał za kwiaty nie za rdzeń niewieściej istoty; do poznania zaś zupełnego kobiet które w mieście w ciągu swego pobytu widywał, brakowało mu sposobności i czasu. Oddany studjom, uczęszczał do kilku zaledwie domów, i to czasami na krótkie wieczorne godziny; strofowano go za to, nazywano odludkiem, lecz nie dał się wciągnąć w wir zabaw miastowych, przekładając gawędkę z przyjacielem, dobrą sztukę w teatrze, koncerty dobrego artysty, nad bale i rauty. Ile zaś razy jedna z piękności zajęła go trochę więcej jak inne, i spostrzegł że się jej podobał, co innemu byłoby zachętą do posuwania się coraz wyżej w łaskę, to jego czyniło ostrożnym i zatrzymywało na granicy prostej grzeczności: taki zeń był dziwak, i wiele za to znieść musiał przytyczków i kwaśnych minek, gdy słod-

kie nie pomagały. Na jego szczęście wiadano że ubogi, a więc ta i owa mówiła „nieborak, nie śmie,” podczas gdy on prosto nie chciał ubiegać się o względy.

Skołatane zdrowie, jakieśmy widzieli, zmusiło go udać się do wód Buskich. Tam ściągnął na siebie oko sąsiadki i przyjaciółki Julji Bogackiej, baronowej Althof, z którą powinniśmy czytelnika nieco poznać.

Córka ubogich rodziców, została po nich sierotą nim jeszcze wyszła całkiem z lat dziecinnych. Matka, bezdietna ciotka wzięła ją do siebie z miłosierdzia, i mało się z razu o nią troskała, zajęta hodowaniem rzadkiego gatunku mopsów, które powiedzieć można stawały się, z postępem czasu, nie tylko chluba, roskoszą, ale nawet potrzebą jej życia. Młoda sierota hodowała się takoz, lecz w garderobie, i kształciła między pokojówkami, a że tych było nie mało, nie brakowało więc jej nauczycielek. Krysia z natury żywa, pojętna i ciekawa, nie mogła nie wynieść z tej szkoły zarodków wad, które się w niej później rozwinęły. Dziecinniej jej umysł, bystry a źle kierowany, poznawał już stan ponizenia w którym trzymała ją ciotka, i domyślała się drogi, jaką iść trzeba było do pomyślniej-

szego stanowiska. Nie rozumiejąc jeszcze wyrazu pochlebstwo, należycie pojmowała już rzecz samą i odgadywała sposoby użycia jej dla siebie z korzyścią. Z wielką więc, jak na swój wiek trafnością, użyła owych mopsów na szczebel do podniesienia się ze swej podrzędności, aby potem postępując coraz wyżej stanąć u szczytu, czyli wkraść się powolnie do serca cioci. Gdyby to było z pociągu serca, możnaby jeszcze przebaczyć podejście, ale Krysia nie kochała zgryźliwej staruszki, wdychała tylko do lepszych wygodek, do piękniejszych sukienek i do jak największej swobody. Powziąwszy ten zamysł wykonywała go cierpliwie, nie zrażając się przykreimi początki. Studjowała pilnie naukę hodowli piesków podług metody swej opiekunki. Szczenięta nie miały w całym domu czulszej - nad nią piastunki, stare mopsy troskliwszej karmicielki, a młode chętniejszej towarzyszki do spaceru z niemi po dziedzińcu, gdy sama pani nie mogła nad niemi w tej rozrywce własnem czuwać okiem. Szczęście jej posłużyło wyratować w obec mdlejącej ciotki, *amorka* faworyta, z łap wiejskiego kóndla i ponieść w tej potyczce lekką wprawdzie ranę ale zbyt widoczną, by to ją nie dźwignęło do razu o kilka szczeblów wyżej na drabince przystawionej do ciot-

czynnego serca; miała Krysia rywalki w swym zawodzie: wszystkie pokojowe pochlebiały mopsóm, ale żadna jój nie ubiegła w ich afektach. Mopsy szalały za nią, co mogło wszakże stać się niebezpieczném, gdyby miało obudzić zazdrość samej pani, lecz i tu dziewczę okazało rozum nad laty, bo potrafiło te popędy przywiązania utrzymać w przyzwoitych granicach. Tak pracując przez lat parę, dopięła w końcu czego pragnęła, stała się ciotce niezbędną, a w kolei pierwszą po mopsach faworytką. Postawiwszy nogę na tém stanowisku, utwierdzała się na niem codziennie, i wprędce wszystkie jój życzenia stawały się dla staruszki prawem. Gdy jój tedy zręcznie napomknęła o potrzebie edukacyi odpowiedniej swemu urodzeniu, a najbardziej blizkiemu związkowi krwi z tak dostojną damą, ciocia chcąc nie chcąc, przeniosła się z nią i z pieskami do Warszawy. Tu się zaczął nowy okres życia piętnastoletniej pięknej Matyldy (było to bierzmowane jój imie, którem za zgodą powolnej ciotki zamieniła chrzestne). Nazwałem ją piękną, bo też była taką w istocie. Wysoka, kształtna brunetka z nadobną twarzą, brakowało jój tylko salonowego ukształcenia, aby stanęła w rzędzie ówczesnych piękności miasta. Pojętność, szczęśliwa pamięć i silna wola

dopomogły jej do przebycia byстрыm biegiem tego nowicyatu. W 17 roku mogła się już korzystnie pokazać światu, a że robiła z ciotką co chciała, więc ją wciągnęła w stosunki z wyższem towarzystwem, i biedna staruszka musiała dawać wieczory na których się nudziła i gryzła, szczególnie gdy który z elegantów, prawiąc pannie Matyldzie dusery, przydeptał jednemu z dziesięciu mopsów łapkę. Krysia nie była prawną sukcesorką ciotki, ta albowiem miała synowca na którego spadały jej dobra, posag zatęm panny był problematyczny, oparty mniej więcej na expektatywie znacznego legatu w testamencie, prócz jakiego daru z ciepłej ręki. Krysia tedy nie była, co się zowie *partją*, wabiła atoli ku sobie wdziękami, dowcipem i zręcznością. Żądza wyniesienia się paliła jej serce, upatrywała więc męża w wyższych warstwach towarzystwa. Jednakowoż nie znalazł się ani książę, ani hrabia, z tych mianowicie których miała na oku. Zdarzył się naresztę baron, nie stary jeszcze, nie ubogi i nie do zbytku rozumny, przymioty, podług jej wyobrażeń, wyborne, a co do tytułu, zawsze to był tytuł, dobry w braku lepszego. Pani ciotka skrzywiła się trochę, gdy się z panem Althofem nie mogła rozmówić po polsku, i kto wie czyby się nie

była uparła przeciw chęci Krysi, gdyby Amorek nie okazał ku cudzoziemcowi osobliwszego afektu, łaszcząc się doń od pierwszego spotkania. Przechucia tych zwierząt były podług niej nieomyłne, instynkt mopsika zdecydował ją pomimo wstrętu do konkurenta, a gdy baron głaskał i wychwalał jej psy, jako najpiękniejsze i może jedyne tego gatunku, nie miała już mu nic do zarzucenia, i połączyła się z Matyldą i z Amorkiem w przyjaźnych ku niemu uczuciach.

Pan Althof, dość bogaty z siebie a szalenie rozkochany, nie zapytał o posag, Krystyna nadto miała taktu, żeby przed ciotką okazać się najmniej interesowaną, poprzestała więc na pięknej wyprawie, a przez drugą osobę potrafiła narzeczonego przywieść do zapisania jej znacznej summy w dowodzie swęj nieograniczonej miłości. Bardzo się ten delikatny sposób postępowania podobał staruszce nieradęj rozdzielać się z pieniędzmi, które bez ujmy przywiązaniu do mopsów i do Krysi, miłowała bardzo. Taż sama druga osoba, co to wymogła na baronie zapis dla przyszłej żony, niemniej się okazała szczęśliwą w podaniu ciotce myśli zapisania siostrzenicy większej części swęj fortuny testamentem. Nieobeszło się to bez skrzywdzenia sy-

nowca, lecz któż mu winien, tak był niezręczny, tak się zajmował swą żoną, dziatkami i gospodarstwem, iż to mu przeszkadzało nawiedzać często ciocię w dalekiej odeń Warszawie; a co najgorsza, nie nadskakiwał jej faworytom mopsóm, dzierżącym jakby rzec, w swoich łapkach względy tej pani.

Wyszła więc Krystyna za barona, a we dwa lata potem przeniosła się ciocia do wieczności, zostawując panią Althof sukcesorką całego prawie swego majątku. Osobna klauzula testamentu obowiązywała legatorkę opiekować się mopsami, starać się o zachowanie tego gatunku piesków nieprzerwanie, i obowiązek ten w dalszym spadku włożyć na swoich potomków lub spadkobierców. Testament został przez synowca zaprotestowany, wszczął się proces o nielegalne zapisanie dóbr sukcesyjnych pomijając naturalnego ich spadkobiercę; pani Althof musiała przystąpić do układu i zaspokoić przeciwną stronę pieniężną summą, zawsze jednak pozostała właścicielką pięknej fortuny. Fundusz jej połączoney z mężowskim wystarczał na życie w stolicy z pewną okazałością, ale baronowa zapragnęła dorównać wystawą bogatszym, i nadto jeszcze wzorem rodzin arystokratycznych, zwiedzić obce kraje, skosztować uciech Paryża, Rzymu, Neapolu, Wenecyi,

i wrócić do kraju z chlubą odbytej świetnie podróży. Mąż zawsze zakochany, niczego jej odmówić nie był w stanie, niebawnie więc dobra swe odłożył, lecz to go martwiło miernie; daleko większej doznał boleści, spostrzegłszy w żonie obok namiętności do zabaw i blasku, kokieterję, ukrywaną wprawdzie z wielką zręcznością przed światem, lecz widoczną jego zazdrośnemu oku. Za granicą, z powodu częstej zmiany miejsca, szło to jeszcze jakkolwiek; rozterki między małżeństwem były rzadsze, lecz za powrotem do Warszawy, coraz więcej przybywało mu pobudek do podejrzewania żony, i skończyło się na rozwodzie. Krystyna atoli wyćwiczona w intrydze i obłudzie, taki umiała rzeczy tej dać obrót, iż opinja publiczności przechyliła się na jej stronę, a potępiła męża, jako głupiego zazdrośnika, hypokondryka i brutala.

Po rozwodzie, została baronowa już tylko na własnej fortunie, którą zaszczerdzić umiała, podkopawszy zbyt kłami mężowską. Miała wtenczas 30 lat, była zawsze piękną, roiła więc sobie nowe widoki wyniesienia się: ale tą razą nie tylko żaden książę, hrabia, lecz żaden nawet baron nie decydował się z wielbiciela zostać jej mężem; za szlachcica zaś prostego jużby nie poszła. Czegożby ona wreszcie

szukała w powtórném małżeństwie?—Nie miłości, która dla samolubnego jój serca nieznaném była uczuciem; jeszcze mniej macierzyństwa którego obowiązki przykre mi jój się zdawały. Raz tylko była matką, i po śmierci córeczki w niemowlęctwie, już nią być nie pragnęła wcale. Dla takiej istoty być rozwódką stan wielce przyjemny; dopóki można być piękną i bogatą, lub za taką przynajmniej uchodzić. Nasza więc baronowa wzięwszy sobie za godło: „używajmy świata—póki służą lata,” żyła wesoło: zimą w mieście, latem na wsi lub u wód, których nie piła. Z liczby otaczającej ją młodzieży, nikt nie mógł się pochwalić szczególnemi jój względami, a jednak niezrażeni tém okrucieństwem smalili sobie skrzydełka motyle około tej jasnej świecy. Nazywali ją: *femme sans coeur*, *femme à coeur de glace*, a niektórzy z naiwnością młodemu wiekowi właściwą, *rocher de vertu*; nic to wszakże nie pomagało, baronowa przez lat siedm czy ośm nie przestawała wodzić ich za nos, a liczba się dudków nie zmniejszała, bo co który zrospaczony wreszcie odleci, to wnet inny przybywa zająć jego miejsce. Aż gdy już czas niemiłosierny blisko 40 latek nad głową jój przepędził, zastęp wielbicieli zaczął się uszczuplać, i w końcu dwóch tylko uporczywie zo-

stało: stary minister *** i podstarzały szambelan Igrzycki. Obu prawa datowały od przedrozwodowej epoki; obaj bo też byli przyjaciółmi barona. Lecz pani Althof szanowała ministra, potrzebując jego przyjaźni, a nie cierpiała już od dawna szambelana, nie mogąc go jakoś od siebie odczepić. Trzymał się jej marcowy kawaler jak smoła, i nie dziw, bo goluteńki dworak cudzym się tylko mógł utrzymywać kosztem. Wyplącał się jej udaną najtkliwszą przyjaźnią, pochlebstwem, dworowaniem i małemi posługami w domu i za domem; baronowa też, nie mogąc tego *cavaliere serviente* po prostu wypędzić, umyśliła go ożenić z sąsiadką swoją Julją Bogacką. Panu Igrzyckiemu podobała się bardzo fortuna stariej panny, zamknął tedy oczy na to co mu się w jej osobie niepodobało, i pod skrzydłem swej protektorki rozpoczął konkury.

Tak stały rzeczy, gdy Lucyan jakeśmy już powiedzieli spotkał się z baronową w Busku. Znał ją tylko z nazwiska i z dobrych jej stosunków z Julją Bogacką, nigdy zaś jej dotąd nie widział, ponieważ czasu jego przebywania w Julinie baronowa bawiła za granicą, a dopiero w ostatnich trzech latach regularnie co roku przepędzała miesiące letnie w Althofie. Błada, piękna twarz i szlachetna

postać młodzieńca ściągnęła nań oko tej pani, oryginalność zaś jego takie na niej zrobiła wrażenie, że z całej tam bawiącej młodzieży jego odznaczyła i starała się do siebie przyciągnąć. Lucyan nie znał kobiet; obcowanie jego z tą płcią, było dotąd, jak widzieliśmy dorywcze, chwilowe, nie studjował żadnej, a w ogólności myślał o kobietach dobrze. Z takim usposobieniem łatwo wpadł w admiracyą w obec damy już nie młodej, a jednak pełnej wdzięku, naturalności i miłego dowcipu, które w połączeniu z wyższym polorem, oślepiają zwykle wzrok młodego, niedoświadczonego człowieka. Baronowa, z właściwym sobie taktem, ujęła go ze strony najslabszej, udając przed nim zapał do nauk i sztuk pięknych. Salon jej przybrał postać jakby akademji, a dawni znajomi ujrzeni z podziwem na jej wieczorach wszystkich prawie uczonych i artystów, którzy się naówczas znajdowali w Busku. Modnym paniczom poważne to zgromadzenie nie było do smaku, lecz nasz Lucyan ujrzał się w niem jak w swoim elemencie, i lubo przez skromność rzadko się odzywał, towarzystwo światłych, utalentowanych ludzi, opromienione uprzejmością pełną wdzięku dostojnej gospodyni, napawało go słodyczą niewypowiedzianą. Wnet ci mężowie poznali się na war-

tości młodzieńca, a szacunek jaki dlań okazywali, upoważnił niejako baronową do oświadczenia Lucyanowi, że go codziennie u siebie widzieć będzie rada; on też nie omieszkał korzystać z tego faworu, i tak sympatja z obu stron stawała się ściślejszą. Lucyana uczucia były atoli spokojne; było to czułe uwielbienie i wdzięczność za okazywane mu względy, nic więcej, lecz pani Althof płaciła raz pierwszy dań płci swojej, doznając w sercu czegoś podobnego do miłości. Biada kobiecie gdy ją los ten spotka nie w zaraniu, lecz w wieczornej dobie życia! Natura mści się okrutnie za wszelką praw swoich wzgardę. Niewiasta, co się odważyła zamknąć swe serce przyrodzonym świętym uczuciom, aby je otworzyć innym przeciwnym prawdziwemu płci swej powołaniu, dozna nieraz za późno tém gwałtowniejszej reakcyi, im grubszą skorupą egoizmu okrywała wrodzoną serca tego tkliwość. Kara ta wisiała nad baronową, i tajemne przeczucie ostrzegało ją o niebezpiecznych dla niej z tej nowej znajomości skutkach. Nawykła do czynienia sobie ze swych wielbicieli igraszki lub narzędzia do jakiej intrygi, myślała z razu zabawiać się tylko oryginalnością młodego, niepospolitego człowieka, lecz przekonała się niebawnie, że ten młodzik, student, miał du-

szę takiego hartu, że się na niej wszystkie pociski kokieterji marnie kruszyły. Zadraśniona jej miłość własna stała się uporczywszą, i przechodząc w stan namiętności rozszerzyła ciasne wnętrze serca, odkrywając w niem milczące dotąd, czy też zagłuszone stróny. Dopiero wszczęła się w niej walka sprzecznych uczuć, myśli i chęci, stan fatalny, bo stawiający dumną niewiastę na rozdrożu ukazującym jej z jednej strony upokorzenie, a z drugiej wyrzeczenie się przedmiotu swęj żądzy; z królowęj stać się niewolnicą, lub też ustąpić z placu z hańbą przegranej? Dwie ostateczności najnieszczęśliwsze dla nawykłej do zwycięstw kobiety. Oto dla czego błahę to z pozoru zdarzenie, stało się jednym z najważniejszych wypadków jej życia. W tym właśnie perjodzie walki w jej duszy miłości z dumą, wybiła godzina rozstania. Lucyan wrócił do Lwowa, po krzepiony na zdrowiu, już to wpływem wód Buskich, już zapewne i moralną siłą zawiązanych z baronową stosunków; odjechał bez miłośnej tęsknoty, lecz z miłem w sercu wspomnieniem i ze szczerą chęcią zbliżenia się znowu do tęg zajmującej kobiety. Pani Althof zaś w powrocie do Warszawy, poniosła utkwioną w sercu swoim strzałę, *lethalis arundo*, jak mówi Wirgiliusz o biednej Dydonie.

Za rok mieli się ujrzeć znowu, gdyż Lucyan po ukończeniu studjów przeniósł się na mieszkanie do Julina, baronowa zaś na to lato przybyć miała do Althofa. Tak się też i stało, jakeśmy dopiero widzieli, i możemy już, po tój powtórnej wycieczce w przeszłość, wrócić do opowiadania przygod, zaszłych od chwili ukazania się młodego magistra obojga praw w domu Julji Bogackiej.



3.

Uwiadomiony o przybyciu baronowej do Althofa, pośpieszył Lucyan złożyć jej swoje uszanowanie. Łatwo się domyślić jak łaskawe czekało go tam przyjęcie. Znalazł w zajmującej Matyldzie zmianę niekorzystną dla jej piękności; coś bowiem chorobliwego przebijało się w rysach jej nadobnej twarzy, szczególnie oczy nosiły ślady znużenia, bezsenności, co on przypisywał naukowym pracom, a przeto ze współczuciem przyglądał się tej zmianie wdzięków zewnętrznych. „W takiej kobiecie, mówił sobie, piękność ducha jest wszystkiem, i ta mi wystarczy do uwielbiania jej stale, wbrew niknącym powabom ciała.”

—Zgadnij panie Bogacki, rzekła po pierwszych przywitaniach, z jakim tu na wieś przybyłam zamiarem?

—Pragnąłbym, odpowie Lucyan, żeby tym zamiarem pani było osiąść tu na długo.

—Cóż jakbyś zgadł trochę. Nie wiem wreszcie jak długo tu zabawię—zależy to od okoliczności—lecz dopóki tu będę, chciałabym korzystać z naszego sąsiedztwa, jeżeli tylko pozwolisz siebie prosić o jedną łaskę?

—Pani?—mnie?—o łaskę?—Albożem nie był jeszcze szczęśliwy przekonać ją o mej gotowości na usługi?

—No, no, nie bądź tak skorym do przyjęcia obowiązku, nie zważywszy wprzód jego ciężaru. Potrzebuję nauczyciela.

—Pani nie masz dzieci! wrzucił zdziwiony Lucyan.

—Jeżeli chodzi koniecznie o dziecko, jest tu jedno stare, któreby rade było nagrodzić sobie jeśli można, czas stracony, i nauczyć się czego pożytecznego, w tém zwłaszcza osamotnieniu, wśród wiejskiej zaciszy.

—Pani żartować raczy—odrzekł Lucyan, ciesząc się w duszy z jej żądania. Zostać nauczycie-

lem byłoby dla mnie za wiele, lecz z największą przyjemnością szczupły zasób mych wiadomości na usługi pani poświęcę.

Baronowa wyczytawszy z oczu Lucyana ile go radowała jej propozycja, powiedziała doń ze wdziękiem:

— Wierzej, że tę ofiarę cenić należycie umiem. A co do tytułu nauczyciela, mistrza czy pedagoga, chcąc nie chcąc musisz sobie z trzech tych wybrać, i bodaj nawet dostanie się panu ostatni, bo, czego byś nie zgadł do jutra, mam pretensją uczyć się łacińskiego języka. Albo co?

— Nie zgadłbym do razu, ale mię to nie dziwi.

— Erudytką przecie być nie chcę. Język ten z tego mianowicie względu ma dla mnie powab, że nie wiedzieć dla czego, nie uczą go kobiet. W Węgrzech tylko wszystkie ukształcone kobiety mówią i piszą po łacinie. Otoż zechciało mi się z jedną z mych przyjaciółek, urodzoną węgrynką, korespondować po Cyceronisku. Jak wielką i miłą zrobię jej niespodziankę, gdy będę mogła wypalić do niej epistołę piękną łaciną. Albo jakie to będzie zdumienie znajomych moich w Warszawie, kiedy na wieczorze, ja sobie z panem, lub z innym jakim uczonym, prowadzić będę łacińską rozmowę!

Lucyan się uśmiechnął na tak ważne pobudki, a baronowa mówiła dalej:

— Ale jabym się chciała nauczyć prędko, jak można najprędzej. Mogę się tego spodziewać?

— Przy dobrej chęci i codzienném ćwiczeniu będziesz pani mogła, po roku, —

— Aż po roku?! zawołała.

— Rozumieć klasyków, nie wszystkich atoli — dokończył Lucyan.

— A pisać? a mówić? pytała.

— Na to i trzech lat nie będzie za wiele.

— *Miséricorde!* cóż to za nielitościwy język! a ja myślałam już téj zimy wystąpić z moją łaciną.

— Może też pani będziesz wyjątkiem z ogólnego prawidła — wrzucił Lucyan, jakby się lękał stracić uczennicę.

Baronowa go przeniknęła, i twarz jej rozjaśniała:

— Sprobujmy, rzekła, mam niezłą pamięć a lepszą jeszcze ochotę, liczę takóž na metodę mego mistrza.

— I na gorliwość swojego sługi, racz dodać pani.

Słodki uśmiech był odpowiedzią na to zapewnienie, po czém ułożono się o czas i porządek lekcyj, i obie strony rozstały się z widoczném zadowoleniem: Lucyan rad, że mu się nadarzała zręczność

usłużenia miłej osobie, od której odebrał nie jeden dowód szczególnego szacunku, baronowa rada że jej się udało zbliżyć do siebie młodzieńca pod przyzwyczajonym bardzo pozorem.

Gdy Lucyan wróciwszy do Julina, oznajmił ojcu i ciotce, iż dwa razy w tygodniu będzie musiał jeździć do Althofa dla dawania lekcyj łaciny, Julja ruszyła ramionami na tę manją baronowej, i litowała się nad biedną kobietą przesyconą zabawami do tego stopnia, że dziś dla niej *elementarz* (tak poczciwa wieśniaczka nazywała naukę języków) ze względu na nowość, miał jakiś powab. Rotmistrz pociągnął w dół wąsa, co było znakiem nieukontentowania, i zapytał z ironją:

— A wieleż ona ci płaci, mój pedagogu?

— Jak to płaci? mój ojczu! odparł syn z żywością.

— A więc marnujesz czas, którybyś obrócić mógł na coś lepszego. Na kata, za pozwoleniem kuzynki, potrzebna tej imości łacina? Ot lepiejbyś ją nauczył mówić czysto swoim rodowitym językiem, który ona kaleczy pakując weń diabli wiedzą, przepraszam, jakie cudzoziemskie wyrazy. Raz mi coś napaplawszy powiada: *nespa!* a że mi się już istotnie od długiego słuchania bredni na sen zabierało,

więc skonfundowany trochę odpowiadam: ależ nie śpię mościa dobrodziko; na co ona w śmiech, podczas gdy mnie złości brały że i niegrzecznie i źle po polsku zrobiła mi przymówkę. Lucyan wytłumaczył ojcowi znaczenie francuzkiego wyrazu *n'est-ce-pas?* ale go nie pogodził z baronową. — „Ponieważ dałeś słowo, trzeba dotrzymać, alebys lepiej zrobił nie wdawać się z tą panią — rzekł w końcu starzec, i machnąwszy ręką odszedł.

— Rotmistrz nie lubi baronowej, zauważyła Julja, po jego odejściu.

— Zdaje mi się, odpowiedział Lucyan, że mój ojciec sądzi ją zbyt surowie. Kobiety wielkiego świata, nie umieją się czasem zastosować do zwyczajów wiejskich; a co do języka, ile uważałem baronowa mówi nim dobrze, wyjąwszy że mięsza doń czasem francuzczyznę, czego nie chwale, ale w wyższych towarzystwach źle to stało się powszechném, gdy za pomocą tej mięszaniny rozmowa łatwiej, a zatem bystrzej płynie.

— Znasz więc baronowę nie od dzisiaj? — zapytała go z małą niespokojnością Julja.

— Poznałem ją rok temu, w Busku — odpowiedział Lucyan, rumieniąc się trochę.

— Ale to rzecz dziwna, że mi o tobie nigdy nie wspomniała — rzekła Julja poruszając głową.

— A cóżby miała o mnie do powiedzenia.

— Wzięła cię przecie za nauczyciela, to zdaje mi się dowodzić, —

— Że mię sądzi cokolwiek biegłym w języku łacińskim, nic więcęj — przerwał Lucyan.

— Może być, rzekła Julja, i ucięła rozmowę, widząc cień jakby nieukontentowania na twarzy Lucjana. Biedaczka lękała się obrazić choćby w sposób najlżejszy, młodzieńca nad którym niedawno tyle miała władzy, a teraz chęci jego stawały się już niejako dla niej prawem; a jednak nie czuła w tej zmianie żadnego upokorzenia, żadnej przykrości. Julja przecie posiadała obok niewieściej godności energją i umiała okazać ją w potrzebie, i tak żadnemu dotąd mężczyźnie nieudało się wywierać na nią przeważnego wpływu. Lucyan jeden dokazał tego, najmniej się o to nie starając, ani się też domyślał wzrastającej swjej potęgi w sercu krewniej, którą jak syn czuła matkę kochając, pozwalał sobie czasem prostować jej zdania; zwyczajnie jak młody człowiek, co to po ukończeniu nauk, rad każdemu dowodzić, że na szkolnych ławach czasu darmo nie tracił. Lecz gdy w takim młodzieńcu

znajduje się pewna wyższość umysłowa, trudna już z nim sprawa niewieście. Przywiązanie matczyne przechodzi najczęściej w pobłażliwość, a cóż dopiero gdy w sercu przybranjej matki zatli się niespodzianie miłość kochanki.

Między baronową i Julją ta była różnica, że pierwsza pałała dla Lucyana namiętnością gwałtowną, występna, której zatem towarzyszyły inne choroby duszy, a między temi pierwsze miejsce dzierżała pycha. Widzieć u nóg swych przedmiot swęj namiętności, okuć go w pęta które samaby tylko później rozerwać mogła, uczynić go posłusznym każdemu swemu skinieniu: oto czego pragnęło samolubne jęj serce; druga przeciwnie, ujęta wdziękiem i wyższością ukształconego jęj staraniem młodzieńca, przejęła się ku niemu uczuciem nowém lecz czystém, a przeto wiodacém do poświęcenia wszystkiego przedmiotowi wyboru serca. Celem więc miłości Julji był Lucyan, celem miłości baronowej była jęj własna osoba.

Rotmistrz, człek z doświadczeniem i biedą nauczony przezorności, śledził badawczo aktorów rozwijającego się dramatu, i niebawnie z zupełną pewnością mógł twierdzić, że syn jego odegrywał tu rolę mitologicznego Parysa, mającego przed sobą

trzy o jego względy ubiegające się boginie. Którą z nich wybierze? otoż to był sęk trapiący go srode. Może żadnej, a może co byłoby gorzej, nie tę którąby mu ojciec swatał. Baronowej nie cierpiał, Tekli nie chciał, bo nie miała posagu, a ciotka mogła jeszcze pójść za mąż, o czém mniej teraz wątpił niż kiedy. Julją więc wybrałby ochoczo na synowę, gdyby Lucyanowi mógł dać swój rozum i zamknąć mu oczy na 40 latek panny, i na dalsze ztąd wyniknąć mogące konsekwencye. „Och, bieda z młodzieżą, powtarzał w duchu—najrozumniejsze plany ojców i matek rozbijają się o nierozsądek synów i córek! realną korzyść wazą za nic, urojenia zaś młodej głowy i upodobania zmysłowe jedyną są ich bussolą; a gdy się podług niej kierując wpędzą łódź na mieliznę, dopieroż rozum przychodzi po czasie—ale cóż narzekam? nie byłżem sam takim w mej młodości?—myślmy raczej o sposobach zreflektowania Lucjana, a nasamprzód upewnijmy się czy nasza Julja szczerze się tandem zdecydowała pożegnać stan panieński. Kobiety doznają różnego rodzaju miłości: platoniczna nawet nie jest im obcą. Nie sądzę, żeby rozsądna moja krewniaczka, zwłaszcza w dojrzałym już wieku, miała się zakochać bez celu, ale któż ją tam wreszcie zrozumie?

Najpodobniej że ma skrupuły trwożliwego sumienia. Jeśli tak jest, trzeba będzie może coś zainsynuować księdzu Rajmundowi. Kiedy zaś są to tylko świeckie jakieś względy, no, to i sami zwyciężyć je dobrą logiką potrafimy.”

Takie uczyniwszy postanowienie, rotmistrz znalazł wnet zręczność zbadania naprzód Julją. Było to w pogodny poranek, w ogrodowej altanie, przy śniadaniu. Lecz nim przyszło między niemi do rozmowy sam na sam, zaszła mała scena którą opiszemy.

Julja ze swą assistencją (w której nie było tą razą Lucyana), właśnie dążyła przez kwiatowy parter ku altanie, gdy ogrodnik Maciej zastąpił jej drogę, żałośnie się uskarżając, że mu wnętrzności wydzierają z ciała, co miało znaczyć, że wbrew jego czujności obrywają najpiękniejsze kwiaty. „Niech żeby sobie (mówił wskazując na Teklę), panienska rwała róże i narcyzy dla panicza który je lubi, no cóż robić, milczałbym; ale kiedy już i Grzegorz niecnota przysługuje się bukietami Katarzynie, a ta mu je w nos ciska jakby jakie grochowiny, to woła do nieba o pomstę, i kiedy jaśnie pani nie powstrzyma tej rozpusty, to niech mię lepiej oddali ze służby.” — Julja uspokoiła starca obiecując

mu poskromienie swawoli sług, na co on rzekł kłaniając się jej do kolan:— „Niechże za to Bóg panią błogosławi dobrym mężem.”

Zmięszała się na te słowa panna Bogacka, rotmistrz się uśmiechnął i poczęstował Macieja bernardynką, a Tekla złorzecząc w duchu staremu gadule, pobiegła ku domowi, niby dla rozkazania Grzesiowi pośpieszać ze śniadaniem. Rotmistrz prowadził dalej kuzynkę, która wszedłszy do altany rzekła:

—Szczęśliwa Teklunia! żadna jeszcze troska nie chmurzy jej czoła. Lecz te chwile młodości tak szybko ulatują, szczególnie dla kobiet. Ani się obejrzy, już stara panna—przynajmniej tak ją nazywają.—

Pan Jakób rad z takiego zagajenia, odezwał się natychmiast w te słowa:— „Bo też, za pozwoleniem kuzynki, świat głupszy i głupszy codzień. Co się dziś zowie panna na wydaniu, to przed laty zwano za pozwoleniem, błaznica, a co dawniej znaczyło lata rozkwitłe, to w 19 wieku mianuje się starością. Kiedy tak pójdzie, dalej ci, którym o kilka wieków po nas żyć przyjdzie, zmuszeni będą wydawać swe córki ledwo nie z pieluch za męż, na wzór żydów. A jakież z tego konsekwencye, mógł-

bym dowieść przykładami z mojego własnego domu! Dziad mój ożenił się z panną dojrzałą (bo jak świadczą dokumenta miała lat 41), żył z nią długo najszczęśliwiej, zostawił dwóch synów, tyleż córek i piękną fortunę. Ojciec mój wziął dziewicę 30-letnią, a lubo żyli, niema co mówić przykładownie, nie doczekali atoli tak późnej jak tamci starości, zostawili nas tylko dwoje rodzeństwa i cokolwiek na majątku długi. Moja żona idąc do ołtarza miała tylko lat 25, a com ja w pożyciu z nią wycierpiał, to Bogu niech będzie na chwałę! Oto, by się jej przypodobać, by dogadzać jej gustom, straciłem połowę fortunki, pieniacz sąsiad zabrał resztę, a gdy umarła, zostałem, za pozwoleniem kuzynki, goluteński jak pasternak, i żyję na starość chlebem mojej dobrodziki. Pytam teraz coby czekało Lucyana gdyby się ożenił—broń Panie, z osiemnastówką? Gorszy los od mojego, ani chyby. Ale na szczęście on nie myśli, za pozwoleniem, o takim głupstwie.

—Przeniknąć myśli młodych ludzi trudno—powiedziała Julja wychodząc z zadumania—Co do mnie, będę się starała wydać Teklę za mąż co najprędzej.

—Nie prędzej jednak, spodziewam się, aż wyj-

dziesz sama? — przymówił rotmistrz patrząc na nią uważnie. Ona mu na to z wymuszonym uśmiechem:

— A toby biedaczka długo czekać musiała.

— Czyby kuzynka, za pozwoleniem, z tyłu konkurentów, żadnego nie sądziła godnym swęj ręki.

— Może szambelana? zapytała żartobliwie.

— Ten pani nie do smaku, wiem o tém, i pojmuję bardzo. Ale są inni, np. P. marszałek Spyliński?

— Przemarszałkował swój majątek, i chciałby kosztem mojego urzędować dalej.

— Na powiatowego marszałka wystarczyłoby mu jeszcze na jedno, a może i na dwa triennia, ale to człek ambitny; jemu się chce jak słyshałem być gubernskim; no, a P. podczaszyc Talerkiewicz? Temu zdaje się nie potrzeba pieniężnego zasiłku?

— Widzianoż skapca, coby przestał na tém co już uzbierał?

— Mam jeszcze jenerała ze złotem na szlifach, i hrabiego z perłami na koronie w herbie — ciągnął dalej dyplomatyk p. Jakób.

— Ale dajże mi z niemi wszystkiemi pokój, mój kuzynie — zawołała niecierpliwie panna Bogacka.

— Więc, za pozwoleniem, kuzynka jeszcze za mąż iść nie chce? — pytał niby się dziwiąc.

— Jużem za stara.

— Święty Fabjanie! 40 lat, za stara!

— Trzydzieści dziewięć; ale i to nie młodość.

Rotmistrz się cieszył, mówiąc sobie w myśli—
ukradła roczek, dobra nadzieja, filutka chce iść za
mąż” — i wnet tak na to odrzekł.

— Eh, co mi tam młodość! za pozwoleniem ku-
zynki, głupstwo, urojenie, nic więcej. Kto szuka
dobrej żony, nie bierze dziecka, bo trudno odga-
dnać z kwiatu jaki będzie owoc.

— Tak mówią na pociechę starych panien; tym-
czasem przykłady są rzadkie.

— Byłyby gęstsze, gdyby więcej było ludzi z ser-
cem i rozumem: tak zaś jak świat nasz dziś jest
złożony, wierzaj, dla młodych i dojrzałych panien,
w dostaniu męża, równe chybi — trafi.

— Bezpieczniej tedy, odrzekła poważnie Julja,
nie grać w tę grę wcale; ale o toż i Grzesio ze śnia-
daniem.

Rotmistrz pociągnął w dół wąsa, zbity znowu
z tropu, bo najmniej chytra z kobiet, umie wypro-
wadzić w pole choćby jakiego Tallejranda, kiedy się
uprze nie wyjawiać nikomu tajemnicy swjej myśli.

Nadeszła i Tekla, lecz już bez bukietu — „A có-
żes zrobiła z kwiatami? zapytała ją ciotka.

— Włożyłam je do wody — odpowiedziała zarumieniona, bo nie śmiała dodać, że to zrobiwszy, posłała je Lucyanowi na dzień dobry.

— A pana Lucyana nie widziałaś? — pytała znowu ciotka, bacznie się w nią wpatrując.

— Szedł tutaj od oficyny, alem ja prędko pobiegła; musi jednak być blisko.

Julja nic na to nie rzekła, ale się jej coś w tém nie podobało, toż i rotmistrz znowu pociągnął wąsa, a w tej chwili wszedł Lucyan i następna wszczęła się rozmowa.

JULJA. Dzień dobry, panie Lucyanie, — i podała mu rękę — dobrze się widać spało, kiedy się późno wstało.

ROTMISTRZ. A kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

LUCYAN. Przepraszam, wstałem rano, alem miał do pisania.

JULJA. A coż to pan pisał, odę czy elegię?

ROTMISTRZ. Broń cię Boże od pisania wierszy! to, za pozwoleniem kuzynki, głupstwo.

LUCYAN. Prozę, i bardzo niepoetyczną. Pozew do sądu.

JULJA. Pozew!

ROTMISTRZ. A toż co za raptus? z kimże się chcesz prawować?

LUCYAN. Nie mam, dzięki Bogu, procederów. Pisałem pozew dla biednego szlachcica ukrzywdzonego przez bogacza.

ROTMISTRZ. Staniesz może przed kratkami jak adwokat?

LUCYAN. Nie jak adwokat, lecz jak pełnomocnik, bo ten biedny człowiek nie jest w stanie nająć sobie patrona.

ROTMISTRZ. Pełnomocnik czy patron, wszystko to jedno, gdy trzeba ze statutem pod pachą stawać przed kratkami i szermować językiem w zawody z jakim kauzyperdą. Tyś, krew moja, więc nie zezwalam na taką despekcyą naszego imienia; i kuzynce może to będzie z przykrością.

JULJA. Bynajmniej! proszę cię owszem mój kuzynie, dozwól synowi swemu iść za tak szlachetnym popędem serca. To poświęcenie się dla biednego uciśnionego człeka, czyni mu największy zaszczyt.

ROTMISTRZ. No, jeżeli kuzynka tak to uważa, nie mam już co mówić! Sambym go pochwalił za dobre serce, gdyby nie mój wstręt do palestrantów od czasu jakem przegrał najślusznniejszy proceder z łaski mojego patrona.

LUCYAN. I niesprawiedliwych sędziów mój ojcze!

ROTMISTRZ. Być może, lecz ogólne było zdanie, że z winy adwokata przegrałem.

JULJA. Z kimże to ten biedak ma sprawę?

LUCYAN. Z panem Talerkiewiczem.

JULJA. Z moim pretendentem! a to ślicznie!

LUCYAN. Talerkiewicz puścił biednemu Ordędze na lat 12 dzierżawą zaścianek leżący odłogiem. Ten go uprawił, użyźnił, zabudował, i po sześciu latach, ciężką pracą, podwoił jego wartość. Zawistny sąsiad, inny zaściankowy szlachcic, zaofiarował wtedy dziedzicowi drugie tyle za tę dzierżawę. Talerkiewicz więc użył podstępny do wyzucia Ordęgi z posesji, przed terminem kontraktu.

TEKLA. Fe, co za brzydki człowiek ten Talerkiewicz.

ROTMISTRZ. A, niechby go tam, za pozwoleniem, kaduk porwał!

JULJA. (do Lucyana) Jestżeś pewny wygrać Ordęgi sprawę?

LUCYAN. Byłbym najpewniejszy, gdyby słuszność rzeczy wystarczała zawsze do jej wygrania. Ale widziano, i nieraz, że ubogi przegrał najlepszą sprawę przeciwko bogatszemu.

— **ROTMISTRZ.** Z własnego doświadczenia mogę o tem upewnić.

JULJA. Więc pozwolił abym się przyłożyła do dobrego uczynku. Talerkiewicz nie jest odemnie bogatszym, jam nie tak jak on skąpa. Jeżeli tedy zechcesz mię przyjąć do spółki w swoim przedsięwzięciu?

LUCYAN (całując jej ręce). Ach najdroższa pani, czynisz mię prawdziwie szczęśliwym.

W tej chwili Tekla tak się wstrzęsła, że upuściła z rąk filiżankę na suknię obok siedzącej ciotki. Przestraszona ją przeproszała, lecz Julja uradowana z uniesienia Lucyana, wcale się nie obraziła niezręcznością siostrzenicy, a rotmistrz pokręcając w górę wąsa, rzekł po krótkim namyśle:

— Wszystko to pięknie, ale za pozwoleniem kuzynki, trochę jakby powiedzieć, romansowie.

— Jakto romansowie? — zapytała zdziwiona pan-na Bogacka.

— Pięknie jest, ciągnął P. Jakób, podać rękę biednemu, *concedo*, ale rzucać pieniądze w przepaść procederu, to za pozwoleniem....

— Głupio, nie prawdaż? — przerwała Julja.

— Tego nie mówię... nie śmiałybym; miałem rzecz nazbyt wspaniałe, i kto wie czy będzie skutecznie. Otoż pomyszę jakby to zrobić, żeby, jak mówią, i wilk był syty i, za pozwoleniem kuzynki, koza cała.

— Dobrze, kochany rotmistrzu, idź, pomyśl o tem, my zaś panie Lucyanie, wiesz co tymczasem zrobimy? Oto, jeżeli ci nic nie przeszkadza, pojedziemy sobie spacerem do zaścianka Ordegi.

Lucyan przyjął ochoczo projekt i chciał wnet kazać zaprzęgać, ale go Julja wstrzymała wysyłając z tem poleceniem Teklę. Zostawszy z nim sam na sam, chciała rozpocząć sentymentalną rozmowę. lecz ten rodzaj nie dość był jęj znany. Dziewicza wstydlivość zamykała jęj usta, prostota duszy nie umiała tkliwego uczucia ubierać w słowa maskujące jego żywość, i dające-li tylko odgadywać prawdziwe każdego wyrazu znaczenia. Oczy jęj były wprawdzie wymowne, gdy nieśmiało chwilami podnosiła je na młodzieńca, lecz na nieszczęście milcząca ta wymowa chybiała celu. Lucyan zajęty myślą ratowania biednego szlachcica, brał czułe, urywane wyrazy panny Bogackiej, za piękne wzruszenia litościwego jęj serca, a może (kto go tam wie) udawał że tak je sobie tłómaczy, dla odjęcia jęj wszelkiej nadziei. Tymczasem Tekla obróciwszy się jak mówią, na jednej nodze, ukazała się znowu z jakimś doniesieniem, i zatamowała do reszty nieśmiały wybuch uczuć zakłopotanej Julji, która lubo nie czytała nigdy Ariosta, rzekła do siebie coś na-

kształt jego Skargi: „Nie uchwyciłam podającego mi się zdarzenia, więc uciekło może bez powrotu” *). Wnet i Grzesio przybył z¹oznajmieniem, że kocz już przed gankiem, i bohaterka nasza przywołując do swęj duszy męztwo, z pogodną twarzą udała się w tejeż assystencyi ku domowi.

P. Jakób Bogacki tymczasem rozmyśliwszy co do interessu Ordęgi swój planik, śpieszył do kuzynki z ukartowaną już rzeczą, a gdy się spotkali przed domem, doniósł jej naprzód że za chwilę Talerkiewicz będzie z wizytą.

— Ach, więc śpieszmy! zawołała, żeby nas nie zastał, to sobie szczęśliwie odjedzie. Nie chcę widzieć tego brzydkiego człowieka.

— Za pozwoleniem, jeżeli kuzynka chce dopomódz Ordędze, Talerkiewicz będzie nam koniecznie potrzebny.

— Wolę się z nim prawować, niż widzieć w domu moim tego niezbożnika.

— Proces będzie kosztował.

— Mniejsza o to!

*) L'occasion fugge sdegnata,

Poiche mi porge il crine, ed jo nol prendo.”

ARIOSTO. *Satira* 6.

— I może być w końcu przegrany. Mówię z doświadczenia, a przysłowie niesie że ugoda z łyka lepszą jest od procederu z rzemienia. Chcąc więc prędzej, pewniej i bez kosztu reintegrować Ordeę do jego posesyjki, wypada skłonić Talerkiewicza do ugody.

— Byłoby to wybornie, ale jakże się da zrobić?

— Nad tem właśnie rozmyślałem i dzięki Bogu znalazłem sposób, a ten sposób w ręku kuzynki.

— Czy nie chcesz, żeby kosztem mej ręki nastąpiła ugoda? nie spodziewam się przecie.

— Od powietrza głodu et cetera, i od ręki Talerkiewicza niech Bóg panią moję zachowa! Takie za pozwoleniem głupstwo nie powstało w mojej siwej głowie! Wysłuchajże cierpliwie. Oto wstawisz się z powodu miłości bliźniego, uważasz, za Ordeę do podczaszyca, i odwołasz się do jego wspaniałości.

— Ależ on jej niema ani na lekarstwo.

— Znajdzie w sobie jej pozor, przez chęć przypodobania się, i podpisze ugode.

— A potem, gdy się oświadczy?

— Otrzyma rekuzę.

— Więc będzie się mniemał oszukany.

— Zawiedzionym tylko będzie w swejsp ekula-

cyi, a przeto nie pani go oszuka, ale on sam siebie, jak nie raz oszukują się chciwcy; ztąd przysłówie.

— Zgoda już zgoda. Cóż więc mam uczynić?

— Naprzód przywieźć tu z sobą Ordęgę; ja zaś tymczasem przygotowuję, zmaceruję pana łapigrosza, potem kuzynka wniesiesz instancją za biedakiem, poprosisz pięknie o powrót mu własności, i odejdiesz, a my zrobimy resztę. Lucyan napisze ugodę, obwarujemy ją pieczętarstwem świadków, i bywaj zdrów panie oszmiański podczaszycu.

— Więc jedźmy — rzekła Julja do Lucyana, który stał na boku, nie przerywając ojcowi, lecz wążąc plan jego w swém sumieniu. Widać że go nie ze wszystkiem aprobował, bo chmurzył trochę czoło, w końcu jednak zrobiwszy giest rezygnacyi, podał Julji rękę do pojazdu i towarzyszył dwóm damom na przejażdżkę.



4.

Kiedy się to działo w Julinie, P. Jacek Talerkiewicz, podczasyc oszmiański, w majątności swojej Błotnowie, nie domyślając się wcale zastawianych nań przez rotmistrza sideł, wybierał się nie dla żartu z wizytą do panny Bogackiej. Ujęty pięknością jej substancyi, dobrocią gruntową jej wiosek, obszernością lasów i wreszcie skromnością i roztropnością majątnej panny w używaniu intrat, pałał ku właścicielce tych szacownych darów szczęśliwego losu, afektem serca miłującego rzeczy gruntowne. Do podniesienia w podczaszycu tego afektu, przykładała się niemało ta okoliczność, że jego Błotnowo graniczyło z pięknym Julinem. Związek ten uważał za przodkujący związkowi serc i rąk

obojga aktorów, bo na jakizby inny koniec Opatrzność postawiła starego kawalera i starą pannę w takim do siebie stosunku, że się z sobą ztykali najtreściwszemi częściami swojego bytu, to jest nieruchomemi, wieczystemi dziedzictwy? Miedzę graniczną uważał podczaszyc jak symbol stuły kapłańskiej, mającej dwie dusze w jedno połączyć ciało.

Nie od dzisiaj też powziął on ten zamysł; piękna Julja i nierozdzielnie z nią piękny Julin, dawno tkwiły mu w głowie. Ale się nie mógł jakoś zdecydować, bo też w kawalerskim stanie, szło mu zrazu wszystko jak z płątka: procenci ki doliczały się do kapitału, handelek z Rygą szedł pomyślnie, substancya rosła jak na drożdżach. Dopiero później z nastaniem ciężkich czasów, gdy się przyszło prawować z nieakuratnemi debitorami, i gdy w prawniczych tarapatach nie jedna sumka z okrągłej stała się kończąca, a nie jedna całkiem przepadła, fatalny ten obrót rzeczy sprawił w funduszu dziurę, do zapchania której nie było innego środka jak pomyślnie ożenienie. Zasłużona ochmistrzyni usiłowała wprawdzie odwracać go od tej myśli, ale głos jej, dawniej wiele u podczaszyca ważący, został tą razą zagłuszony potrzebą; oprócz bowiem wyżej pomienionych bodźców do zmiany stanu był jeszcze

jeden, nie mniej ostry, zostawienia po sobie sukcesora. P. Talerkiewicz miał kilku synowców, którychby może kochał, gdyby mieli własny swój fundusz, że zaś na bogatym stryjaszku całą swą pokładali nadzieję, poczytywał im to za zbrodnię i przemyślał niecnom nic po swęj śmierci nie zostawić. Najprostszy był na to sposób—ożenić się, a z kimże lepiej, jeżeli nie z panną Bogacką? Samo już jęj nazwisko miało w uchu jego nader miłe brzmienie, a trzeba było się z tem śpieszyć, z racyi podeszłego wieku tęj wybranęj jego serca. Odrzućciwszy zatęm stanowczo objękcye swęj ochmistrzyni, rozkazał jęj podać sobie swó j ubiór od parady, i kazać zaprządz dwa bułane podjezdki do żółto-gorącej karjolki. Sługa-przyjaciółka, próbowała użyć ostatniego jeszcze sposobu, jaki jęj zostawał w tym razie: rozpłakała się aż do szlochania, i już się P. Jacek zaczął drapać w głowę, gdy widać silne to nacieranie czaszki obudziło mu w pamięci klassyczną sentencyę swego nieboszczyka stryja i nauczyciela Pijara: „*Te faeminarum haud lacrymae fallunt*” (Nie daj się zwodzić niewieściami łzami). Apolonia odeszła w rozpacz a przynajmniej w bo- jaźni stracenia swego długoletniego wpływu i znaczenia, podczaszyc zaś heroicznie wziął się do toa-

lety. Golenie brody szło mu niepomyślnie; złe brzytwy, twarz pomarszczona, kilka na niej brodawek, i może skutkiem niepokoju serca drżąca ręka, sprawiły że ta operacja krwawe po sobie zostawiła ślady. Za nią nastąpiła druga, poczernienia szpakowatych włosów, która się także nie całkiem udała; albowiem tył głowy poruczony rękom ochmistrzyni źle został pociągnięty farbą, przez zemstę bodaj za wzgardzoną radę: tak to jest niebezpiecznie obrazić czułą kobietę. Podczaszyc na szczęście tego nie widział, bo jedno tylko w całym domu miał zwierciadełko, a dwóchby jak wiemy potrzeba było do obejrzenia z obu stron głowy, lecz go inny spotkał frasunek: paradny półkoszulek kamertuchowy, od lat kilku nie używany, poźółkł jakoś okropnie, biała pikowa kamizelka nie dawała się śpiąć na brzuchu, kołnierz granatowego fraka podziurawiły mole, a tu nie było czego innego wdziać na siebie! Inny byłby wyszedł z głowy, ale podczaszyc umiał w ciężkich kazusach chodzić do swojej po rozum. Przypomniawszy więc sobie że Apolonja miała półaksamitny od parady worek cynamonowego koloru, żądał od niej zrobienia zeń ofiary na pokrycie kalectwa frakowego kołnierza, i dokazał tego czułą wymową i pięknemi obiec-

kami. Worek pod nożycami i igielką wszechumiejętnej ochmistrzyni, przekształcił się szybko w cynamonowy półaksamitny kołnierz, doskonale do granatu fraka przypadający. Około kamizelki sam się zawinał, rozpruwszy w niej fałsz z tyłu, i spoiwszy rozcięte połowy tasiemką, *unus et alter assuitur pannus*: dla zmodyfikowania zaś żółtości półkoszulka, zwiesił z karku na piersi srebrny pozłacany łańcuch, który błyszczał niegdyś na gorsie jednej z żydówek powiatowego miasta, a dziś, jako przepadły zastaw, stał się własnością wyrozumiałego na potrzeby bliźnich kapitalisty. Z dziwną tedy sztuką przemysłu podczaszyc naprawił zaszłe w swój garderobie szkody, i tak się ślicznie wysztafirował, taką minę nastroił, że się Apolonji aż słabo zrobiło na ten widok, grożący jej zmianą obecnego stanu rzeczy w Błotnowie. Jednej atoli jeszcze przykrej potrzebie zaradzić wypadło: woźnica Janek ukazał się na koźle karjolki w poszarpanej i dziegciem wyplamionej oponczy, a na głowie miał kapuzę wielce podobną do cygańskiego kołpaka. Złajawszy go podczaszyc za niedbałość i niechlujstwo, musiał się znowu rzucić do przemysłu, i przy pomocy biegłej takż w tej sztuce ochmistrzyni, ubrał Janka w swój letni płócienkowy, zielono z żółtym pręgowany szla-

frok, oraz w skórzany rudawy swój kaszkiecik; co by wcale dobrze wyglądało, gdyby nie ta okoliczność, że woźnica był drab wysoki z okrągłą pałką, pan zaś jego niskiego wzrostu z podługowatą, prawie spiczastą głową w kształcie pewnego rodzaju gruszek. Szlafrok więc sięgał Jankowi do kolan, a rękawa (na szczęście podczaszyc miał ręce długie) spadały trochę niżej łokcia. Z kaszkietem była większa bieda, bo się nie chciał trzymać na głowie, tak dalece, że go trzeba było do niej przytwierdzić kawałkiem rudego rzemyka.

Wsiadł nareście podczaszyc do karjolki, i wju! Janek zaciął bułanych; prawy szarpnął gracko, ale towarzysz jego miasto przednich podniósł zadnie nogi. Wju! raz jeszcze — „bodaj cię wiley!” — a szkapka za całą odpowiedź wierzgała tylko. P. Jacek martwił się i gniewał, Apolonja zaś, ciesząc się w duchu z tej przygody, nuż perswadować, żeby zaniechał podróży nic mu dobrego niewróżącój, jak dowodziło wierzganie starego konia. Już się i sam kawaler wahać zaczynał, wzruszony przepowiednią domowej swjej Sybilli, gdy nienawidzący ochmistrzynię woźnica, na przekor jej chęci, tak potężnie batogiem zażył narowistą szkapę, że ruszyła czwałtem, i karjolka porwana pędem znikła wnet z dzie-

dzińca i z oczu nieszczęśliwej Apolonji.— „Bodajbyścież skręcili karki — wołała z głębi ranionego czułego serca — tak jest, wołałabym już widzieć niewdzięcznika na marach, a niżeli mężem innéj!” — Oto jaki skarb przywiązania i wierności posiadał podczaszyc w nieoszacowanej swojej ochmistrzyni!

Nie wzięła jednak skutku namiętna jéj imprekacya: P. Jacek, *per varios casus, per tôt discrimina rerum*, z nadłamanym wprawdzie dyszlem, lecz z całutkim karkiem, szczęśliwie stanął u kresu swéj podróży. Nie znalazł podkomorzanki, przedmiotu swych westchnień, spotkał go tylko rotmistrz, i pocieszył oznajmieniem o rychłym swéj kuzynki ze spaceru powrocie, wprowadził do bawialnej sali i uprzejmie prosił o rozkaz wyprzężenia koni, na co się naturalnie podczaszyc nie zgodził, a rotmistrz dalej nie nalegał, dając mu poznać że odgaduje cel téj jego wizyty. Talerkiewicz sapnął w kształcie westchnienia, a gdy usiedli, zaczął z pewnemi ogródkami wybadywać rotmistrza o sentymentach podkomorzanki, o jéj gustach, i prosił go wkońcu o radę jakimby sposobem przystąpić do ważnej deklaracyi, z którą do niéj przybył. P. Jakób trybem dyplomatycznym utrzymywał go między bojaźnią i nadzieją: wyrażał się najwięcej ogólnikami, między

które mi wrzucił i ten, że panny dojrzałego wieku cenią nadewszystko sentymenta wzniosłe, że tedy po swych wielbicielach wymagają ofiar moralnych. Talerkiewicz rzekł mu na to:

—Przepraszam, nie całkiem to pojmuję mociumdzieju: mam zrobić ofiarę z méj moralności? W jakimże to sensie?

—Przez ofiarę moralną — odpowiedział uśmiechając się rotmistrz — rozumiem czyn piękny, wspaniały.

Na to zaś Talerkiewicz:

—Wspaniałość mi nie przystoi! Czy to ja magnat? Jam prosty szlachcic mociumdzieju; mnież to być wspaniałym? śmieszyłbym ludzi, nic więcej.

— Nie bierz pan wspaniałości w tym sensie. Wspaniałym może być każdy.

—Wiem, kiedy nie żałuje pieniędzy, ale ja...

—Zgaduję: pan nie lubisz wydawać napróżno; to bardzo rozumnie. Ale zgodzić się musisz, że i na wiatr można czasem rzucić z pożytkiem. Na przykład, kiedy siejesz zboże, co wtenczas czujesz w sobie?

—Czuję żal rzuconego w ziemię ziarna, lecz obok tego i miłą nadzieję, że mi wróci z lichwą do spichlerza.

— A widzisz więc, że można być hojnym bez straty, owszem z własnym pożytkiem. *Sapienti sat.* Zaraz będę służył. Zdaje mi się, że ktoś zajechał — dodał rotmistrz, i odszedł, zostawując pod czaszyca pogrążonego w myślach.

— „Otoż mi dał do myślenia — mówił do siebie przechadzając się po sali — Djabliby go wzięli z jego cyrkumlokucjami! Czy nie chce on dla siebie prezentu? Ale cóżby mu dać? pieniędzy nie weźmie, chyba sporo, a tego nie zrobię, nie, pieniędzy nie dam — aha, dobrze; mam po nieboszczyku ojcu pas słucki na dwie strony; jedna trochę podszarzana, ale druga jeszcze świeża, — dobrze żem tego pasa nie sprzedał ongi żydowi co mi zań dawał dwa dukaty złotem; nie wziętem bo były oberznięte; a teraz mam przynajmniej co podarować temu hołyszowi krewniakowi mojej ulubionej. Ach, jakby ją nie kochać! 50,000 rocznego czyściutkiego dochodu! a mobilia? — warto być wspaniałym; dodam rotmistrzowi starą demeszkę co mam po stryju, jeżeli nie będzie dość kontent z pasa. Ona musi mieć i klejnociki — trzeba być wspaniałym; udaruję służących.”

Kiedy tak pod czaszyca sam z sobą rozmawiał, ujrzał przechodzącą przez pokój Kasię pokojówkę Ju-

lji. Skinął tedy na nią, i dobywszy z sakwy dwuzłotówkę, ofiarował jej „na trzewiczki,” lecz ta umknęła ręki, pieniądz upadł na ziemię, a skonfundowany Talerkiewicz usłyszał od rozgniewanej pokojówki, że kto chce dawać na trzewiki, niech się obraca do bosych, a na takich, jak słychać nie brak w Błotnowie.

Wyszędłszy z zadziwienia, postanowił sobie podczaszyc odkwitować hardęj dziewce za tę impertynencyą, jak się ożeni z jej panią; z tego zaś co widział, wypadało wnosić, że w tym domu na małych prezentach nie przestają, a zatem — że lepiej nie dawać tu nic wcale.

Wtém otworzyły się wielkie drzwi wchodowe, i Talerkiewicz ujrzał podkomorzankę wchodzącą ze swym orszakiem do sali. Postąpił ku niej strojąc koperczaki, i miał właśnie wypalić przygotowany wstępny komplement, gdy mu przypadkiem wpadła w oczy wysoka, chuda postać szlachcica Ordęgi. Zmięszany tym niespodzianym widokiem, zaciął się w połowie swęj perory, jakby przeczuwał coś złego. Panna Julja przyjęła go z powagą, i zaczęła obojętną rozmowę, śród której podczaszyc obracał się jak na szpilkach, spoglądając czasami z ukosa na swego exdzierzawcę. Po chwili, rotmistrz dał

znak kuzynce i usunął się na stronę z Lucyanem, ona zaś tak się do gościa swego odezwała: —

— Szczerze życzyłam sobie widzieć pana.

— Co za szczęście dla mnie mociumdziko — odpowiedział uradowany Talerkiewicz — Asindzka życzyłaś sobie widzieć swego służeczkę! Jam dawno pragnął tego momentu jak zbawienia duszy; ale wracam z podróży.

— Bardzo mię to cieszy, bo mam ważną do niego prośbę.

— Prośbę? — rozkaz chyba? — mówił podczaszyc z expressją.

— Chcę kołatać do jego serca.

— Do mojego serca! — składam je u stop asindzki.

— Do jego wspaniałości.

Talerkiewicz zadrgnął, przypomniawszy słowa rotmistrza, i zniżając ton odrzekł:

— Na co tylko moje ubóstwo wystarczy mociumdziko, widzisz mię gotowym.

— To o co mam prosić, nie będzie pana wiele kosztowało.

— Zapewne że nie. Owszem korzyść będzie z mojej strony, jeżeli potrafię coś dla asindzki uczynić.

— Pan znasz tego biednego szlachcica? — zapytała wskazując na Ordęgę.

— Znam go mociumdziko — on — —

— On jest bez sposobu do życia, dokończyła Julja.

— Być może — rzekł litośnie podczaszyc.

— Ma żonę i pięcioro dzieciak.

— Rozumiem — trzeba mu dać elemożynę (i to mówiąc sięgał do kieszeni).

— Nie to wcale panie podczaszycu! Ordęga wprawdzie ubogi, ale nie żebrak. On chce sobie zapracować swój kawałek chleba.

— Tym lepiej. Niech pracuje, Bóg mu dopomocze — wydekłamał Talerkiewicz wznosząc oczy w górę i cofając rękę z kieszeni.

— Pracował też. Miał dzierżawę u pana.

— Tak to było, aleśmy się rozstali z pewnych powodów — On bo mociumdziko...

— Nie chcę wchodzić w powody — przerwała Julja — a wstawiam się za nim do wspaniałości pana podczaszyca.

— Chciałbym być wspaniałym, ale złe czasy, exdywizje (jąkał Talerkiewicz, a tu rotmistrz zaszedłszy mu z tyłu pociągnął za połę, przez co zreflektowany ciągnął dalej): Chciałem mówić, zrobię co pani każesz — dam mu jeśli taka jej wola kąt z ogródkiem — za połowę tego co mi inni płacą.

— Byłaby to takż jałmużna, a mówiłam już, że on nie jest żebrakiem.

— Coż więc mogę dla niego zrobić? — pytał zafasowany Talerkiewicz.

— Pozwolić mu dotrzymać dzierżawy do terminu opisanego kontraktem — odpowiedziała wybitnie Julja.

— Ten kontrakt zerwany! — wykrzyknął podskakując podczaszyc.

— Właśnie dla tego proszę o powrócenie go do pierwszego stanu — powiedziała Julja.

— Ordęga chce się ze mną prawować — zarzucił Talerkiewicz.

Wtedy Julja przywołując stojącego w głębi sali Ordęgę, zapytała go czy chce koniecznie prawować się z podczaszycem.

— Bóg widzi, że nie chcę — odpowiedział szlachcic — dopraszam się mojej tylko własności, mojej należytości.

— Otoż masz! — zawołał Talerkiewicz — on moje ziemię uważa jakby swoje własność!

— Bynajmniej — odparł Ordęga — nazywam własnością moją chudobę, którąś wielmożny pan zagrabił: nazywam moją należytością dzierżawę zaścianka, do terminu opisanego kontraktem.

— Widzi pani, jaki to pieniacz! Robi preten-
sje, dopominki! — wykrzykiwał podczaszyc.

— Zdaje mi się słusznie — wtrącił Lucyan.

Napadnięty z jednej jeszcze strony Talerkiewicz, spojrzawszy na Lucjana i zapytał rotmistrza pół głosem „kto to ten młokos?” — na to mu wręcz Lucyan: — „Pełnomocnik pana Ordęgi, jeśli pan chcesz wiedzieć” — a rotmistrz dodał — „mój syn” — Julia zaś: — „mój krewny” — Odurzony temi z trzech stron pociskami, Talerkiewicz ukłonił się Lucyanowi, cedząc przez zęby; — „Cieszę się mocno” — a do siebie rzekł — „Niechże cię djabli, tu widzę trzeba zwarzjować! Ten Ordęga opętał ich wszystkich na moją zgubę!” — i tarł farbowaną czuprynę, że mu aż dłoń poczerniała a włosy zaczęły bieleć. Widząc to rotmistrz szepnął mu do ucha: — „Podczaszycu, kto sieje ten zbiera, mówi przyszłowie.”

— Prawda — odszepnął Talerkiewicz — ale punkt honoru, mam ustąpić hołyszowi?

— Toż właśnie wspaniałość, *magnanimitas*.

— *Maledicta magnanimitas!* — zgrzytnął podczaszyc i przechadzał się niespokojnie na stronie, rozmyślając i spoglądając czasami na podkomorzan-
kę rozmawiającą z Lucyanem. Wyraz jej oczu coś

mu się nie podobał. Znalazł, że nader czule patrzyła na tego, jak go nazywał, smyka; lecz przypomniawszy sobie że to krewniak, uspokoił się i przemyślał jakby rzecz kończyć z mniejszą stratą; rotmistrz tymczasem szepnął kuzynce:— „Kuj żelazo póki ciepłe, mówi przysłowie.”— Skrzywiła się na to Julja, uznała jednak prawdę przysłowia i odezwała się do Talerkiewicza w te słowa:

— Próżnem więc było wstawienie się moje do pana podczaszyca?

— Jako mociumdziko? — wołał biegnąc ku niej Talerkiewicz — każde słowo asińdziki ma u mnie wagę złota.

— A zatem — pytała.

— A zatem, zatem, da się to ułożyć z Ordęgą ku wspólnej satysfakcyi.

— Ale tutaj, zaraz! — nalegała.

— Tutaj? zaraz?! mociumdziko — niepodobna.

— Jako? czemu niepodobna — pytała z żywością.

— Chyba... jednorazowie... byłbym szczęśliwy... Nie skończył, bo go rotmistrz pociągnął za rękaw a służący wszedł w tęże chwili donosząc swęj pani o przybyciu pana marszałka Spylińskiego. Zląkł się podczaszyca, wiedział bowiem że to rywal, a gdy mu rotmistrz powiedział do ucha: *Periculum in*

mora, spiesz się, radzę dogodzić jej żądaniu bez żadnej kondycyi.” Wtedy już czyniąc gwałt sobie rzekł do podkomorzanki: — „Zgoda na wszystko mociumdziko bez — to jest *sine qua non*.”

— Łacińskiego wyrazu nie rozumiem — odpowiedziała Julja — a wdzięczną jestem panu za przychylenie się do mej instancyi.

— Ja się schylam do stop asińdziki i mam nawzajem złożyć suplikę — deklamował uroczyście Talerkiewicz przy ucałowaniu ręki podkomorzanki, a wtem wszedł z szelestem pan marszałek, i witając się z gospodynią uwolnił ją od słuchania supliki to est deklaracyi podczaszyca. Spotkała ją wprawdzie długa przemowa drugiego konkurenta, lecz ten się ograniczył samemi grzecznościami nie dotykając wcale sprawy swojego serca. Na podobne powitalne komplementa, panna Bogacka jedną tę miała zawsze odpowiedź: — „Chciéj pan usiąść, bardzo o to proszę.” — Tem więc i teraz poczęstowawszy marszałka, obróciła się do Lucyana prosząc aby się potrudził napisać ugodę między Talerkiewiczem i Ordegą. Podczaszyc, *volens nolens*, musiał na to przystać, ale poprzysiągł sobie w duchu, że nigdy już więcej w grzech wspaniałości nie wpadnie. Lucyan tedy odszedł z Ordegą dla zajęcia się ugodli-

wym dokumentem, a Julja została z dwóma konkurentami, spoglądającymi jeden na drugiego niespokojnym okiem.

Pan marszałek mówił z łatwością i w potrzebie używał kwiecistego stylu. Piastowanie poważnego urzędu, przejmowało go wciąż głęboką ku własnej swej osobie. W całym obywatelstwie nie było kogoby mógł porównać z sobą; temu zaś samopoznaniu towarzyszyła wielka, jak sam powiadał, sprężystość w kierowaniu spraw publicznych, wielkie zatem i naturalne zaufanie w trafności każdego swego kroku. Jednej, błażej na pozor rzeczy, nie dostawało mu do wyniesienia się na stopień odpowiadający tylu talentom — pieniędzy. Obszedłby się bez nich jak filozof, lecz nie mógł pogardzać nimi jak urzędnik, jak reprezentant szlachty, do jakowej reprezentacyi czuł w sobie nieprzewyciężony pociąg. Probował różnemi sposobami podbijać sobie kapryśną fortunę: stawiał na loterję, kupował akcyje, grywał nawet incognito w djabełka, lecz mu się w tem coś nie wiodło, i sam już tylko hymen przy świetle swej pochodni naprawić mógł psoty owej ślepej bogini. Pan Spyliński był już zakosztował słodczy małżeńskiego związku z osobą trochę ułomną, nieco ograniczoną, lecz pięknej wsi

dziedziczką. Śmierć wydarła mu żonę, a szwagrowie odebrali jej majątek, ponieważ zesła bezdzietnie. Cios ten poprzedzony niepowodzeniem w śmiałych spekulacjach, zachwiał jego materialną substancją, nienadwerężając atoli zasobów moralnych. Marszałek w dobrej i złej doli wysoko nosił głowę (co niektórzy źle nazywają zadzieraniem nosa), ton jego był zawsze pewny, kredytorowie czytać mogli na pogodnym jego obliczu zadowolenie zapowiadające bezpieczeństwo zlokowanych u niego kapitałów; taką zaś przy obliczaniu się znajdowali w nim łatwość i wyrozumiałość, że za należne procenta każdy otrzymywał nowe obligi i powiększał tym sposobem masę swego kapitału. Na nieszczęście, kapitaliści i prawie w ogólności wierzyciele, należą do rodzaju ludzi trwożliwych, niedowierzających, i obdarzeni są przytem szczególnym węchem do zwietrzenia by najmniejszej w hipotece słabości. Z tej przyczyny marszałek ujrzał ze strony swych kredytorów demonstracye wcale niezgodne ze czcią, której od nich wymagała dostojna jego persona. Trzeba się więc było rozplącić, aby natrętni wrócili do karbów winnej submissji, trzeba się było zarazem i przy majątku utrzymać, ażeby na przyszłych wyborach wstąpić na wyższy jeszcze

i odpowiedniejszy swym zdolnościom świecznik; do tego zaś wszystkiego trzeba było, jakieśmy powiedzieli, jednej małej rzeczy — pieniędzy.

Ktoż nie widzi, iż dla człowieka bujającego w sferze wyższości, przykrą była konieczność szukania pomocy u niższych istot, albo wprzężenia siebie znowu w jarzmo, z którego śmierć małżonki dopiero co go oswobodziła? *Necessitas! inexorabilis necessitas!* pod twém żelaznem ramieniem ugiął się stoicyzm marszałka. *Jacta est alea!* Stało się! Kazał zaprządz karetę, wdział na siebie frak z orderową wstążeczką w pętlicy, włożył na palce pierścieni brylantowy, a do kieszeni złotą tabakierę, i oto przyjechał uszczęśliwić — kogoż? — starą pannę!! Tak, ale bogatą. Marszałek uważając rzecz z punktu filozoficznego, znalazł kompensacyą w należytęj mierze.

Gdy więc obok gospodyni usiadł i wszystko uciuchło, zaczął do niej w te słowa:

— Czy pani zrobiłaś wotum, nieuszczęśliwić naszego miasta swoją obecnością?

— Bywam tam, czasu jarmarków — odpowiedziała.

— Tak, ale tylko na chwilkę, w sklepach, a na reducie prawie nigdy.

— Nie tańczę, a nudzi mnie, wyznam, siedzieć i patrzeć ciągle na tańczących.

— Słusznie bardzo gardzisz pani tą rozrywką, rzecz można, nazbyt dziecinną, aby mogła przypaść do smaku umysłom wyższemu. Ja także nie tańczę, chyba w uroczystych okolicznościach, gdy mi, jako przodkującemu w obywatelstwie, przychodzi bał otwierać, lub jak się zdarza w stolicy, gdy która z wysokich dam życzy sobie, bym jej był tancerzem. Trzeba jednak umilać życie towarzyskiemi zabawami, uścielać sobie drogę kwiatem.

Talerkiewicz splunął i szepnął do siedzącego obok rotmistrza: — „Ha, przeklęty kusiciel!” — Julia zaś odpowiedziała marszałkowi, że do umilenia życia wieś jej dostarcza obficie zabawy.

— Pięknie to jest — rzekł on znowu — i zazdrościć pani tego przywiązania do wdzięków natury, które ubóstwiam w idei, nie mogąc ich kosztować w rzeczywistości.

— Przecie pan masz wieś i zapewne piękną?

— Mam ich kilka, i pochwalić się mogę że w dobrach moich natura wielorakie swe rozlała piękności: zielone między górami dolinki, strumienie wijące się po łąkach okolonych wysokopiennemi gajami. O, gdybym (ciągnął cichszym głosem) gdy-

bym mógł mieć kiedy szczęście wodzić panią po tych moich sielskich romantycznych ustroniach!

Talerkiewicz obrócił się do rotmistrza i dość głośno: — znam, rzecz, Holnicze pana marszałka, ale niech mię kaci porwą, jeżeli tam widział góry lub strumienie. Łąk. dużo, ale błotnych, ha! jest i las, ale na szczerych piaskach; rola dobroci średniej, budowy opuszczone.”

Kto inny byłby się zmięszał; P. Spyliński zaś utrzymał należycie równowagę i nachylając się ku Julji rzekł z uśmiechem, rzuciwszy okiem na swego rywala:— Natura w utworzeniu istot dziwnym ulega kaprysom, i darzy często towarzystwo indywiduami nastrojącącemi pytanie, do czego takie figury na świecie są potrzebne?

— Wielka prawda! sama sobie nieraz czynić muszę to pytanie — odrzekła Julja z uśmiechem, pociągając wzrok po obu konkurentach.

Tak się zemściwszy na podczaszycu za niewczesną jego obserwację, chciał marszałek wrócić do przerwanego wątku sentymentalnej rozmowy, ale wyraz twarzy panny Bogackiej nie był wcale zachęcający. Widać było, że przez grzeczność tylko usiłowała ukrywać fatygę i nudę. Domyślił się marszałek że piękne frazesa nie robią efektu na

nieukształconym umyśle parafianki, próbował zatem zainteresować ją z innej strony, i tak zaczął:

— Z kilku zacnymi damami, znajomymi pani, zrobiliśmy projekcik, który przywożę pod jej aprobatę.

— Cożby to być mogło? — zapytała zimno.

— Piknik, czyli balik wiejski w ogrodzie za miastem. Towarzystwo dobrane za biletami; muzyka z czeskich górali, a w nocy fajerwerczek. Obrany zostałem na gospodarza — i będę najszcześliwszy z ludzi, jeżeli pani przyjąć raczysz urząd gospodyni.

— Gospodynią na balu? Zdaje mi się żem jeszcze nie dość weteranka do tej roli.

Zbity z toru pan Spyliński, odchrząknął i tak odrzekł:

— Ale bośmy na ten raz postanowili, dla osobliwości, wybrać młodą gospodynię.

— Jeśli tak, więc być nią także nie mogę, bom już nie młoda.

— Kto nie chce, znajdzie zawsze jakąś wymówkę. Pani masz okrutne serce!

To rzekłszy, chciał już marszałek pożegnać nieczuły ten posąg niewieści (tak ją w duchu nazwał ze złości), lecz gdy z uprzejmością prosiła aby

został na obiad, rozchmurzył czoło i rzekł do siebie— „Droży się, chimeryczy, a w końcu ulegnie. Chociaż bowiem tyłu odmówiła, mnie rekużować nie będzie śmiała. Zostać od razu marszałkową i bodaj gubernską, to pokusa której się żadna stara czy młoda nie oprze.

Z przyjemnej tej reflexji wyrwał Spylińskiego szelest wchodzących. Był to Lucyan z papierem w ręku, a z nim Ordega niosący kałamarz i pióro. Marszałek spostrzegł teraz na licach Julji inny wcale wyraz i poczytał tę zmianę za dobrą dla siebie wróżbę; Talerkiewicz zaś zmarszczył czoło i przeczytawszy podany mu dokument, kręcił się jak na rożnie, nie chcąc podpisać i bojąc się obrazić podkomorzankę. Podpisał naresztę, lecz z tak boleśnem westchnieniem, że się wszyscy rozśmieli cicho, marszałek zaś aż się wziął za boki, uszczęśliwiony kontorsjami swojego rywala. Dopieroż nastąpiła czuła scena, gdy Ordega, płacząc jak bóbr, chciał dziękować naprzód Lucyanowi, a ten mu wskazał ciotkę swoją, aby jej raczej złożył powinne dzięki. Poczciwy szlachcic ścisnął więc kolana swęj protektorki i zakończył dziękczynienie, życzeniem aby Bóg dał jej dobrego męża, z którymby doczekała godnej cnót swoich konsolacyi. Roztkliwiona i za-

wstydzona Julja, odeszła z bijącym sercem do swego pokoju, aby ukryć żywe wzruszenie, i oddać się ogarniającemu jej duszę uczuciu. Co widząc Spylński i nieświadomy całego wypadku, zapytał rotmistrza, coby znaczyła ta komedia? A gdy mu ten powiedział, że to była ugoda, w której podczaszyc okazał się wspaniałym, marszałek znowu się śmiać zaczął; i rzekł potém kiwając głową: — „Aha, zgaduję! rozumiem! — Obruszyło to pana Talerkiewicza, więc też nie tracąc czasu, odkwitował mu swoim orężem.

I przystąpiwszy doń pokornie, rzekł suplikującym głosem:

— Byłem ongi u pana marszałka dobrodzieja w wiadomym mu interesiku.

— Wybaczysz pan — odrzekł ten poważnie — że sobie tego nie przypominam. Tyle mam spraw publicznych na mej głowie, że niepodobna żeby mi każda, z partykularnych zwłaszcza, tkwiła w pamięci.

— Może pan sobie przypominasz sumkę ze spadku sędziego, deponowaną w szlacheckiej opiece? otoż mam już ją sobie przysądzoną ultimarnym dekretem, i chciałbym zaraz....

—Zapóźno, mój łaskawco! zapóźno! Już jej nie ma w kassie.

—A gdzieżby się podziała!?

—Oddana w lokatę.

—Komu?

—Zdaje mi się, że to mój plenipotent wziął ją pod mą niebytność, za rezolucją opieki. Niepotrzebnie to zrobił, ale już się stało, a spodziewam się że pan jesteś o swe pieniądze zupełnie spokojny?

—Nie ze wszystkiem mociumdzieju; chciałem mówić, potrzebuję na głowę pieniędzy.

—Więc mu je wypłacę. Znasz mię przecie.

—Mam ten honor.... ale potrzebuję *eo instante*.

—To jest po roku, — przerwał marszałek — z prawnym procentem, bo na krótszy termin nie oddają się summy w lokatę, pan o tem wiesz, sądzę?

—Wiem na moje biedę mociumdzieju, i wiem takoz że z tej lokaty może się ona po roku przenieść do wieczności, gdy przypadkiem nastąpi oświadczenie na taxę i exdywizją.

—Co to panu w głowie! — zawołał gniewny Spyliński — kto mu to powiedział?

—*Publica vox*, mociumdzieju, przepraszam.

—Kto wierzy baśniom, nie mam z tym do czynienia.

—*Vox populi, vox Dei*, mociumdzieju, proszę się nie gniewać.

—Schowaj pan dla kogo innego, swoje szkolne cytacje, a mnie daj pokój!— piorunował marszałek sapiąc ze złości.

Przyszłoby może między nimi do formalnej kłótni, gdyby Julja nie wróciła do kompanji. Dwaj współzawodnicy wyglądali dość śmiesznie, lubo każdy w innym rodzaju. Spyliński z zadartą głową i z najeżonym tupetem, jak kogut śród walki; Talerkiewicz blady, spoglądający z podełba i garbiący grzbiet jak kot, który przeciwnika swego do krwi udrapnął. Rotmistrz z ironicznym uśmiechem trząsał wolno tabakę z różka, a Teklunia w głębi sali rozmawiała po cichu z Lucyanem, jednym nim tylko zajęta. Ta ostatnia grupa ściągnęła na siebie szczególną uwagę Julji; nie postrzegła więc postawy dwóch konkurentów, i dobrze się stało, bo ich osobliwsze miny byłyby ją pobudziły do śmiechu z uchybieniem obowiązków gościnności.

Wnet dano do stołu; marszałek zajął miejsce obok gospodyni, i wieleby pięknych rzeczy jęj naprawił, gdyby mu w tem ciągle nie przeszkadzał

symplak na pozor, a nie głupi wcale, podczaszyc. „Cicha woda rwie brzegi” zauważył rotmistrz gdy Talerkiewicz *per ambages* szczypał marszałka, żaląc się niby nawiasem na upadek kredytu, z łaski marnotrawców, zadrzynosów, chorujących na pana, i obciążających swe fundusze niepomiernemi długami. Obracał mowę do rotmistrza nie zbyt głośno, dość atoli aby być przez cały stół słyszany, nie patrzył wcale na marszałka, a przecie mu tak swemi ogólnikami dopiekał, że się ten pomimo pewności swojego tonu, zacinał w mowie, tracił szyk wyrazów, z trudnością przełykał kąski, słowem utracił połowę zwyczajnego swojego dowcipu i taktu.

Skończył się obiad; pan Spyliński odetchnął w nadziei, że znajdzie teraz swobodną chwilę do pomówienia z panną Bogacką o głównym celu swjej wizyty, gdy nowa zaszła przeszkoda. Trzeci konkurent, P. szambelan Igrzycki przybył w tymże co i dwaj pierwsi zamiarze, spóźnił się na obiad i głód swój zaspokoić musiał filiżanką kawy. O ile marszałek górował nad Talerkiewiczem postawą i oglądą, o tyle zaćmił go z kolei szambelan wytwornością i polorem wielkiego świata. Ten ostatni posiadał w wysokim stopniu talent dopatrzenia się od razu w ludziach słabej strony, aby ich

potem okrywać śmiesznością, gdy mu tego wypadła potrzeba. Mając więc tutaj, jak się zaraz domyślił, dwóch przed sobą współzalczyków, na obu razem wymierzył swe ciosy, i tak zręcznie w dysputę ich między sobą wprowadził, że marszałek i podczaszyc nie spostrzegli się wcale jak zabawne przed podkomorzanką odegrywali sceny. Chybił atoli dworak w głównym punkcie swojego celu: albowiem rodzaj ten zabawy nie podobał się panie Bogackiej. Pocziwe jej serce pełne miłości bliźniego, cierpiało gdy szydzono z tych nawet których nie lubiła. Skoro więc tylko spostrzegła złośliwy szambelana zamiar, położyła koniec dysputcie, proponując gościom przechadzkę w ogrodzie. Powstali wszyscy, a każdy z trzech pretendentów posunął się ku podaniu ręki podkomorzance, lecz los tak zrządził, że Talerkiewicz uprzedził tamtych i podnosząc się na palcach, cały w łamańcach i przymileniach, poprowadził gospodynię, ku wielkiemu zgorszeniu marszałka i niemałemu nieukontentowaniu szambelana. Oba ci panowie znaleźli się niechętnie i niespodzianie w arjergardzie, ponieważ wązkie drożyny parteru nie więcej jak dwóm osobom dozwalały postępować frontem. Pan Igrzycki nie pokazał po sobie, że mu to nie było

do smaku, wolał z resztą, że Talerkiewiczowi dostał się ten honor anizeli Spylińskiemu, którego niebezpieczniejszym uważał rywalem; lecz biedny marszałek nie mógł strawić téj obrazy, i w ogrodzie jeszcze podkomorzankę pożegnał, nieutraciwszy całkiem nadziei, ale rozdałszy i złorzeczący całemu światu. Rad z téj rejterady, usiłował szambellan i drugiego przeciwnika wyprawić za wrota, ale znalazł w Talerkiewiczu upartego kozła, który nietylko dotrzymał placu, ale mu nawet dał poczuć twardość swych rogów. Nie było co robić: gbur szlachcic rąbał bez finty, krzyżową sztuką, i zdezarmował fechtmistrza dworaka. Pan Igrzycyki spojrzął na zegarek, i śliczny, pożegnalny gospodyni powiedziawszy komplement, odjechał. Dopieroż podczaszyc odzierżawszy plac boju, byłby już zgiął kolano przed swoją królową, gdyby mu nie przyszło na myśl, że taki pośpiech mógłby się niepodobać podkomorzance. Do powtórnej więc wizyty odłożył formalną deklaracją, gdy na nieszczęście nowe do tego zasły przeszkody. Nagła exdywizja jednego z ważnych jego debitorów, nie cierpiała zwłoki, i w daleką od ukochanego przedmiotu zawiodła go stronę.



5.

Inną wcale postać rzeczy znajdujemy w Althofie. Baronowa, jak to można było przewidzieć, nie wielkie robiła postępy w łacinie; lecz toby ją najmniej frasowało, gdyby zamierzony innego rodzaju postęp nie był takż nazbyt powolny. A przecież Lucyan nie skąpił gorliwości dla uczennicy, ani admiracyi dla kobiety godnej tego hołdu. Pani Althof widziała to i czuła, że od cnotliwego młodzieńca nie więcej nad to wymagać nie miała prawa. Nie była ona też z rzędu pospolitych kokietek, i widzieliśmy, że w epoce najdrażliwszej roztrzepanego życia, pomimo całej lekkości w swém postępowaniu, nie zaszła nigdy tak daleko, aby ją przestano policzać do rzędu uczciwych kobiet. Chłód serca

dozwalał jej pilnować się tej granicy, za którą już na włos nie można się bez hańby wychylić; umiała stawać na brzegu przepaści i nie dostać zawrótu głowy. Lecz całkiem odmienne teraz było jej położenie: kochała po raz pierwszy, a pierwsza ta miłość jak pożar wolnym rozdymany wiatrem, coraz silniejszym płomieniem obejmowała jej serce; fenomen może rzadki, nieprzeto jednak nienaturalny. W fizycznej sferze, twarde, zimne ciała rozgrzewają się powolnie, lecz gdy się rozpalą, do jakiegoż stopnia podnosi się w nich moc ognia; otoż tak się dzieje i w moralnej; w temperamentach zimnych zażegniona namiętność, niewidoczna z razu, gdy się rozżarzy, działa wtedy gwałtownie i nieustannie. *Ira quae tegitur nocet*; gniew tłumiony najszkodliwszy, toż samo i o innych pasjach powiedzieć można. Właśnie w tym przypadku znajdowała się baronowa; tłumiona miłość stała się najszkodliwszą, szczególnie dla niej samej. Dotąd umiała wzniecać to uczucie ku sobie niepodzielając je sama, teraz poczuła moc jego we własnym sercu, niemogąc wzniecić miłości w kochanym przedmiocie. Dotąd lekce ważyła mnogich swoich czcicieli, i uważała ich ofiary jako hołd sobie należny, dziś przejęła się dla młodego człowie-

ka uszanowaniem, i każdą odeń przysługę przyjmowała jak dobrodziejstwo. Nie tak jednak rozum, nauka i piękność, jak cnota młodzieńca taką mu nad nią dały przewagę. Nasza Aspazja widywała u nóg swoich nieraz Alcybjadesów, Peryklesów, Fidyasów i Anaxagorów, a żaden z nich swym blaskiem, uczonością i talentem nie wzbudził w niej tego poważania, jakie czuła w sobie teraz dla ubogiego, skromnego a cnotliwego młodziana. Pani Althof znajdowała się, mówię, w najtrudniejszym położeniu, gdy ani dłużej ukrywać przed Lucyanem swęj miłości nie było już w jej mocy, ani odkryć przed nim swęj słabości nie mogła bez hańby, ani też widziała sposobu zapalić w nim miłość wzajemną. Cała strategija wyćwiczonęj w tęg sztuce kokietki, posłużyła-li jej tylko w tym razie do przekonania się, że i w młodęj, ognistęj piersi znaleźć może swęj przybytek cnota, że niewinność mocniejszą nad samo doświadczenie może być przeciw pokusie tarczą. Jeden jej tylko jeszcze, i to nie całkiem niezawodny zostawał sposób, o którym niebawnie się dowiemy.

Dnia jednego przed samem południem, siedziała pani Althof, jak zwykle, w eleganckim swoim buduarze, przed wytwornem biórem zarzuconem

książkami, papierami i rycinami, nie licząc mnóstwa brązowych, porcelanowych i t. p. kosztownych cacek, mających niby służyć do pisania, a niezbędnych salonowym literatkom. Ranny jej negliż, pełen najlepszego smaku, zastosowany był umiejętnie do obecnego perjodu jej wdzięków, czyniąc-li wydatnem to, co w niej jeszcze było pięknem, a światło z okien, przez lekką karmazynową firankę na twarz jej padające, krasilo różowym odblaskiem białosc lic przechodzącą skutkiem lat i salonowych trudów w bladą żółtawą cerę, dla której pochlebstwo dworaków wymyśliło jakby coś pięknego, nazwę *morbidezza*. Biała jej ręka przrzucala karty grubego rękopisu, druga głaskała leżacego na kolanach czarnego mopsa. Był to ostatni potomek owego rodu, co to niegdys tak szczęśliwie posłużył za narzędzie widokom ambitnej Krysi, przeto też dzisiaj baronowa religijnie spełniała ostatnią wolę swej nieboszczki ciotki, co do opiekowania się osierococonemi jej pieskami; lecz przysza już widać fatalna epoka wygaśnięcia tego znakomitego niegdys psiego rodu, ponieważ i ten ostatni żyjący exemplarz miał zejść bezpotomnie ze świata. Śród tej pół-pracy, pół-zabawy prowadziła piękna dama taką z sobą rozmowę:

—, „Dzięki niebu, skończyłam pierwszą część moich pamiętników! druga pójdzie mi łatwiej, bo na-przód, nabyłam już cokolwiek wprawy, a powtóre, sama epoka doda im potężnie interesu. O ścisłą prawdę wcale mi nie chodzi; któż dziś w pismach tego rodzaju szuka samej prawdy? Gburowaty Pa-sek z 17-go wieku i wytworna Abrantes z 19-go, z równą bodaj sumiennością opisali swoje przygo-dy, a są ludzie co wierzą na słowo jednemu i dru-giej; inni zaś lubo nie tak łatwowierni, czytają atoli z wielkiem upodobaniem dowcipną tę mie-szaninę prawdy i zmyślenia. Dowcip wszystko płą-ci. Bez niego nic. Bądźże błogosławiony najdow-cipniejszy z ludzi, wielki Wolterze! Tyś zagrunto-wał panowanie bożka twego na ziemi; rozwinąłeś jego potęgę i podniosłeś ją do tego stopnia, że sam jeniusz nawet, jeżeli dba cokolwiek o swą popu-larność, szukać musi u niego wsparcia. Dowcipowi hołdują dziś mówcy parlamentowi, nie gardzą nim kaznodzieje, wzdychają dość recenzenci; sły-szałam nawet, że uczeni niemcy polują na dowcip. Pięknyż to być musi ten ich *Witz*, nieprzechodzący zapewne lekkością poskoków niedźwiadka. Nie-zbyt są w tém szczęśliwsi i nasi polscy pisarze. Angielski zachwalony *humour*, trąci mi coś rostbi-

fem i porterem. Włoch wpada w swoje niesmakowite *Concetti*; francuzi tylko jaśnieją cudownym, nieporównanym dowcipem. Napróżno pedant jaki chciałby głos podnieść przeciw jennialnym powieścio pisarzom i dramatykom nowėj francuzkiej szkoły; nikt z nas ukształconych nie słuca nudnego hipokondryków gderania. Gdyby też pozwolić, przerobiliby nas w końcu na ponurych purytanów. Ach! już bez tego cywilizowanemu społeczeństwu wiele ubyło wdzięku. Młodzież dzisiejsza niepodobna wcale do tej, z którą przepędziłam pierwsze lata mojej młodości. Jakież to byli nieoszacowane chłopcy! Wesołość, dowcip strzykały im ze wszystkich porów. Konwersacya płynęła bystrym potokiem, niehamowana żadną pedanterją, chyba cudowny *kalambur* przedziwnie czasem przerwał jej wątek. Zgromadzano się aby się bawić, i cel ten zawsze bywał osiągnięty. Śmiano się, szalano, kochano ze wszystkiėj mocy, wszyscy też pojmujący szczęście, poili się niem do syta. A dzisiejsze salony? istne świątynie nudów: filozofują, platonizują — *fi! l'horreur!*— Igdybyż to starzy? przeciwnie, starzy wyglądają dziś gaszkami obok swoich synów. Wszystko się na świecie jakoś przewróciło. Ja sama do czegożem teraz podobna? Gdzie daw-

na moja swoboda, *cette heureuse insouciance, cette égalité de sentiment*, któremi uzbrojona igrałam sobie bezpiecznie z sercami, niepoddając własnego w niewolę?— Koniec— koniec już tego świetnego zawodu!— duchy me opiekuńcze opuściły mię, i oddały na łup namiętności, której się dotąd mężnie opierać umiałam. Kocham! — tak jest, kocham! I kogoż?— Młodzika, co się jeszcze nie otrząsł ze szkolnego pyłu!— Jak on mię opętał, sama tego nie pojmuję. Nie próżną zaiste ma głowę i serce dość pełne, ale polot myśli ciężki, nieśmiały, oddziaływa na uczucie, i rozlewa posępną jakąś barwę na młodocianą nadobną postać. Zwykle poważny, ba, nawet surowy, chwilami tylko pała szczérém czuciem, które po krótkim wybuchu wraca znowu trwożliwie do kryjówki serca. Ten oryginał jest dla mnie prawdziwym sfinxem. Rzucił mi zagadkę którą się dręcę, a której jeśli bym nie odgadnęła, okropny los mię spotka... Zdaje mi się atoli że ją odgaduję niestety!— On mnie nie kocha!... *Affreux!*... *Affreux!*... Ale może kochać będzie? może takiemu sercu więcej potrzeba czasu, aby z uwielbienia przeszło w miłość? Możeby się znalazła jaka silniejsza sprężyna, któraby uśpioną w nim tę władzę wprowadziła w ruch i ży-

cie?... Uhogi i dumny, chce być winien wszystko samemu sobie, własnymi siłami chciałby się dobić fortuny. Darami gardzi; żeby więc przyjął od kogo pomoc, trzeba by nieproszona przyszła mu drogą zasługi. Otoż gdy się dla mnie z uprzejmością trudzi, gdy mi chętnie posługuje swoją nauką i wiadomościami, mogę zdaje mi się okazać się mu wdzięczną, a to w sposób nieobrażający, owszem głaszający jego dumę.... Tém go zniewolę do wzajemnej wdzięczności, a wdzięczność poprowadzi go może dalej.”

Tu baronowa wsparłszy głowę na rękę głęboko się zamyśliła, tak, iż nie usłyszała wchodzącego do niej Lucyana. Młodzieniec zatrzymał się u progu widząc ją zatopioną w dumaniu, lecz nie mógł wzroku swego oderwać od jej twarzy, która mu się ukazała w skutku może optycznego złudzenia, tak piękną jak nigdy przedtém. Twarz ta wygrywała bardzo wiele widziana z boku; profil jej bowiem był prawdziwie grecki, czoło prześlicznie zaokrąglone, nos i usta jakby na starożytnych kameach. Poraz pierwszy Lucyan mógł się profilowi temu przypatrzeć w takiej odległości i przy takiej grze światła, jakiej potrzeba było do najlepszego efektu dla oka. Wrażenie więc które ztąd odebrał, było

głębokie i jakby powiedzieć urocze. Stał jak wryty i stałby był tak długo, gdyby się nakoniec pani Althof, wychodząc z zamyślenia, ku niemu nie zwróciła i lekko się wstrząsnawszy nie zawołała dźwięcznym, lubo tłumionym głosem:

—*Ah! c'est vous? Approchez donc.*

—Nie śmiałem przerywać myśli, w których pani byłaś pogrążoną — odpowiedział zbliżając się zarumieniony i z bijącym sercem.

Baronowa wyczytawszy z jego twarzy niezwykle w nim wzruszenie, rzekła z nieudanym czuciem:

—Myślałam o panu.

Lucyan zadrżał radośnie, ale się wnet opamiętał, i odrzekł:

—Ach, zgadywam... o dzisiejszej lekcyi?

Ściągnęły się brwi pięknej damy na te słowa i zawołała gniewna:

—Jeżeli tym sposobem zgadywając chcesz sam dla mnie zostać zagadką, to mu powiem, że próżna jego praca.

—Rozgniewałem panią, ale Bóg mi świadkiem...

—I nie mamże powodu gniewać się za takie słów moich tłumaczenie? Sądziś mię więc interesowaną i powodującą się we wszystkiem osobistemi widowiskami?... Myślisz....

—Ależ, na mój honor, ja nic nie myślę, coby mogło być w najmniejszej sprzeczności ze czią, którą jestem ku pani przejęty— przerwał Lucyan z ręką na sercu.

—Czcze kadzidło, któregom się do zbytku nawa-chała przez me życie. Chciej mi więc go oszczędzić proszę. Usiądź tu raczej i słuchaj cierpliwie com mu powiedzieć miała.

—Słucham w pokorze.

—Myślałam o panu, zaiste jak o moim nauczycielu, lecz przywiązuąc do tego miana inne wcale aniżeli ci się zdaje znaczenie. Nauka łacińskiego języka nie jest dla mnie czémś bardzo ważnem, daleko większą przywiązuję wagę do zdań i pomysłów, których mi udzielasz w rozmowie. Odkryłeś mi wiele prawd moralnych, o których świat śród którego żyłam, złe mi dawał pojęcie. Czytałam wiele, rozprawiałam nie rzadko z filozofami, przynajmniej z uchodzącymi za takich, lecz to wszystko com nabyła z czytania i z rozmowy, posłużyło-li tylko do pograżenia mię w zwątpienie i w bolesne wahanie się między przeciwnemi z sobą zasadami, naresztę w smutne jakieś rozczarowanie życia. Nie zdołam ci opisać jak smutną dotąd była moja exystencya! Błyszcząca zewnątrznie,

lecz w gruncie nieszczęśliwa. Zamęcie, nastaje pod złą jakąś gwiazdą, połączyło mię z człowiekiem nie stworzonym wcale do uszczęśliwienia kobiety— a gdy on mię nakoniec z jarzma swego uwolnił, zostałam młoda, niedoświadczona, i jakby powiedziec sierota, na tym świecie obłudy i próżności co go nazywają wielkim. Pseudo-przyjaciół i ni-by-przyjaciółek mnóstwo, lecz ani jednej szczerze ze mną sympatyzującej duszy, ani jednej ręki kierującej memi krokami, oświecającej mi drogę życia pochodnią prawdy. Jeżeli mię dym kadzideł i obłudnych ofiar całkiem nie odurzył, jeżeli duszą nie przyglęta do fałszywych uciech, winnam to szczęśliwemu charakterowi mojemu. Śród światowego wiru i upojenia, dusza moja tęskniła do czegoś lepszego, szukała przyjaźni, téj przyjaźni prawdziwej, która się rodzi nie z interesu, nie z kaprysu lecz ze szczerego współczucia.”

Tu baronowa się zatrzymała, podnosząc piękne swe oczy w niebo, i zwracając je potem melancholicznie na Lucyana, który pochłonięty uczuciem admiracyi, zawołał:

—O, jam to wiedział! Takie dusze jak pani wyrrywają się ze światowej cześci, dążą do uciech

wyższych, szukają współczucia w duszach im podobnych.

— Lecz nie raz daremnie — dodała baronowa z lekkim westchnieniem. Mówię z doświadczenia, zawiedziona już kilkakroć w przyjaźni. I temu się zresztą nie dziwię: to co wielu nazywa przyjaźnią, nie jest nią w istocie, jest tylko jej cieniem. Lubić a kochać, o jakaż między tem i tamtem różnica! Tak, gdy mi się zdawało że jestem kochana, pokazało się że mnie tylko lubiono, i przyjaźń jak z kaprysu powstała, tak ją też inny kaprys rozrywał. Powinnabym już rozpaczać.

— O, nie! — wykrzyknął Lucyan — nie powinnaś pani rozpaczać!

— Tak mówisz? — i nie lękałbyś się wystawić siebie na próbę? — rzekła z nieopisaną gracyą.

— Pani podobno próżność moję chcesz tu wystawić na próbę — odrzekł zmieszany tak niespodzianem zagadnieniem.

— Wykręcasz się — mówiła z uśmiechem — więc się boisz. Ja kobieta, śmielsza jestem w tym razie i zaufałamby jego przyjaźni, gdybyś mi chciał dać tak szczerze jak szczerzebym ją przyjęła.

— Pani? moją przyjaźń? — bełkotał Lucyan odurzony — Godzienem-li tego?

— Czemużbyś nie był godzien? Różnica płci, wieku, lub stanu, co ma przeszkadzać przyjaźni? Związek ten czysto-duchowy niezależnym jest od opinji i przesądów, gdy nienaruszając w niczem porządku społeczeństwa zamyka się w swojej własnej sferze, to jest dwie tylko dusze zajmuje, i, jeśli tak powiedzieć można, do jednego je tonu, jakby dwa muzyczne narzędzia, siłą sympatji nastraja. Głuche na wrzawę różno-brzmiących tonów niesforne koncertu świata, dwie te dusze słyszą w nim tylko zlewające się z sobą dwa swoje głosy, których doskonała harmonja napełnia je roskoszą, i jakby na równej parze skrzydeł podnosi wysoko nad poziom. Mielizbyśmy się pozbawiać tak wielkich korzyści przez wzgląd na czyjeś tam sądy, na zdanie osób które nie szacujemy wcale? Alboż najszczytniejsze cnoty i ofiary nie wyglądają w oczach gminu jak szaleństwo? Jesteś młody, jam stara (tu się rozśmiała ukazując dwa rzędy pięknych jeszcze zębów), ta okoliczność ma swoją dobrą stronę; a ponieważ w twój młodej głowie więcej jest treści — nie udawaj że skromniasia — jak w mojej stariej, otoż i kompensacya gładząca różnicę wieku między nami.... Czy się jeszcze boisz?

Wszystko to było powiedziane na pół poważnie, na pół czule, to jest, iż poważnej mowie towarzyszył wzrok pełen czułości; przy ostatnich zaś słowach ręka jej jakby niechcąca dotknęła ręki Lucjana. Zaelektryzowany, uchwycił i przycisnął do ust gładką tę białą rączkę, lecz wnet przestraszony swą śmiałością puścił ją i chciał przeproszać, i nie mógł znaleźć słów do tego.

Baronowa ukryła w sobie wzruszenie w którym zaiste nie było ani troszeczkę gniewu. Ucałowanie ręki, gdyby nawet miało być zuchwałością, usprawiedliwiałoby się w tym razie żywością tego uczucia którego się odeń domagała. Jakoż z zwykłym sobie wdziękiem przechodząc do weselszego tonu, rzekła:

„*Soyons amis Cinna, c'est moi qui t'en convie*”
i tym obrótem wyprowadziła Lucjana z pomięszania. Młody człowiek pozbył się trwogi, i nic już w tej przyjaźni nie widział dla siebie niebezpiecznego, owszem prawdziwy zaszczyt i największą przyjemność.

Po takim wstępie, po tém pierwszym zarzuceniu na niego różanych splotów, pani Althof spokojnie, z wyrazem życzliwości tak doń mówiła:

— Słuchajże teraz, co ci już jak przyjaciółka,

biorąca udział w twym losie, mam do powiedzenia. Ze zdolnościami jakie wzięłaś od natury, z nauką i talentami jakie posiadałaś racą, masz-li się zażrebać w zakęcie, żyć z dobrodziejstw twój krewnej i czekać azali ci ona nie zostawi czego po swój śmierci? Nie, zaiste, Widzę że inny całkiem masz zamiar. Wiem, jakbyś mi to sam powiedział, że czujesz się na siłach zdobyć sobie stanowisko niezależne, że chcesz być winien wszystko samemu sobie. Nieprawdaż?

— Prawda! — zawołał Lucyan — pani czytasz w mój duszy.

— Nie dziw się temu: przyjaźń jest jasnowidząca. Ten jej przymiot jak mi dał odgadnąć twe chęci, tak równie ukazuje sposoby zapewnienia im dobrego skutku. Wiesz dobrze jak często uzdolnieni młodzieńcy dla braku pomocy, protekcji, niszczą się w daremnych zabiegach, i niczego nie dosięgają.

— Niestety! tak jest — rzekł z westchnieniem Lucyan.

— Jeżeli tedy — ciągnęła dalej baronowa — protekcya, to jest pomoc, potrzebną jest młodemu walczącemu z losem człowiekowi, do kogoż się uda o nią szlachetnie myślący? Zaiste, nie do obojęt-

nych, zaprzątionych tylko sobą i przekładających związki familijne lub własne upodobanie nad prawdziwą wartość kandydata. Takich protekcyja, rzadko posługiwa a zawsze poniża suplikanta.

— Najświętsza prawda! i dla tego czuję w sobie wstręt nieprzewyciężony do szukania u kogo bądź protekcyi.

— Tego byłam pewną, jak równie że nie wzgardzisz pomocą z ręki przyjaźni. Minister, o którym ci już raz mówiłam, potrzebuje przybocznego sekretarza, *C'est un poste de confiance*, miejsce otwierające drogę do wysokich stopni, i o które się wielu ubiega. Otoż ja — przez me dobre stosunki z ministrem, to jest z żoną jego, spodziewam się *de pouvoir vous procurer cette place*, jeżeliś sobie czegoś lepszego już nie upatrzył. Co mówisz na to?

Lucyan uderzony widokiem tak niespodzianej pomyslności, powstał, składając ręce na znak dziękczynienia, i omal się nie rzucił do nóg dostojnej swój przyjaciołki, a serce miał tak pełne że mu się głos tamował w piersiach. Wtém wszedł szambelan i spojrzawszy na damę i na młodzieńca, poznał że się ukazał nie w porę. Nie wiedząc iż tu znajdzie Lucyana, przychodził o zwyczajnej godzinie powiedzieć baronowej dzień dobry, i pogawę-

dzić z nią jakie pół godziny przed śniadaniem. U progu więc zatrzymawszy się rzekł:

— Dzień dobry pani — i tysiąc razy przepraszam — może lekcya jeszcze nieskończona? Czyżby mię mój Bréguet miał dziś zwodzić? a na nim już sama pierwsza.

— Jużśmy skończyli — odpowie baronowa najspokojniej — *et vous arrivez fort à propos*: mam go o coś prosić.

— Chciej rozkazać pani — rzekł zbliżając się do niej.

— Bądź tak dobry szambelanciu, pojedź do miasteczka i weź tam dla mnie kartę pocztową do Warszawy i napowrót.

Szambelan i Lucyan zdumieli się na te słowa: pierwszy zapytał:

— Do Warszawy? Cóżby to?

— Może interes, może kaprys tylko, *bref*, pojutrze chcę już być na gościńcu?

— Kogoż pani bierze ze sobą?

— Balbinę i Johna.

— Na długo? jeżeli wolno zapytać.

— *Vous êtes aujourd'hui d'une curiosité!* Otoż się nie dowiesz, aż mię ujrzysz z powrotem.

— *Fiat voluntas*, ponieważ pani uprawiasz łacinę.

— Czy nie pierwszy raz w życiu przemawiasz tym językiem?

— *Que voulez vous, l'épidémie me gagne*, i ja zaczynam niestety trochę *deklinować*.

— Zamysłając o *konjugacyi*.

— Naturalnie — *amo, amas, amat*. Czy dobrze?

— Nie doszłam jeszcze do tego *verbum activum*.

— Ale już nie daleko? ja zaś w niém po same uszy.

— *Grand bien vous fasse* — ale myśl teraz o podróży karcie.... A oto John oznajmuje nam śniadanie. Idźcież panowie, ja za chwilę będę z wami.

Poszli oba zamysłeni. Nagły wyjazd baronowej kręcił się im po głowie. Ani jeden, ani drugi domyślić się nie mogli powodu. Lucyan tak mało miał zarozumiałości, tak mało znał kobiety, że nie śmiał sobie pochlebiać aby to on sam miał być téj podróży celem. Szambelan znowu nie mógł pogodzić swoich podejrzeń z tem oddaleniem się damy od nowego swojego faworyta. Gubił się w domysłach, badał zręcznie Lucyana, i naturalnie nic z niego nie wyciągnął. Baronowa zmieniwszy ubiór przyszła w najlepszym humorze, jadła z apetytem, drwinowała z szambelana, który nie był w dobrym sosie, co mu się zwykle zdarzało, gdy przenikliwość z któ-

rej był dumny chybiała mu posługi. Szpiegował ich oboje, azali się nie wydadzą jakim słówkiem, lub wzrokiem, lecz nic nie wypatrzył. Nie dosłyszał nawet (bo na jedno ucho był trochę głuchy) słowa *cito*, które pani Althof, żegnając Lucyana zcicha doń wyrzekła. Opatrzyła się widać w to łacińskie słowo z dykcyonarza, aby go Igrzycki nie zrozumiał. W tym razie jednak głuchota jego najwięcej posłużyła do spełnienia jej chęci.

6.

Wrócił Lucyan do Julina innym wcale aniżeli
 zeń był wyjechał. Jeżeli wprzód czuł w sobie ku
 baronowej pociąg, ujęty przymiotami jej umysłu,
 teraz gdy mu ona otworzyła rzekome skarby swo-
 jego serca, pociąg ten nie mógł się nie podnieść do
 wyższego stopnia, nie zamienić się prawie już w mi-
 łość. Dla bardzo młodego, czystej duszy człowieka,
 podobna miłość tém jest niebezpieczną, że w niej
 zmysły mało mają do czynienia; cała tedy prawie kon-
 centruje się w sercu, i w tej twierdzy trzyma się
 do upadłego. Dla tego też ostatnie podboje wytra-
 wionej kokietki najbardziej są mordercze, i biada
 cnotliwym, miłującym moralną piękność młodzień-
 com, gdy który nadstawi ucha głosowi tej kusiciel-

ki. Zwabi go ona, jak owe w *Odyssei* Homera Syreny, nie tyle czarownicą dla ucha nóta, jak pońętą dla umysłu treścią swego śpiewu; a kiedy bohater taki jak *Ulisses*, musiał się kazać przywiązać do okrętowego masztu, aby nie dać się ująć pochlebnemi obietnicami chytrych zwodzicielek, nie dziw że nasz młody magister prawa, któremu nikt woskiem nie zalepił uszu, uległ ponętom niemłodej lecz wdzięcznej i rozumnej, czyli, co tu na jedno wychodzi, przebiegłej kobiety.

Wysiadłszy z powozu nie wszedł *Lucyan* do domu, lecz się udał na przechadzkę do blizkiego gaju, aby, jak mówią poeci, ulżyć przepelnionemu sercu wyłaniem zeń uczuć na łono matki natury; bo zbytek wesela wymaga przestrzeni, aby obarczona niem dusza swobodnie oddychać mogła; potrzebuje powierników z którymi by się słodkim swém brzemieniem podzieliła, a gdy ich między ludźmi nie znajduje, idzie w pola i lasy opowiadać swoje uniesienia drzewom, strumieniom, obłokom, słońcu, księżycowi i gwiazdom, zgoła wszystkiemu co się jój w wielkiem widowisku przyrody postawi przed oczy. Tak też zrobił nasz bohater, a po długim błakaniu się wrócił inną stroną, i boczną fórtką wszedłszy do ogrodu, usiadł, w altanie, aby dać

spocząć zmordowanym nogom. Znużenie ciała, jak wiadomo, przytłumia w nas burzę namiętności i prowadzi do spokojnego oglądania zajmującego nas przedmiotu z każdej jego strony. Zaczął tedy Lucyan zdawać rozumowi i sumieniu swemu sprawę z myśli, uczuć i chęci które się w duszy jego krzyżowały od chwili uroczystej owjej rozmowy z baronową. Jakiż sąd wydał rozum? Że należało skorzystać z dobrego usposobienia ku niemu tej pani za której pomocą mógł sobie zapewnić byt niezależny, uczciwy i może z czasem bardzo pomyślny; lecz zarazem nie budować zamków na lodzie, to jest zaprzestać na prawach przyjaciela w których się zamykało wszystko czego od niej rozumnie mógł żądać. Coż zawyrokowało sumienie? Oto, ukazując mu niebezpieczeństwo, tak pod względem własnego jako i baronowej pokoju, w jakie się podał przyjmując bezwarunkowie jej przyjaźń i dając jej swoje, nakazywało zrzec się w swém sercu tych nawet praw któreby w innym stanie rzeczy mogły być dopuszczone, w tym zaś w jakim się oni oboje znajdowali, posłużyłyby-li tylko, do przeistoczenia przyjaźni w namiętną miłość; tejby zaś skutkiem być musiało albo źle dobrane małżeństwo, albo jeszcze gorzej, występny, od Boga i ludzi potępiony

związek. Śród tych rozmyślań, obraz baronowej stawał mu przed oczy; jej grecki profil, blask ciemnych źrenic, uśmiech czarujący, biust klassycznej piękności i srebrny wdzięk głosu,—wszystkie te lubości pieściły jego wyobraźnię, i zmysły brały górę znowu nad rozumem i sumieniem. Siedział ze spuszczoną głową, z przymkniętymi powieki, aż usłyszawszy szelest podniósł oczy, i ujrzał przed sobą—Julją.

W niepomyślną dla siebie chwilę spotkała się tu ona z Lucyanem, którego imaginacya zajęta obrazem baronowej, nie mogła najmniejszego wdzięku dostrzegać w kształtach nie tyle ponętnych i w niewytwornej wcale postawie biednej naszej bohaterki. Dwie te kobiety nie różniły się między sobą, wiekiem; czerstwiejszą nawet była panna Bogacka a ztąd wyglądała młodszą od swojej rywalki: ale pani Althof przewyższała ją delikatnością kształtów, udatnością, wspaniałością swęj postawy, żywą grą fizjognomji, równie jak umysłowem ukształceniem, wytworném smakiem, dowcipem, zgoła przymiotami najbardziej popłacającemi u świata. Ta jej błyskotna strona oślepiła młodzieńca trochę już zepsutego blaskiem miastowych salonów, i rzucała cień potężny na istotniejsze lecz pod mniej wdzięczną powłoką ukryte zalety wieśniaczki. Nic tedy

więcej nie mógł Lucyan wzbudzić w sobie dla swej krewnej, jak zimne uszanowanie, gdy nawet wdzięczność jaką jej był winien, ważyła się z silniejszym uczuciem pociągającym jego serce ku baronowej.

Zerwał się więc z miejsca swego, nie mogąc się zdobyć na okazanie zwykłej serdeczności w przywitaniu swej opiekunki.

—Cóż ci jest kochany Lucykanie?— zapytała go Julja z troskliwością,— wyglądasz strudzony, zachmurzony, jakby nie swój! Czyś nie słaby, broń Boże?...

—Nic mi nie jest,... prócz nieco fatygi i trochę migreny.

—Proszę cię, nie ukrywaj twych cierpień, jeżeli masz jakie, bo lepiej odemnie nie znalazłbyś przyjaciółki.

Lucyan pomyślał sobie: otoż mi nie brak przyjaciółek, oddajmy każdej co się jej należy!— odpowiedział więc:

—Ciotka dobrodzika nazbyt jesteś dobrą.

—Jakiż to wyraz miastowy! wybacz, nie rozumiem go wcale: zbyt być dobrą nie jest dobrze, miałabym ztąd wnosić, że nie potrzeba mi być twoją przyjaciółką?

—O! nie tak wcale, lecz że ja nie uznawam się godnym tego zaszczytu.

—Znowu przepraszam że nie pojmuję. Przecież sąd o tem do mnie należy, a kogom osądziła godnym mej przyjaźni, nie mógłby temu zaprzeczać, bez poddania się w podejrzenie, że udaną skromnością pokrywa odrzucenie tej przyjaźni. Ja tak atoli nie myślę, bo cię znam od dziecka. Widzę w twych słowach nałóg powtarzania czczych frazesów, płacenia monetą kursującą na wielkim świecie, nic więcej; ale ze mną mów po prostu, a te salonowe wyrazy chowaj dla dam salonowych, dla baronowej i jej podobnych.

Lucyan spłonał jak młode dziewczę, Julia to spostrzegła i zabolalo jej serce. Kochająca kobieta nie może być wolną od zazdrości. Ucieszczanie Lucjana do Althofa wydawało się jej zrazu jak coś bardzo naturalnego w młodym człowieku szukającym urozmaicenia swych zabaw, a w towarzystwie baronowej mógł znajdować przyjemność. Później wszakże doznawała jakiegoś przeczucia, że ta światowa, układna kobieta może być dlań niebezpieczną; a gdy teraz na jej wspomnienie młodzian się zapłonił, wątpić już nie mogła, że go ona silnie zajmuje. Bolesnie więc nań patrząc, czego on nie

dostrzegł mając spuszczone oczy, rzekła z dobrocią:

—Zdajesz się być dotknięty kuzynie? Baronowa cię interessuje? lecz ja nie miałam intencji mówić o niej coś złego.

Lucyan się obaczył i tak odpowiedział:

—Niech mi ciotka dobrodzika przebaczy małe wzruszenie; ale baronowa tak jest dla mnie dobrą, iż bolałoby mię gdybyś zrobiła sobie o niej, z jakiegobądź względu, opinię niepochlebną.

—Znam tę panią, i oddaję jej chętnie sprawiedliwość. Jednej rzeczybym tylko jej nie darowała, gdyby potrafiła pozyskać twą ku sobie przychylność z naszą szkodą.

—Nic nie potrafi w mem sercu osłabić przywiązania i wdzięczności dla najłaskawszej ciotki— odrzekł Lucyan uroczyście lecz chłodno.

Dla biednej Julji było i tego na ten raz dosyć. Serce jej przejmowało się równie łatwo bojaźnią jako i nadzieją. Poważny charakter Lucyana dawał mniemać, że on swe uczucia zwykł wyrażać bez zapału, i ta cecha czyniła go w jej oczach jeszcze godniejszym kochania. Poczciwa ta istota wystawiała sobie miłość jako uczucie czyste, święte, zatém spokojne; jako źródło uciech najśłod-

szych duszy, a serce swoje jako ołtarz do składania ofiar ukochanemu przedmiotowi. Taką była niegdyś jej miłość dla pana Wincentego, nie inną też obecnie dla Lucyana; w tem zaś między pierwszą i drugą wielka zachodziła różnica, że w owym czasie pan Wincenty starał się o wzajemność, a teraz na nią ta przysłała kolej. Pod tym względem znajdowała się Julja z baronową w jednostajnym położeniu, chociaż co do prawości celu krzywdzilibyśmy pierwszą, gdybyśmy ją na jednej linji z drugą stawić chcieli. Z tem wszystkiem, Julja chociaż w lepszym zamiarze, téjże prawie na zdobycie serca Lucyana użyła strategji co i baronowa, bo też inaczej nie byłaby kobietą. Zrobiwszy już dla niego wiele, chciała zrobić więcej, aby powiększyć przez to swoje prawo do jego przywiązania; chodziło zaś o sposób przyniesienia mu pomocy bez obrażenia jego delikatności, czyli jak inni nazywają, dumy. Owidyusz powiada, że sztuką jest umieć dać co komu. (s) Kobiety posiadają ten talent z uczuciowej swęj natury. Umieją najmniejszym darom nadawać wartość, większym zaś odejmować kolec upokorzenia. Julja więc tak do Lucyana mówiła:

(*) Crede mihi, res est ingeniosa dare.

—Przyznając mi prawo do twój wdzięczności, dowodzisz tém lepszego serca im mniej w istocie zaciągnąłeś podobnego długu; jeżeli bowiem udzielałam ci małej pomocy, było to słabem tylko wynagrodzeniem za to nieporównane poświęcenie się z jakim zacny twój ojciec zajmuje się mojem gospodarstwem oraz interesami. Wszystko więc co dla ciebie jeszcze uczynić chcę i mogę, będzie w każdym razie prostem tylko spełnieniem moich dla rotmistrza obowiązków.

—Jest to już w naturze serca takiej dobroci, przeceniać cudze zasługi, a swoim dobrodziejstwom ujmować wartości.

—Zgoda: przypuśćmy naresztę że wiele, bardzo wiele dla ciebie zrobiła, żeś przeto mój dłużnik. Jakże mi zapłacisz?

—Czuję że zostanę do śmierci niewypłatnym; i to uczucie jedynym jest moim środkiem.

—A kiedy ja tej monety nie przyjmę? kiedy ci ukażę inny lepszy środek? Wybór do mnie należy. Otoż nie przestaję na idei że mi jesteś wdzięczny, a żądam byś to uczucie stwierdził czynem!

Zląkł się Lucyan, mrówie przeszło mu po skórze —Czegoż to ona chce odemnie?— mówił sobie

z trwogą. Julja spostrzegła jego wzruszenie, i rzekła z uśmiechem:

—Boisz się czegoś strasznego? Któż wie wreszcie, czy ci się to nie wyda takiem? lecz kiedym zaczęła, muszę skończyć. Słuchaj więc: ojciec twój posunięty w lata nie przestaje atoli wciąż pracować dla mnie, mierząc swe trudy już nie siłami lecz gorliwością swoją. Widzę to i niczego bardziej nie pragnę, jak radząc się zawsze jego rozumu i doświadczenia, zdjąć mu z plec ciężar prowadzenia rządu. Niechby więc starzec wypoczywał sobie po trudach pracowitego i kłopotliwego życia, ty zaś kochany Lucyanie, potrafiłbyś go zastąpić, i łatwyby już w takim razie między nami nastąpił rachunek. Łatwo też zgadnąć, że wprędce z wierzycielki stałabym się twoją debitorką, lecz to mię jak widzisz nie ustrasza. Nie chcę atoli naglić cię o odpowiedź co postanowisz.

To powiedziawszy, podała Lucyanowi rękę, do której on przytknął usta jak z musu, co ją boleśnie ubodło, odwróciła się więc szybko i odeszła.

Biedny nasz bohater znalazł się w prawdziwym *embaras de richesses*. Wybor jego był już zrobiony, słowo dane, ofiara baronowej miała więc prawo pierwszeństwa, a gdy do tego jeszcze serce ku

niej ciągnęło, za nic by w świecie nie zawiódł jej oczekiwania. Lecz na jakież się wystawiał kłopoty! Jak przed Julją i przed ojcem usprawiedliwi odmówienie propozycji, którą przyjąć nakazywała mu zarazem wdzięczność i synowska miłość? Jeszcze w sercu jego namiętność nie zagłuszyła cnoty; jeszcze powinność stała w niem przy swych świętych prawach, ale już egoizm podnosił głowę i uzbrojony sofizmem stawał do walki z powinnością i cnotą. Lucyan tem się czuł nieszczęśliwszym, że nie miał z kim się poradzić, komu się zwierzyć, i własnym siłom, własnemu tylko musiał się oddać natchnieniu. W tem udręczeniu swęj duszy westchnął gorąco do nieba, zkaąd w każdym ucisku wierzącemu przychodzi wsparcie.

Szedł tak zamyślony, i zawróciwszy w krytą ulicę ogrodu, spotkał się z Teklą. Pierzchliwa dziewczyna byłaby go pominęła, gdyby rzut oka na twarz jego nie odkrył jej boleści szarpiącej mu serce. To ją ośmieliło: szczere współczucie wzięło górę nad wstydlivością, zatrzymała się więc przed nim pytając coby cierpiał?

Melodya głosu młodego, czułego serca, wyraz pięknego oka zwilżonego łzą tkliwego uczucia, rozlały w duszy Lucyana coś miłego, orzeźwiającego,

jakby mu Bóg zesłał swojego anioła. Ujął więc jej rękę i ścisnąwszy czule, rzekł:

—Cierpię zaiste, kochana Teklo, i nie widzę do kogoby się udać po radę.

—Byćże to może?— wykrzyknęła dziewczica — a twój ojciec, a ciocia, czyżby ci nie mogli dopomóc?

—Żadną miarą, moja droga, bo oni to właśnie, przez swe ku mnie przywiązanie wprawują mię w największy kłopot.

—Wytłumacz dla Boga, jak to być może?

Lucyan opowiedział jej pod sekretem jakim sposobem widział się w niepodobieństwie dogodzenia żądaniu ciotki, bez obrażenia śmiertelnie baronowej, dla której także miał obowiązki wdzięczności, a nadewszystko bez złamania danego jej słowa. Wyznał przytém, iż z własnego wyboru przenosi posadę sekretarza ministra nad ofiarowane mu miejsce w Julinie.

Tekla na to wyznanie uczuła ból w sercu, i nie mogła się wstrzymać od zrobienia mu ze łzą w oku zapytania, czemu dobrowolnie chce się wyrzec pozycia z temi, którzy kochają go tak czule?

Niepodobna było Lucyanowi odpowiedzieć z całą szczerością na to pytanie. Jakżeby się mógł zwierzyć Tekli swych uczuć ku baronowej, które sam

przed sobą ukrychy pragnął? Równie też nie wypadło wspomnieć przed nią żadnem słowem o pewnej obawie co do stanowiska swego w sercu panny ciotki. Zostawała mu jedna tylko racya mogąca coś ważyć w niedostatku lepszych. Odpowiedział więc, że chce być niezależnym, i że do tego nie widzi innej drogi jak się oddać służbie publicznej, a gdy Tekla nie pojmowała coby to była ta zapragniona odeń niezależność, trudno było Lucyanowi dać zrozumieć młodej dziewczynie różnicę między chęcią wyniesienia się i znaczenia, a chęcią pomysłnego bytu zdobytego własną pracą. Jej się zdawało, że Lucyan mógł to ostatnie znaleźć nie ruszając się z Julina, gdzie miał przed sobą zawód pracowity, umilony miłością otaczających go osób. —Jeżeli cię więc (mówiła) nie wiedzie inna żądza, jeżeli pragniesz tylko spokojnego szczęścia, wierzaj, znalazłbyś je tutaj pewniej niż gdziekolwiek indziej.

Gdy to mówiła, ładna jej twarzyczka jaśniała wyrazem duszy natchnionej uczuciem wyższem. Czysta, serdeczna miłość oświeca wewnątrz młodego dziewczęcia, iż się samo nieraz potém dziwi z kądem się wzięło mówić coś tak trafnie i śmiało. To też Tekla jakby się zlekła mocy, z którą Lucyanowi

powiedziała swe zdanie, spuściła oczy ku ziemi i napróżno chciała ukryć swoje pomięszanie. On takż niepomatu był zdziwiony energją słów, z ust tak trwożliwej istoty jaką mniemał być Teklę. Tak mu się ona w tej chwili wydała piękną i poważania godną, że na chwilę obraz baronowej zamierzył w jego pamięci, a serce jakby poniewolnym rzutem zwróciło się ku miłej towarzysze lat dziecinnych.

—Dobra, nieoszacowana Teklunio,—mówił ścisnąjąc drżącą jej rękę— wierzaj że mi tu nikogo tyle nie żal jak ciebie; mozem źle zrobił dając baronowej słowo, bez należytej rozwagi, lecz ponieważ dałem, dotrzymać je muszę, chybaby ona nie mogła dla jakich przeszkód dotrzymać mi swęj obietnicy.

Na to mu Tekla odpowiedziała dwiema bujnemi kroplami łez ze spuszczonech zawsze oczu, bo już na inną mowę, wzruszonemu do głębi jej sercu brakowało siły.

—Być wreszcie może — ciągnął dalej Lucyan chcąc ją uspokoić— iż zostanę zawiedziony w moich nadziejach, że mój obowiązek znajdę uciążliwym, lub że minister nie znajdzie we mnie tego co mu potrzeba. Bardzo się to stać może, bom

z natury hardy, uparty, pochlebstwy się brzydę, na dworaka wcalem nie stworzony. A gdy przytém (dodał tonem czulszym) ty się będziesz modliła o mój rychły powrót, niema prawie wątpliwości że cię Bóg wysłucha.

—Ja się tylko modlić będę o twoje szczęście, o uchronienie cię od wszelkiego złego, więcej o nic—cichym głosem wyrzekło dziewczę, i wyrwawszy z dłoni Lucyana swą rękę, pierzchła jak spłoszona sarna.

Lycyan przeszedł się jeszcze parę razy po alei miotany rozmaitemi myślami, niespokojny o swą przyszłość, przewidując z boleścią ciosy jakie mu zadać przychodziło istotom które kochał, a nie miał mocy uniknąć tego okrucieństwa prostym bardzo sposobem. Należało mu bowiem, nietracąc czasu, udać się znowu do pani Althof, i wszelkiemi racjami skłonić ją do odstąpienia od ułożonego między niemi planu. Widać że ta kobieta już go zrobiła swym jeńcem, gdy się nawet obawiał prosić ją chociażby tylko o zawieszenie wykonania zamiaru do czasu, póki by się z ostrożnością nie uprzątnęły ze strony ojca i ciotki, a raczej drugiej matki, nader ważne przeszkody. Możeby się atoli narzute zebrał na tyle odwagi, gdyby go rotmistrz

nie był do siebie zawołał i nierozważnym odkryciem swojego planu, biednego chłopca ledwie w rozpacz nie wpędził.

Starzec, jakeśmy już powiedzieli, przeniknął skryte uczucia Julji względem Lucyana, tém snadniej, im goręcej sobie życzył takiego z jej strony wyboru. Pilnie sledząc postęp tych uczuć, przekonał się naręście, że jej godzina wybiła, i że już tylko od Lucyana woli zależało połączyć się z nią dożywotnim węzłem. Perspektywa prześliczna w oczach człowieka, któremu własne doświadczenie wskazywało (może nie zupełnie prawdziwie) warunki szczęścia w małżeństwie. Idealem małżonki była dla niego niewiasta poczciwa, pobożna, roztropna i majątna; ten ostatni punkt zawsze ważny, stawał się koniecznym w razie gdy kawaler pustą miał kieszeń. Młodość, nadobność, talenta uważał za przydatki więcej niebezpieczne jak korzystne, a zład konkludował że się bez nich było można obejść, byle wiek nie był przestarzały, a ciało i umysł bez kalectwa i odrażliwej szpetoty. Miłośny zapał miał za szaleństwo, powtarzając owe zdanie Cycerona „*Perturbatio ipsa mentis in amore faeda per se est*”, jako i wierszy z Terencyusza, które niegdyś nauczyciel jego, ex-jezuita, następnie dla użytku młodzi przepolszczył:

Ile zdrożności na świecie,
 Wszystkie w miłostkach znajdziecie :
 Łajanki, swary, zatargi,
 Podejrzewania i skargi,
 Wojna, pokój naprzemiany,
 Ot co masz, gdyś zakochany.
 A ztąd chciej zważyć, nieboże,
 Czy ci tu rozum pomoże ?
 Na toczy głowę turbował,
 Żebyś rozumnie warjował *)).

W pożyciu ze swą nieboszczką, którą był w miłośnym poślubił zapale, uznał nieraz rotmistrz trafność satyrycznej tej przestrogi, i dla tego wbił ją sobie w pamięć, aby mógł w przypadku dla syna swego zrobić z niej egidę. Takie więc sobie utworzywszy systema, zostawało mu tylko dać w niem zasmakować Lucyanowi; ale z magistrem obojga praw wstąpić trzeba było na pole argumentacyi: trud niemały, skutek niepewny, zatem P. Jakób postanowił wojować tym oto jednym syllogizmem :

*) „In amore haec omnia insunt vitia; injuriae,
 Suspiciones, inimicitiae, induciae,
 Bellum, pax rursum.
 Incerta haec si postules
 Ratione certa facere, nihilo, plus agas,
 Quam sides operam, ut cum ratione insanias !

Terent. Eunuch. Act. I. Sc. 1.

Wola rodzicielska prawem

jest dla dzieci :

Jam twój rodzic :

Więc ty powinienes być po-
słusznym mej woli.

Pocisk ten zachował wszakże na przypadek konieczności, rozpoczynając rzecz dyplomatycznie konferencyą, w której chciał wybadać nakreślone w młodej mózgownicy plany, azali w nich rzeczywiście było coś dyametralnie sprzecznego kombinacyom jego starej głowy. Baronowa nie frasowała go wcale, za mało znał tę kobietę, nie sądził więc aby dla Lucjana była niebezpieczną. Jedna Tekla była dlań straszną. O jej młodość i wdzięki mogły się rozbić wszystkie najrozumnijsze przedsięwzięcia, i czegożby nie dał rotmistrz żeby tę pokusę z domu oddalić. Nie śmiał atoli podać myśl tę Julji, wiedząc iż do pocziwego jej serca egoizm najmniejszego nie miał przystępu, że kochała biedną sierotę miłością matki, i że raczejby dla jej szczęścia własne swoje poświęciła.

Musiał tedy P. Jakób tolerować obecność Tekli, pilnie tylko postrzegając poufałych jej, lubo dotąd niewinnych z Lucyanem stosunków. Aby jednak położyć koniec tym niepewnościom i obawom, wypa-

dało dokładać wszelkich starań ku przyspieszeniu decydującego wypadku. Przebaczmy staremu ten brak delikatności w uczuciach i w postępowaniu, to użycie środków trącających intrygą ku dopięciu zamierzonego celu; nie albowiem innego, jak źle pojęta rodzicielska miłość i przyjaźń, były mu do tego pobudką. Kochał syna i Julję równą prawie miłością, widział obojga ich szczęście w projektowanem małżeństwie, innego w tem interesu nie miał; to więc tylko jedno zarzucić mu można, że nazbyt jednostronnie i namiętnie trzymał się swojej idei.

Kiedy się więc z synem zamknął w swojej komnacie, zaczął od dziękowania mu za prawdziwą pociechę, jakiej doznawał patrząc na coraz większy ku niemu affekt ze strony czcigodnej ich krewnej, dla której oba tyle zaciągnęli obowiązków, iż całkowitem jedynie poświęceniem się mogliby się jej wypłacić.

—,Mnie staremu— mówił — trudno być już dalej dobrodziejce naszej użytecznym. Przyszedł czas, gdy z żalem powiedzieć jej muszę: *Solve senescentem*, wyprząż starą szkapę z woza. Już ja nie ten com był wczora! — Jej zaś potrzeba pomocy: bo chociaż dzięki Bogu, nie stara, pełna życia, ognia i rozumu, zawsze jednak kobieta, co jak winna la-

torośl, potrzebuje wsparcia mocnej tyki, około której *quasi* obwinąćby się mogła bezpiecznie. Co za szczęście, że Niebo dało mi w tobie zdolnego i powolnego syna! *Filii morigeri familiae fulera* *), mawiał nieboszczyk mój ojciec. Otoż i ty Lucyanie staniesz się podporą twój rodziny, która się cała zamyka w tym domu. Jam zszedł już z pola a wkrótce zejść i ze świata, lecz nie zniknę cały, boś ty mój *alter ego*: w tobie żyć będę obok tej którąm ukochał na równi z tobą, i ta myśl dziwnie mi cukruje piołuny zbliżającej się śmierci.

Lucyan odgadł, że ta wystudowana, kwiecista przemowa dążyła do czegoś dlań strasznego, uprzedzając więc eksplozyę, odpowiedział, całując ojcowską rękę:

— Tyleś dał mi dobroci twojej dowodów, ojcze, w taki mię wprawileś nałóg proszenia ciebie o coraz nowe łaski, że i w tej chwili śmiem cię jeszcze o jedną błagać.

— Mów! — niespokojnie zawołał stary.

— Dozwól mi lat kilka popracować na siebie; potem już gotów będę poświęcić me usługi ciotce.

— Chcesz mię więc złamanego wiekiem zosta-

*) Synowie posłuszni są podporami swój rodziny.

wić na czas długi jeszcze w jarzmie?— pytał rotmistrz z marsem.

— Nie to wcale, mój drogi ojcze, albowiem nie przestaję dziękować Bogu za tę Jego największą łaskę, że cię utrzymuje w tak czerstwym zdrowiu, i zarazem daje ci używać wszystkich władz twych moralnych w całej ich pełności i sile.

— A kiedy ja chcę odpocząć, choćby nawet nie było w tém nagłej potrzeby, czybys mi tego za-
bronił? Nie spodziewałbym się!

— Pozwol mi się wytłómaczyć z całą otwartością, jakiej zawsze odemnie wymagałeś. Znam twe zamiłowanie pracy, wiem że próżnowanie byłoby dla ciebie najcięższem jarzmem, męką, przyspieszeniem śmierci. Jeszcze ci więc trzeba czynnego życia, takiego właśnie, jakim się tu cieszysz, zbierając codziennie najśłodsze z twój pracy owoce — zadowolenie i wdzięczność ukochanej tobie osoby. Ja zaś tymczasem, za łaską Boga, nabędę więcej wiadomości, stanę się zdolniejszym zastąpić ciebie kiedyś.

— Kiedyś, kiedyś! — umiżony sługa, piękna perspektywa! — gada jakby miał jutro w kieszeni! Ja nie chcę kiedyś, chcę dzisiaj, zaraz! Na wierzbie gruszek nie zbieram.

—Więc jeszcze jeden ważny powód mój ojczy. Powiniennem zapracować sobie własny kawał chleba, aby choć potem przyjdzie zająć się służbą, niezależność zostawała mi w rezerwie. Taki podług mnie, może być najlepszym sługą, któryby się mógł bez służby utrzymać.

—Paradoxa, sofizma, banialuki! *Vox, vox, praetereaque nihil!* Otoż to owoc terazniejszej edukacji, Boże odpuść. Każdy z was młodych jest jak ów *canis deceptus* w bajce: puszcza z pyska pieczeń goniąc za jej cieniem. Przeciw twojej teorii o służbie ja ci stawię moję, i cokolwiek gruntowniejszą. Ten znalazł najlepszą służbę, który godziwym sposobem ze służgi może się stać panem. Ta droga jest dziś tobie otwartą, jutro możebyś ją znalazł zamkniętą. *Fronte capillata post est occasio calva*, za ogon szczęścia nie złapiesz. Za kilka lat inna być tu może postać rzeczy. Julja może wyjść za mąż.

— Byleby szczęśliwie, z sercabym jej tego zyczył, ale już pora dla niej minęła.

— Podług ciebie, ale nie podług mnie.

— Nie śmiałbym przeczyć, ale zdaje mi się że ona czując się szczęśliwą w dzisiejszym swym stanie, daleką jest od chęci przejścia do innego, w podeszłym zwłaszcza wieku.

— Blizszą anizeli myślisz, a co do jej wieku jest on właśnie taki jakiego potrzeba do wstąpienia rozumnie w małżeństwo. Otoż, *inter nos loquendo*, godzina jej wybiła. Kryje się z tem nieboga, alem ją przeniknął: ona chce iść za mąż, a skoro tak jest, naturalnie więc nie można tego odkładać. Rzecz w tem, kogo sobie wybierze, jeżeli już nie wybrała. Z deklarowanych aspirantów żadnegobym nie chciał, i na szczęście ona też ich wszystkich odrzuca. Mówiłem z nią dzisiaj w tej materji, miezdrzyła się, zwyczajnie jak panna, przytykała jak kotka na mleczko, a nakoniec rzekła: Wyswatajże mi kogoś coby mi przypadł do serca, to może i pójdę. Dałem jej słowo że tego dokażę i dotrzymam, jeżeli jak się spodziewam ty mi dopomożesz.

— Daruj, ojcze, nie widzę jakimby sposobem.

— Ona cię kocha? prawda?

— I cóż ztąd?

— Ty ją takż?

— Zapewne, jak matkę.

— Mniejsza o to jak; kochasz ją, to grunt.

— A więc? — pytał Lucyan z przerażeniem.

— A więc—tylkoż mi nie wytrzeszczaj oczu jakby cię kto dławiał...

Nie dokończył rotmistrz, bo zapukano do drzwi,

i żałosny głos Tekli dał się słyszeć temi słowy:
„Ciocia zachorowała!”

Ojciec i syn co prędzej pośpieszyli za Teklą, i znaleźli Julję leżącą w gorączce z mocnem kłóciem w boku, co widocznie groziło zapaleniem płuc. Lucyan nie tracąc chwili pobiegł do stajni i przy sobie wysłał co prędzej po doktora; biedny rotmistrz tracił głowę, wydawał rozkazy bez ładu, a Tekla takż nieprzytomna, płaczem tylko mogła okazać chorąj ciotce swoje przywiązanie; słudzy biegali jak oparzeni, zamięszanie w całym panowało domu; jeden Lucyan równie troskliwie jak przytomnie zajął się podaniem pomocy, jaka się znaleźć mogła w domowej apteczce, i na razie potrzebną była. On bowiem przy innych studyach, zaglądał trochę i do medycyny; natura i leczenie chorób zapalnych nie były mu obce. Wyszło mu to na dobre w tym szczególnie przypadku; bo nie znaleziono doktora w mieście i ledwie się go trzeciego dnia doczekano. Lucyan tymczasem, temperującemi proszkami, przystawieniem do boku pijawek i upuszczeniem w końcu krwi z ręki, tak trafnie zahamował postęp inflammacyi, że przybyły lekarz przyznał, iż samby lepiej nie mógł zaradzić naprędce, i że skutkiem tych zabiegów, choroba wzięła pomyślny obrót.

Jakoż po kilku jeszcze dobach cierpienia, wyszła Julja z niebezpieczeństwa. Co zaś najbardziej przyłożyć się mogło do zwalczenia choroby, to zapewne radość z jaką pacjentka patrzyła na czułą około niej troskliwość Lucyana. Dowód ten szczerego przywiązania najmilej wzruszał jej serce, a to znowu pomyślnie oddziaływało na rozdrażnione nerwy. Główną przyczyną tej inflammacyi, była zapewne mocna alteracya. Widzieliśmy jak złe było w młodzieńcu usposobienie do przyjęcia tej ofiary, którą mu przynosiło serce starej panny, z jaką oziębłością słuchoł słów płynących z jej kochającej duszy, i jak nielitościwie dał jej poznać, że wdzięczności swej nie posunie aż do zrobienia wzajemnie ofiary z samego siebie. Cios ten boleśny wstrząsnął całe jej wnętrze i najpodobniej spowodził zapalenie płuc, chorobę do której ze swego temperamentu nieco miała skłonności.



7.

Powrót do zdrowia Julji szedł powolnie, Lucyan i Tekla nie przestawali pielęgnować ją z równą troskliwością, jakby rodzoną ich była matką. Tekla prócz tego spełniała obowiązki gospodyni domu, i wszystko pod jej okiem szło porządnie, iż się czeładź dziwowała rozsądkowi i pracowitości tak młodego dziewczęcia; sam rotmistrz nie znalazł nic do zarzucenia, i powiedział sobie: — Ot byłaby z niej Lucyanowi żona, gdyby nie to że uboga. Widział to wszystko Lucyan, i należycie mógł ocenić rzadkie przymioty dziewczycy. Musiał też i o tém się przekonać, że to anielskie serce jemu było oddane, i nieraz sobie w duchu powtórzył: — Ach, gdyby nie baronowa!

Wróciła na resztę Julja do zupełnego zdrowia, a w liczbie odwiedzających ją z tej okoliczności przyjaciół i znajomych, ujrzano i baronowę. Dniem wprzód dowiedział się Lucyan o jej powrocie z Warszawy i miał w myśli odwiedzić ją nazajutrz w Althofie, gdy go przybyciem swém uprzedziła. Ubiór jej był jak zwykle najlepszego smaku, najświeższej mody, lecz tą razą nie odpowiadał wiekowi; nic zaś bardziej nie oszpeca kobiety podeszłej w lata, jak ten rodzaj stroju, który jedynie do młodej twarzy przypada. Zakochana rozwódka zaszła wyraźnie w głowę, i chcąc w oczach Lucyana ujść za młodą, ukazała mu się starszą niż była rzeczywiście. Dodać trzeba, iż obecność Tekli była w tym razie dla baronowej wielce niekorzystną: rozwijający się pączek obok przekwitającego kwiatu, ostatni wdzięk pobladył jego listkom odbiera. Z tajemnym przestachem spostrzegła pani Althof, ile przybyło piękności młodej dziewczynie od czasu, jak ją raz ostatni widziała; Tekla zaś ze swój strony uczuła jakby radość w sercu, że modnej damie, pomimo usiłowania, nie udało się kłamaną zająśnić młodością. Nie mógł i Lucyan nie spostrzedz tej pretensji w osobie która go tak silnie zajmowała, którą sądził niezdolną wpaść w najmniejszą

śmieszność. Bolało to go bardzo, nie mógł więc ukryć zupełnie swego cierpienia, i więcej był milczącym niż zwyczajnie. Ta jego posępność nie uszła bystrego oka baronowej, lecz niedomyślając się istotnej przyczyny, wpadła na myśl, azali nie zaszło coś w jego duszy przeciwnego jej chęciom; czy przypadkiem młode, świeże powaby Tekli nie groziły jakim niebezpieczeństwem? Wzięła się zatem do zwykłej swjej broni, podwoiła słodyczy i dowcipu, była błyszczącą i przyjemną do tego stopnia, iż się wkońcu podobała wszystkim, rotmistrza nawet rozbroiła; tak się on ubawił jej opowiadaniem i pochlebiony był jej grzecznością. Przy odjeździe rzekła żegnającemu ją u stopni karety Lucyanowi: „*Cras exspecto*” (jutro czekam). — „*Ero*” odpowiedział, całując podaną sobie rękę, a płomieniste spojrzenie podziękowało mu za tę obietnicę. Stał jeszcze chwilę patrząc za odjeżdżającą, a gdy się obrócił, ujrzał tuż za sobą ojca, który był słyszał i zrozumiał ich łącinę.

— Tam do stu katów, chłopcze! — mówił rotmistrz biorąc syna pod ramię i prowadząc go na środek dziedzińca — Czyby czasem stara ta syrena swoim *canaro tono* nie zawróciła ci głowy? Nie traciliście widzę czasu, ona już jak papuga powta-

rza wyuczone do potrzeby słowa, ale bodaj pod tą łaciną coś się niedobrego święci. Znam przecie cokolwiek wyraz kobiecych oczu, o toż ostatnie spojrzenie którym baronowa do ciebie strzeliła, było tak ogniste, jakby weń szatan wrzucił swoją iskrę. Chłopcze, miej się na baczności! Stare zalotnice *habent insidias*, i gorsze czasem od młodych, osobliwie dla młokosów. Szczwana to liszka ta rozwódka, całe też swoje życie wodziła dudków za nos. Naresztę pytam, co ty myślisz wygrać gdy jej będziesz i dalej *servire* na łapkach?

—Przepraszam mój ojczy, nigdy w życiu nikomu nie nadskakiwałem, o to możesz być najspokojniejszy. Pani Althof mnie poważa, a ponieważ jestem jej użyteczny, chce być mi wzajemnie użyteczną, i to jej łatwo przyjdzie przez wysokie stosunki jakie ma w stolicy.

—Wykieruje ciebie na słuźalca jakiej excellencyi, abyś i jej zarazem służył do zabawy, jak kukła, którą rzuci potem gdy się styra! Ambitnyś widzę, projektujesz może małżeństwo z tą arystokratką?...

—Sam wiek jej broni mię od tego posadzenia.

—Hem! wiekby nie stał na przeszkodzie, ale tyśię innych względów.

—Bądź spokojny, kochany ojczy, ja się nie ożenię, przynajmniej nie rychło.

—Ożenić się powinienes, lecz nie z tą imością.

—Nie prędzej wszakże, aż będę miał kąt mój własny.

—Ten kąt, i wygodny, przyjdzie razem z żoną.

—Nie byłby moim, ale mojej żony.

—Moja w tem rzecz, żebyś go mógł nazwać twym własnym. Znam twoje marzenia o niepodległości, i muszę im dogodzić, mając sprawę z cześnikiem uczonym, a zatem upartym. Ustępuję wiele z mej rodzicielskiej władzy, powinienes więc ty coś takż ustąpić z twych uprzedzeń.

Lucyan chciał na to odpowiedzieć, lecz rotmistrz oddalił się mówiąc:—Na ten raz dosyć: *audiemus te iterum*— i poszedł do swojej stancyi.

—No proszę — rzekł do siebie rzucając się na krzesło — jam się obawiał Teklusi. a tu mi mój panicz innego wbił klina w głowę! Gdzie już diabeł sam nie może, tam posyła babę, mówi przysłowie. Z tego chłopca był dotąd Józef patryarcha, a któż wie na jakiego Sardanapala przerobić go może ta wierutna Putyfarowa?— — — Rzecz prawie pewna, że gdyby nie ona, Lucyan pokochałby Julją, rozumie się bez szafu, nie jakby młodą ja-

ką buzię, ale jak człek rozsądny koehać może kobietę lat dojrzałych, jeszcze piękną, a nadewszystko dobrą, i gotową zrobić go panem nietylko swojego serca, lecz zarazem i majątku. Nie widziałem jak czasu jęj choroby, chłopiec był czuły dla niej? jak się szczerze radował z powrotu jęj do zdrowia? Bodaj te z jego strony dowody przywiązania najskuteczniejszym były dla pacjentki lekarstwem. Gdyby więc nie ta przekłęta rozwódka, projekt mój przyszedłby do skutku. Jakby to jęj podbić klina?— — — Zacznijmy od zniweczenia jutrzejszej wizyty Lucyana w Althofie. Mamże właśnie na dorędziu interes do powiatowego miasta, wyszlę go tam jutro.

Następnego ranka zawołał rotmistrz do siebie syna i kazał mu się wybrać do miasta dla wyexpedowania pocztą do lombardu kilku tysięcy rubli. Chcąc niechcąc musiał Lucyana być rozkazowi posłusznym, postanowił atoli i to poruczenie wypełnić i baronowej danego dotrzymać słowa. Dla uskutecznienia zamiaru swego i pokrycia go tajemnicą, wybrał się sam jeden konno, i rachując na dzielność swego wierzchowca spodziewał się we 12-stu godzinach zrobić 60 wiorst drogi, być naprzód w mieście, potem w Althofie i wrócić na noc do

domu. Byłby też tego dokazał, gdyby, jak się ludziom zdarza, nie stanęły mu na drodze nieprzewidziane przeszkody. Wyexpedyowanie pieniędzy niewiele zabrało czasu, lecz wychodząc z pocztowego kantoru spotkał się z marszałkiem, który się do niego uczepił, i pomimo najmocniejszych protestacyj zaprowadził do swego mieszkania, aby tam, jako krewnego panny Bogackiej, suto uczęstować śniadaniem. Ubiegłszy 25 wiorst sporym kłusem, nie gniewałby się Lucyan za tę gościnność, gdyby mu Spyliński nie zabrał blisko dwóch godzin czasu, i nie udręczył najnudniejszą w świecie konwersacją. Człek ten swoim zwyczajem chwalił się bez końca, kłamał niezgrabnie, i krytykował nierozsądnie; a możeż być nad te trzy rzeczy coś nieznośniejszego dla słuchacza? Lucyan słuchał w milczeniu, przeklinając w duchu gadułę, i był już gotów wyrzec się śniadania, gdy przecie podano nie osobliwą przekąskę, po której mógł nakoniec pożegnać swojego kata. Była już godzina wtóra kiedy wrócił do oberży, a tu go nowa czekała przeszkoda. Już miał nogę w strzemieniu, gdy powóz podróżny u wrót się zatrzymał, i w wysiadającym zeń młodym człowieku poznał jednego ze swych uniwersyteckich przyjaciół, Naturalnie wypadło po-

święcić przybyłemu chwilę. Weszli więc do oberży, Lucyan kazał przynieść wina, i zaczęła się przy kieliszku przyjacielska pogadanka.

Podróżny jechał z Warszawy i miał kilka nowinek do opowiadania, przyszła kolej i na salonową kronikę.

—Ostatnia krotofila— rzekł— jaką się salonowa publiczność *sub secreto* zabawia, zaszła w domu ministra ***. Znasz baronowę Althof?...

—Znam ją— odparł nieco zmięszany Lucyan,— i nie spodziewam się....

—O, mój drogi— przerwał mu tamten— po tej damie pewnych rzeczy spodziewać się można. Czegoż się tak srożysz? słuchaj, a zobaczysz.

Lucyan przygryzł wargi i słuchał z tłumioném wzruszeniem.

—Otoż— ciągnął dalej jego przyjaciel.— Baronowa nagle zjawiła się w Warszawie. Niespodziane to przybycie zdziwiło jej znajomych. Lecz na próżno łamali sobie głowy odgadywaniem po co przyleciała. Aż w kilka dni potem zaczynają szeptać, pod wielkim naturalnie sekretem, że pani ministrowa zrobiła mężowi scenę, znalazłszy go w czułym nader *tête à tête* z panią Althof.

—To potwarz!— zawołał Lucyan ze zgrozą.

—Niechże i potwarz, jeżeli tak chcesz, ale że między temi osobami zaszła jakaś esklandra, to zdaje się być prawdą.

—Ministrowa jest przyjaciółką baronowej.

—Była nią może, lecz już nie jest, bo kilka osób domowych widziało, jak się brzydko rozstały z sobą te damy. Pani Althof wyniosła się z gabinetu starego hrabiego z chustką na oczach, a hrabina w progu miotała za nią tak energiczne francuzkie apostrofy, że lokaje nawet należycie je zrozumieli. Bezprzytomna prawie biegła nieboga przez pokoje, i byłaby może upadła, gdyby deżurujący urzędnik nie podał jej w czas ręki i ze schodów nie sprowadził. Co się potem między małżeństwem działo, o tem dokładnie nikt nie wie; słyszano tylko głośniejszą między niemi niż zwykle rozmowę, skutkiem zapewne której ministrowa się rozchorowała, baronowa zaś tejże nocy opuściła miasto. Po kilku dniach wrócili małżonkowie do zgody, i podobno minister odkrył żonie cały interes, bo hrabina opowiadała swym przyjaciółkom, że pani Althof przyleciała do Warszawy dla pokierowania jakiegoś swojego protegowanego i w tym celu miała konfidencyjną u ministra audyencyą. A ponieważ ten od dawnego czasu li-

czony był w rzędzie jej wielbicieli, zazdrośna żona zdybawszy ich *en tête à tête*, zemściła się nad swą rywalką w sposób bardzo nieprzyzwoity.

Biedny Lucyan wysłuchać musiał tego opowiadania z wielkim bolem serca, a różne myśli przechodziły mu przez głowę. Obawiał się wydać ze swem ku baronowej uczuciem, nie mógł też okazać się obojętnym na krzywdzącą ją plotkę. Zapewnił więc przyjaciela, że jak zna baronowę, nigdy nie uwierzy tak niedorzecznej bajce, że fakt o którym plotką musiał być, jak zwykle u plotkarzy, przekręcony i w fałszywem wystawiony świetle, słowem uniewinnił ją jak tylko umiał, i zakończył zaklęciem na przyjaźń, aby nie rozgłaszał tej kłamliwej wieści; poczem pożegnawszy towarzysza dosiadł konia i puścił się czwałem.

Upędziwszy z pół mili pofolgował biednemu wierzchowcowi i oddał się myślom wcale niewesołym. Słusznie lub niesłusznie baronowa uległa obmowie, postąpiła zatem jeżeli nie występnie, przynajmniej nierozważnie, i skompromitowała się — lecz dla kogoż? dla niego! — Ta myśl uniewinniła ją w jego oczach. Nie mógł jej zganić porywczego kroku, bo widział w tém chęć szczerą zjednania ku niemu ministra; wiek zaś podeszły

tego człowieka, oddalał wszelki powód do zazdrości. Lucyan nie wystawiał sobie, aby kobieta wyższego rzędu mogła dla interesu kokietować ze starym galantem, i bez oburzenia się przyjmować jego zaloty. A jednakże coś mu kłuło w serce, coś go wprawiało w niepokój. Nie zmienił więc swego postanowienia, chciał tegoż wieczora widzieć i z ostrożnością wybadać baronowę. W tym zamiarze przyśpieszył znowu kroku, lecz z miasta do Althofa szła droga przez Julin, a przeto żeby nie zostać od kogo tam spostrzeżonym, musiał objechać dwór leśnym manowcem. Za ledwie się w bór zapuścił, nadciągnęła potężna chmura z piorunami, szturmem i ulewą. Lucyan przemokły do nitki, myślał już tylko o wydobyciu się z lasu, w którym wielkie śród burzy groziło niebezpieczeństwo, lecz chcąc bliższą drożyną wydostać się na pole, zbił się z należytego kierunku i głębiej jeszcze w las zabrnął. Tak śród ulewy, błyskawic i gromu, wiodąc zhasanego konia, brodząc po kałużach i trzęsawiskach, błakał się po obszernym borze do późnego wieczora, aż nakoniec zziębły, w stanie zupełnego na siłach upadku, szczęśliwym trafem dowlóknął się do zaścianka poczciwego Ordęgi. Zawinęła się wnet uboga rodzina około swego dobro-

czyńcy: zdjęto zeń mokrą odzież, rozniecono ogień; w niedostatku herbaty przyniesiono mu odwar lipowego kwiatu z miodem. Ordęga proponował kieliszek przepalanki, gość atoli wolał tamto, w oczekiwaniu nastawionego krupniku z kury. Odzia-ny grubą bielizną i płócienkową czamarką szlachcica, miał nasz bohater postać nieboszczyka Donkiszota rozmyślającego nad niepomyślnie odbytą wyprawą, i marzącego o wdziękach damy, dla której pięknych oczu wystawił siebie na tyle trudu i niebezpieczeństwa. Zastawiono przed nim misę krupniku na jaki tylko zdobyć się mógł kucharski talent pani Ordężynnej, przydano jeszcze rynkę wybornej jajecznicy ze szperką, lecz te przysmaki nie mogły wzbudzić w gościu oczekiwanego apetytu. Mocny ból głowy i dreszcz przebiegający po członkach, kazał się obawiać złych skutków zbytcej fatygi i przeziębienia: jakoż zaledwie się układał, nastąpiła gorączka trwająca przez noc całą, tak, iż następnego ranka Lucyan podnieść się nie mógł z łóżka.

Zafrasowany Ordęga nie zwlekał osiodłać swoje kobyłkę, i pędzić jak mógł do Julina z niepomyślną wieścią. Można sobie wystawić przerażenie i boleść jaką tam sprawił. Napróżno rotmistrz przekła-

dał Julji żeby się nie narażała, po przebytej niedawno ciężkiej niemocy, na trud odwiedzenia chorego; przywiązanie jej do Lucyana wzięło górę nad wszelką o własne zdrowie obawę. Wystawszy więc do miasta po doktora, pojechała sama, aby się nacznie przekonać o stanie drogiego jej chorego. Aliści czuła ta jej troskliwość, miasto przyniesienia ulgi cierpiącemu, pogorszyła stan jego zmartwieciem jakiego doznawał widząc na co siebie i swoich naraził, nie chcąc słuchać przestróg swojego dobrego ojca.

Rotmistrz i Julja nie mogli sobie wytłumaczyć, jakim nieszczęściem Lucyana we dnie mógł się zbić z gościńca, po co mu było, zwłaszcza w czasie nadchodzącej burzy, zawędrować do boru, i niewiedzieć jakimi obłąkami dążyć na noc do zaścianka Ordęgi; atoli z uwagi na stan gorączkowy chorego, nie śmieli mu zadawać w tym względzie pytania. Po południu przybył lekarz i znalazł że się zanosilo na chorobę dość ciężką, zwłaszcza jeśliby chciano pacyenta przewieźć do dworu. Powietrze albowiem było wilgotne i chłodne. Chatka Ordęgi szczupła lecz chędogą, mogła z biedy służyć w tym razie za infirmary, a gdy ją opatrzone sprowadzonymi naprędce z Julina potrzebnymi sprzętami, gdy

gospodarstwo wyniosło się z dziatwą do stodołki, było w niej choremu dość wygodnie.

Późno wieczorem odjechała Julja do domu, rotmistrz z doktorem zostali przy chorym.

A Tekla? Cóż w ciągu tego długiego i smutnego dnia działo się z niebogą?

—Ach! biedne jój serduszko tém większa ścisnęła boleść, że nie mogła nawiedzić Lucyana, okazać swojego spółczucia, swęj o drogie jego zdrowie troskliwości. Nie miała nawet komu zwierzyć się w swym frasunku, zaledwie śmiała zasięgać u służących wiadomości o chorym. Kiedy Julja wróciła z zaścianka, Tekla wyszła na jój spotkanie, blada i pełna trwogi, łzawemi oczyma czytając na twarzy ciotki złą o Lucyanie nowinę. Dwie te kobiety, spojrzawszy na siebie w tój chwili, zrozumiały się i odgadły wzajem ukrywaną tajemnicę serca. Jedna i druga powiedziały sobie: „ona go kocha.” Widziały już obie jasno to, o co dotąd siebie wzajem zaledwie posądzały. Pomyśli kto, że od tój chwili zaczęły się nienawidzić?... Bynajmniej, lecz się srodze z odkrycia tego każda zasmuciła, i jakby rzec, przelękała. Żadna z nich nie chciała by stać drugiej na zawadzie, a każda czuła jak boleśnie byłoby jój zrobić w potrzebie ze swęj miło-

ści ofiarę. Zgodnym porwane uczuciem, rzuciły się sobie w ramiona, i zmieszawszy łzy i westchnienia, rozeszły się potem w milczeniu, jakby Lucyan był dla nich obu stracony.

Przenieśmy się teraz do Althofa, boć i tam musi być trochę niepokoju. Baronowa czekała Lucyana ze śniadaniem, z obiadem, nakoniec z herbatą, a niecierpliwość rosła w niej z każdą godziną. Kiedy nareszcie wybiła dziewiąta wieczorna, i szambelan wszedł do budoaru, aby dostać swoją porcją herbaty i opłacić ją dowcipem w pogadance, znalazł piękną damę w innym wcale usposobieniu umysłu, aniżeli się spodziewał. Mięka, wschodniego kształtu z atłasowemi niebieskiemi poduszkami ottomanka, na której zwykle wpołnająca popijała herbatę, była próżna; kamerdyner z tacą, na której saskie *rococo* filiżanki wyziewały miły zapach *Liainsinu*, stał nieruchomy, podczas gdy sama pani, jakby nie widząc co się w koło niej dzieje, mierzyła krokami swój gabinet i mięła w rękę batystową korunami obszytą chustkę, pociągając nią czasem po czole. Wejście szambelana zwróciło baronowę ku ottomannie, na którą się rzuciła niedbale, nie udarowawszy dworaka nawet spojrzeniem.

—Co na dworze?— zapytała kamerdynera podającego jej herbatę.

—Grzmotu już nie słychać, błyskawice ukazują się jeszcze w dali, deszcz ustaje — odpowiedział sługa.

—W stronie Julina musiała być burza daleko silniejsza niż u nas— odezwał się szambelan.

—Boisz się szambelanie żeby twoja Dulcynea z przestrichu nie dostała nowych na twarzy zmarszczków?

—*Mon Dieu, madame*, rzecz to bardzo naturalna trwożyć się o przedmiot swój miłości— odparł z ironją.

Baronowa spójrzała nań gniewnie i rzekła:

—Więc powinienbyś tylko drzeć o samego siebie.

—Alboż mnie pani masz za samoluba?

—Nieszacowanyś! a za kogożbym cię miała?

—*Ingrate!* Wiesz dobrze żem kogoś kochał więcej jak siebie, że i w tej chwili....

—*Pour l'amour de Dieu*, nie kończ elegji, tem nudniejszej, że w niej słowa niema prawdy. Gadaj lepiej o twych afektach ku Bogackiej; to przecie do czegoś prowadzi..

—Pani wiesz że jedynie z desperacyi chcę się żenić, i jeszcze sobie żartujesz.

— W tym czynie rozpaczy, nie niema tragicznego, wyborna owszem komika. Gdybyś sobie w łeb zapalił, zobaczyłbyś że w takim razie nie pozwoliłabym sobie żartu.

— *Quelle bonté!* — lecz wyznaję że i ta nawet nadzieja nie pokusza mnie do wystawienia czułości pani na próbę.

— Dzięki więc że mi oszczędzasz strapienia, a gotujesz uweselenie pięknie dobraném małżeństwem.

— Jeszcze o tój krotofilii pisać trzeba widłami. Mówmy więc o czémś innem. Pani mi niceś prawie nie powiedziała o Warszawie. Jak się tam musiano cieszyć z jój przybycia!

— Nadto znasz świat, abys serjo mógł mi to mówić, *quittez ce ton, je vous en prie.*

— Ależ przynajmniej ministrowa musiała przyjąć panią *à bras ouverts*, z nieudaną serdecznością? *Une excellente femme, celle-là!*

— *Excellente, c'est le mot* — rzekła baronowa, tłumiąc w sobie niemiłe wzruszenie.

— Widzi tedy pani, że i na wielkim świecie znaleźć można szczerłość, otwarte wynurzenie uczuć. Nie wiem czemu od niedawnego czasu nabrałaś przeciw niemu jakiegoś uprzedzenia.

— Panu trzeba widzę okulisty, kiedyś nie spo-

strzegł już od dawna mojej pogardy dla pewnych członków wielkiego, jak go nazywasz, świata.

—Przepraszam, gdybym był ślepy nie widziałbym że mię ktoś w łasce pani ubiedz potrafił.

— Cha, cha, szambelan zazdrośny. Nadto sobie robisz honoru, sądząc że nikogo nadeń przeność nie powinnam. Kiedyż to, proszę pana, byłeś pierwszym w moim szacunku?

— Tej zarozumiałości nie mam: pragnę tylko nie być stracony z tego stopnia, na którym mam szczęście stać już od dawna.

— To zależy od niego samego. Strzeż równowagi a nie spadniesz. *Bon soir Monsieur*, burza mi napędziła migreny. Każ, z łaski swojej, zawołać Balbinę.

Szambelan odszedł mruczając: „Strzeż równowagi byś nie spadł.— Niepocziwa! wiem że już spadłem, a to z łaski tego pedanta młokosa. Zaczynam ją nudzić, bośmy się nareszcie poznali nawzajem; stara kokietka i stary dworak mogą być między sobą w ścisłym politycznym związku, ale w szczerzej przyjaźni niepodobna. Jej trzeba młodzika z wielkimi sentymentami, z którym zrobi co zechce, który będzie dla niej już narzędziem, już zabawką; mnie zaś potrzeba bogatej a potul-

nej żony, i dla tego zgodzę się by pani Matylda — Krysia wzięła na moment choćby tego nudziarza Lucyana, byle mi tylko wyswatała podstarzałą Julisję z 50 tysiącami intraty. Czas już, czas się ożenić. Życie to przemysłowe, ta exystencya sztuczna diabelnie mię utrudza. Z żoną mniej będzie zabiegów. Wprowadzę ją w sferę wielkiego świata, obudzę w niej próżność, a wtedy bez wielkich grymasów powierzy mi klucza do swęj szkatuły. Odetchnę sobie po długoletniej pracy i będę już intrygował tylko dla rozrywki, *pour mon plaisir*; z baronową nie zerwę jednakże. *Dieu m'en garde!* Ona mi zawsze będzie potrzebną. A cóż dopiero gdyby stara panna odmówiła? *Rien d'impossible*. Kto może wyrachować wszystkie widzimi się kobiet? Ha, natenczas jedyny ratunek wleźć do finansów, a choć nie lubię tego rodzaju, nie gniewałbym się przecie zostać z biedy dyrektorem jakiej celnej komory. Lucyanowi zatem nie pozwolę bardzo się tu rozgaszczać: trzeba ptaszkowi temu trochę podciąć skrzydeł. Przemijający kaprys przebaczyć baronowej mogę, ale od namiętności, moja dobrodziejko, wara! Stary minister co innego, bałamuć go bo on potrzebny — lecz trochę więcej ostrożności piękna pani: oto ministrowa zdybała was, a to było

niezręcznie z twój strony. Cha, cha, cha, czemuż nie mogłem być świadkiem tej sceny! Przyjaciółka moja Balbina odkryła mi tę tajemnicę, o której teraz zapewne po całej Warszawie gadają. Potrzebnie było tam polecieć na to żeby się skompromitować. Wiem już teraz o co jej chodziło. Chciała *uplasować* swojego młokosa, a tymczasem sama się *zdeplasowała*. To cię nauczy, moja kumeczko, szanować starych przyjaciół. Mam teraz czém się odplacać za twoje sarkazmy. Oj, trafi jeszcze nieraz kosa na kamień, jak się to i w tej naszej przed chwilą rozmowie zdarzyło. Szczypać i głaskać, cukrować i pieprzyć, oto najlepsza z kobietami metoda, tym i ja sposobem spodziewam się utrzymać równowagę, którą mi zalecać śmiała *Vive l'adresse!*

Gdy tak z sobą zacny dworak do snu się zabierając rozmawiał, i do nowych małych intryg układał plany, baronowa ze swój strony dąsała się i na niego i na Lucyana i na burzę i na siebie samą.

— Po co mi było (mówiła w myśli) jeździć do Warszawy? mogłam była spróbować napisać do ministra. Prawdziwie nie poznaję siebie: straciłamże w rzeczy samej głowę? Czy też wierna mi dotąd gwiazda moja ma się ku zachodowi? po co wreszcie było ścisnąć ministrowi ręce, gdym go

prosiła o sekretaryą dla Lucyana. Widziałam że się wahał, bałam się żeby nie odmówił, chciałam moim słowom dodać mocy, nie mogąc się spodziewać żeby stary ten podagryk wziął to za jakieś zachęcenie. A tu on przedemną pada na jedno kolano, i stęknąwszy z bólu, jaką deklaracją; i gdy nie wiem czy śmiać się mam czy gniewać, wchodzi pani żona, krzyknie jak Megera, a mój *galant suranné* nie może się szybko dźwignąć, i klęczący, z najgłępszą w świecie miną słucha inwektywy lecące gradem z ust rozzłoszczonej baby. Tak to wszystko było nagle, niespodzianie, że raz pierwszy w mém życiu straciłam przytomność umysłu, i miasto nasmiania się z obojga małżonków, rozplakałam się jak dziecko, i co tchu uciekłam. *Adieu mon crédit?* Stary mój galant pod pantoflem swojej imości nie będzie śmiał być odtąd na moje usługi, umiałam go wodzić na nitce i z żoną jego być w dobrych stosunkach. Jedna mała niezręczność zepsuła wszystko. A co najgorsza, to że tej zimy nie będę się mogła pokazać w Warszawie. *On y jase déjà sur mon compte*, trzeba im dać czasu żeby o tém zapomnieli. Zakopać się więc zimą na wsi — *Impossible!* Tej ofiary nawet dla Lucyana nie zrobię, témbardziej, że rzadkobym go u siebie widywać mogła. — Jest

jeden sposób, ale bardzo trudny — wyjechać za granicę, i jego tam pociągnąć za sobą; dogoniłby mnie i bylibyśmy już z sobą — Ale puszczaj go z Julina? Gdyby się udało ożenić Igrzyckiego z Bogacką, poszłoby wszystko jak z płatka. Trzeba się tém zająć serjo. Parafianka i stara panna, nie może być nieczułą na tytuł szambelanowej. Igrzycki dość jeszcze przystojny gdy się wysztafiruje, przytém układny i wyćwiczony aktor, potrafi się znaleźć w roli sentymentalnej, i odurzyć *l'esprit borné de la vieille fille*. Miejmy nadzieję. Jutro Lucyan koniecznie tu być musi. Dzisiaj nie mógł widać przed obiadem, a później burza go wstrzymała. *A demain donc* — i w tych myślach baronowa zasnęła.

Dzień następny przeszedł jój znowu na daremném oczekiwaniu; można tedy sobie wystawić w jakim być musiała humorze. Przeczynała że coś nieszczęśliwego zdarzyć się musiało Lucyanowi, trzeba więc było znaleźć pretext posłania do Julina, aby się dowiedzieć o nim. Szambelan ze zwykłą sobie przenikliwością domyślił się cokolwiek przyczyny jój niepokoju, ale już tego dnia nie śmiał wojować z nią bronią dowcipu, owszem przybrał także minę posępną, melancholiczną, jakby podzielał szczerze jój cierpienie, nie dając poznać że odgadł przyczynę.

Baronowa nie wierzyła w tę jego sympatją, wdzięczną mu była atoli za ten tryb postępowania, i dla tego okazała się ku niemu tego dnia łaskawszą, a gdy jej oddawał dobranoc, rzekła, że dobrzeby zrobił pojechać nazajutrz do Julina, odwiedzić pannę Bogackę po jej chorobie. Dała mu też zarazem poruczenie wzięść od Lucyana jakąś książkę, której potrzebowała. Szambelan zrozumiał o co jej chodziło, i skłonieniem głowy odpowiedział że rozkazowi jest posłuszny.

Ruszył też nazajutrz przed południem, a baronowa czekała go na godzinę obiadową; lecz jakież było jej zadziwienie, gdy we trzy godziny był już z powrotem.

— *Comment? déjà?* — zawołała doń gdy wchodził.

— *Helas, oui Madame!* — odpowiedział z nieudanem zafrasowaniem.

— Gadajże co się stało?

— Oto, zem zastał dom puściutki.

— Jakto? nikogo?

— Ani żywej duszy, prócz mruka kredensarza, który mi powiedział: — Nie masz nikogo. — Wyjechali? pytam. — „Wyjechali.” — Dokądże? — „Nie wiem.”

— Na jak długo? — „Nie wiem” — i otworzył mi drzwi na ganek; a gdym wyszedł, znowu je wewnątrz zaryglował. Cóż mogłem innego zrobić — jak wsiąść do powozu i ruszyć na powrót.

Baronowa przygryzła wargi. Chciałaby go wyłajać za niezręczność w rozpytaniu służących, ale gniew potłumiwszy w sobie, rzekła z przekąsem.

— Trzeba przyznać, że masz niepospolite szczęście w zalotach swoich do podkomorzanki.

Szambelan ruszył ramionami, a baronowa gryząc chustkę odeszła do swego gabinetu.



8.

Choroba Lucyana lubo nie tak niebezpieczna, jak ją sobie zrazu wystawiał doktor, zatrzymała go jednak ze dwa tygodnie w zaścianku Ordęgi. Za ledwie go opuściła gorączka, słaby jeszcze przypomniał sobie wszystko co z nim było zaszło, i powziął chęć uwiadomienia baronowej o przyczynie złamania danego jej słowa, jako też o stanie obecnym swojego zdrowia. Upatrzywszy więc sposobną ku temu chwilę, polecił Ordędze aby, nikomu o tém nie mówiąc, pojechał do Althofa i słownie w imieniu jego baronowej o wszystkiem doniósł. Spełnił to ochoczo przywiązany do swego protektora szlachcic, i przywiozł mu od tej pani listek, w którym Lucyana znalazł wyrazy ubolewania i

współczucia, lecz wyrażone z pewną ostrożnością, dowodzącą, że baronowa strzegła się powierzyć piśmu coś takiego, coby ją w jakim razie mogło skompromitować. Podejrzliwa z charakteru i z nawyknięcia, nie mogła zresztą i tój nie przypuścić myśli, że ten do niej przystany człowiek mógł być szpiegiem Julji czy rotmistrza. Złe sumienie łatwo się trwoży, i roi sobie częstokroć płonne niebezpieczeństwo. Lucyan, człek prawego charakteru, nie odgadł tój ostrożności, zmartwił więc go zimny nieco, dyplomatyczny styl biletu pani Althof; zaczął trochę powątpiewać o jój stałości w przyjaźni, poczuł się obrażony, lecz tego jeszcze nie było dosyć, żeby się serce jego od niej oderwać mogło. Czekał zatem niecierpliwie zupełnego do zdrowia powrotu, by się z nią widzieć i przekonać o jój uczuciach.

Kiedy tak zimno i lakonicznie baronowa zbyła Lucyana w obawie żeby jój bilet w cudze nie wpadł ręce, Julja, niedbając na to co powiedzą ludzie, nawiedzała codziennie chorego, i pielęgnowała go z czułością najlepszej matki. Widział Lucyan to jój poświęcenie się bez granic, lecz przypisując je namiętnej miłości, której nie mógł dzielić, z trudnością się zdobywał na słowa podzięk, a tylko usilnie ją

i bezustannie prosił, ażeby sobie nie zadawała tej fadygi, a jemu boleści że się stać może przyczyną złych dla własnego jej zdrowia, ztąd skutków. Martwił ją takim naleganiem, a myślał się bardzo w swoich domysłach. W troskliwości Julji o niego, nie było egoizmu; onaby jej nie odmówiła innemu nawet, którego życie wymagało ratunku. Nie jeden cierpiący otrzymał od niej ten datek chrześcijańskiej miłości, i nie sto razy gdyrał na nią rotmistrz, gdy z narażeniem własnego zdrowia nawiedzała złożonych epidemiczną chorobą. Ale serce mężczyzny z trudnością pojmuje całą świętość poświęcenia się niewiasty, szuka więc zwykle źródła jej heroizmu w uczuciach namiętnych lub też w chorobliwej exaltacyi umysłu, podczas gdy to źródło wytryska z czystej, wzniosłej miłości Boga i bliźniego ogarniającej duszę czulej, wierzącej kobiety. Że więc Julja podwajała starań swych około Lucjana, było to iż go kochała podwójną lecz nie mniej bezinteresowną, czystą miłością. Wielu temu nie uwierzy, lecz znajdą się i tacy, którym się to dziwnem nie wyda. Sam Lucyan w innem położeniu, potrafiłby ocenić należycie nieoszacowane to serce, w tej zaś chwili panowała w nim jedna myśl, jedna trwoga, żeby osoba której tyle był winien,

nie wymagała odeń takiej ofiary, na jaką zdobyćby się nie mógł. Dla człeka obdarzonego delikatnym czuciem, stan podobny nieznośną jest męczarnią.

Jużeśmy widzieli, że i Tekla godną była politowania. Ach! i ona kochała bez nadziei, a nieszczęśliwsza od Julji, nie mogła nawet kosztować tej pociechy, którą czułe serca znajdują w czuwaniu u łóża boleści osoby ukochanej. Dwa śmiertelne tygodnie przebyła w tej katuszy, aż gdy nakoniec Lucyan wstał z łóżka, nie miała już szkrupułu Julja zawieźć do niego w odwiedzinę Teklę. Dziewica umiała ocenić tę dobroć swojej opiekunki, całowała jej ręce z uczuciem, a gorące jej usta zdradzały stan biednego serduszka. Westchnieniem odpowiedziała na to Julja, i dwie te, dziwne zaiste, rywalki, usiadły obok siebie w powozie, kochające obie jednego człowieka, bez ujmy przywiązania jedna ku drugiej.

Ujrzawszy Lucyan Teklę znalazł taką w jej twarzy zmianę, że mu łatwo było odgadnąć ile przez czas jego choroby biedaczka cierpieć musiała. Jeżeli próżność jego pochlebioną się czuła tym dowodem silnego przywiązania, nieco też i serce w nim zakółatało tkliwszém niż dotąd ku nadobnemu temu stworzeniu uczuciem. Mimowolnie podziękował jej

tak czułem ściśnieniem ręki i tak wymownym wzrokiem, że się dusza dziewicy zachwyciła i żywy rumieniec oblał blade jej jagody. Spostrzegł to rotmistrz, zmarszczył się, i pociągając w dół wąsa rzekł do siebie: — „Wietrznik, bałamuci młodą a sam się daje bałamucić starą; takimi są dzisiejsze młokosy, Boże odpuść!” — Julja widziała także niemą tę scenę, i powiedziała sobie w duchu z goryczą: — „Tekla szczęśliwsza! teraz już on dla mnie stracony! — i oddaliła się aby ukryć bolesne wzruszenie serca. Rotmistrz nie odstąpił syna, a gdy po chwili Julja wróciła, wymyślił jakiś interes, dla którego prosił ją aby pośpieszyła z powrotem do domu. Ciotka i siostrzenica pożegnały wkrótce Lucyana, lecz ostatnia uszczęśliwiona nadzieją, która dla pierwszej całkiem prawie zniknęła. Jechały teraz w milczeniu, bo już związek serc między nimi zaczynał słabnąć, gdy Lucyan, jak się zdawało dotąd obojętny, wydał się teraz że jedna z nich go zajmuje.

W istocie zaś, nasz bohater nie tak silnie był pociągnięty ku Tekli, aby ją nad baronową przynosił. Zaledwie tedy stracił z oczu interesującą dziewczynę, wnet myśl jego poleciała do Althofa, a serce paliła niecierpliwa żądza dostania się tam co naj-

prędzej. Umyślił to uskutecznić jeszcze przed swym do Julina powrotem. Chociaż więc już się czuł dostatecznie silnym, udawał czas niejaki słabość *powodową*, aby dłużej pozostać w zaścianku, zkąd chciał na parę godzin zbiegać do Althofa.

Jednego więc dnia w południe, wnet po odjeździe rotmistrza, który go nawiedził, i miał naza-jutrz przysłać po niego pojazd, Lucyan wsiadł do wózka, którego mu pożyczył Ordęga, i ruszył do Althofa. Zostawiwszy w oberży skromny swój ekwipaż, udał się pieszo przez ogród do zamku, i nie spodzianie spotkał się z baronową przechadzającą się w jednej z cienistych alei parku.

Widok młodzieńca wzruszył baronowę najmocniej; w błyszczących jej oczach malowało się radosne uczucie, i Lucyan ze sposobu jakim go witała mógł się przekonać, że z jednostajną była dlań przyjaźnią. Atoli po tym pierwszym wylewie czułości, zapytała go, jak się tu znalazł, i czy nie był od kogo widzianym? — „Lepiej będzie, dodała potem, wejść nam do domu. Ja cię tam uprzedzę, zostań tu chwilę, a potem mię znajdziesz w gabinecie. Tutaj miałyby to minę jakiegoś *rendez-vous*, i mogłoby dać powód do plotki.” To powiedziawszy szybko odeszła, a Lucyan dążył do najbliższej ławki,

aby odpocząć po niewygodnej przejazdce, która go mocno utrudziła, i ochłonąć ze wzruszenia jakie w nim sprawiło spotkanie to z panią Althof. Dziwiła go ta ostróżność, ta, rzecz można pierzchliwość, w osobie wieku i stanu baronowej. Widział w tem jakąś pretensją do młodości, rodzaj *pruderyi* która mu się nie podobała. Zebrawszy się na siły poszedł ku domowi, i znalazłszy drzwi od ogrodowego krużganku otwarte, wszedł do salonu i dalej wiadomą sobie drogą do gabinetu.

Tu baronowa oczarowała go znowu słodkimi słowy i zajęciem z jakim rozpytywała o jego chorobie, sztrofowała że się za rychło naraził na trud tej małej podróży, radziła troskliwie szanowanie zdrowia — jednem słowem, pełną była czułości, dobroci i przyjaźni. Lucyan nie posiadał się z radości i nie mógł znaleźć wyrazów do wynurzenia jej swęj wdzięczności.

— *A propos* — rzekła po chwili z lekkim westchnieniem, nie udało mi się w Warszawie; spotkałam opozycją wcale nieprzewidzianą. Pani ministrowa ubiegła mię i wyłudziła u męża to miejsce dla jakiegoś swojego faworyta, *vous m'entendez*; a stary hrabia, jak wiadomo pod pantoflem, wolał mi nie dotrzymać słowa, niż się wystawić na gniew

żony. Pokłóciłam się z niemi obojgu, i wyjechałam *zdezelowana*, lecz nie mniej zawsze zajęta chęcią usłużenia dobremu mojemu nauczycielowi. *A tout prendre*, może się i lepiej stało, bo jak uważam *notre cher Ministre baisse terriblement* i długo się na swém miejscu nie utrzyma. Zrobiłam więc nowy projekt, dobry jak mnie się zdaje, lecz potrzebujący rozważenia i *zdebatowania*, azali się da uskutecznić.

Tu więc z niepospolitą zręcznością rozwinęła przed młodzieńcem plan podróży za granicę, korzyści i przyjemności jakie on tam znajdzie, ukazując mu oraz w perspektywie podobieństwo spotkania się z nią tam niebawem.

Wyprawiać młodego i chciwego wiedzy człowieka w podróż za granicę, jest to jak mówią wrzucić raka do wody. Lucyan uchwycił się projektu baronowej, jak czegoś najpożądaniszego, ale mu wnet stanęły przed oczyma potężne przeszkody ze strony ciotki a nadewszystko ojca. Przełożył pani Althof tę swoją obawę.

Nie długo namyślała się ta pani nad podaniem mu środka, bo już ten był przez nią wcześniej obmyślony. Rzekła tedy:

— Chorowałeś przed rokiem na piersi, teraz

przebyłeś niebezpieczną gorączkę, znowu więc pier-
si są dotknięte — kaszlasz, czujesz ból w boku, po-
cisz się w nocy, — trzeba ci więc przed jesienią
jeszcze przenieść się z zimnego klimatu do ciepłe-
go, do Włoch, czy do południowej Francyi. W obec
takiej potrzeby ani ciotka, ani nawet ojciec, nie zdo-
łają cię zatrzymać.

— Ależ musiałbym kłamać! — wykrzyknął prze-
straszony Lucyan.

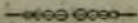
Baronowa ledwie mu w nos nie parzchnęła od
śmiechu, lecz znając jego charakter wstrzymała się
i przybrawszy minę poważną i jakby urażoną:

— Do kłamstwa nikogobym nie wiodła, alem
przekonana że te symptomata o których mówiłam,
ukazą się niezawodnie, jeżeli będziesz zimował
w kraju. Nie jeden już tego widziałam przykład.
Ojciec twój i ciotka tego nie pojną, dla nich trze-
ba czegoś coby w oczy kłuło, coby omacać mogli;
lecz kiedy aż do tego przyjdzie, będzie już może
za późno. *Vous m'avez l'air d'un poitrinaire*, mó-
wię z przekonania, zresztą panem jesteś swęj woli.
Uczyniłam co mi nakazywała przyjaźń, sądząc przy-
tém że nie potrzebowałam kłaść kropki nad *i* żeby
być zrozumianą. Mogłam się w tém pomylić.

Lucyan czuł się zawstydzonym i bełkotał prze-

prosiny. Taktyka baronowej udała się wybornie: straszyla go grożącym jakoby zdrowiu jego niebezpieczeństwem, podrażniła zarazem żądzę podróżowania, i podała do uspokojenia tej żądzы nader łatwy środek, udała nakoniec że się czuła obrażoną, co wszystko i na imaginacyą i na uczucie młodzieńca najmocniej podziałać musiało. Skruszony, prosił o przebaczenie, i tém łatwiej je otrzymał, że we wszystkiem przyrzekał posłuszeństwo. Zdawało mu się nawet, że uczuł jakoby ból w boku, i żegnając baronowę trochę zakaszłał.

— Teraz już mam go w ręku — rzekła zacierając ręce, gdy została sama. — Plan mój przyjdzie do skutku — trzeba tylko na podróż pieniądze.



9.

Nazajutrz po tej krótkiej ale nie próżnej wizycie, opuścił Lucyan przygodne swoje mieszkanie i wrócił do Julina. Tysiące myśli krążyły mu w głowie, niespokojna imaginacya, przy osłabionych nerwach, karmiła w nim ideę, że stan jego zdrowia był zagrażającym, z drugiej strony krytyczne jego położenie w obec Julji, podwajało żądzę zwiedzenia obcych krajów. Tak więc bez kłamstwa, którem się brzydził, mógł wystawić ojcu i ciotce potrzebę szukania w cieplejszym klimacie ratunku dla swego zdrowia. Rotmistrz zrazu nie chciał się na to zgodzić, zagraniczne kuracye uważał za chimere, za wynalazek modny, i utrzymywał że w dawnych

czasach nie znano tych wymysłów, a ludzie dłużej żyli niż dzisiaj.

Julja zaś, pomimo całej boleści jaką gotowało dla niej rozstanie się z Lucyanem, nie wahała się dać mu swoje zezwolenie, nie wymagając nawet ażeby, jak tego żądał rotmistrz, poradzono się w tym względzie powiatowego doktora. Wprawdzie i ona nie wystawiała sobie stanu Lucyana niebezpiecznym, nie ufała także zagranicznym kuracyom, lecz wołała dogodzić jego urojeniu, aniżeli zatrzymując go wbrew jego chęci okazać się dlań nieczułą. „Zresztą (mówiła sobie) niech będzie najdalej odemnie, byłem wiedziała że mi sprzyja przynajmniej przez wrodzoną szlachetnej duszy wdzięczność. Tam mu to uczucie nie będzie ciężarem, tutaj ustąpiłoby może z serca pod wpływem przymusu.” — Rozmyślając potem nad uczuciami Lucyana ku Tekli, znajdowała teraz, że te w nim nie musiały być tak żywe, jak je sobie była wystawiła, gdy się zdecydował opuścić ją, na czas może długi. Tu jej przyszło na myśl, że mężczyzna w podobnym razie dba więcej o siebie niż o tę którą kocha. Postępek P. Wincentego przed 20tu laty, stał jej widać dotąd w pamięci. Inna kobieta w położeniu Julji, czułaby może pewny rodzaj zadowolenia, widząc zawiedzione na-

dzieje swęj rywalki; w tęm zaś osobliwszęj dobroci sercu, dla podobnęj ujemnęj uciechy nie było miejsca. Bolało ją odkrycie w Tekli tego uczucia, którem sama ku Lucyanowi była przejęta, lecz nie uważała w tęm żadnęj z jej strony zdrady, żadnęj ujmy należącęj się od nięj za odebrane dobrodziejstwa wdzięczności. Traf nieszczęśliwy natchnął je obie miłością ku jednemu człowiekowi, walczyły obie za własnęm swęm sercem, a gdy się pokazywało że człęk ten żadnęj z nich wzajem nie kochał, spólność niedoli ścisłęj jeszcze spoić musiała dwie te pocziwe istoty. Julja więc nie chcąc przyśpieszać Tekli zmartwienia, zamilczała przed nią o projekcie Lucyana. On też z tego samego względu wołał ją zostawić na czas w niewiadomości, i tak biedne dziewczę oddawało się słodkim marzeniom, z tęm mniejszą trwogą, że w postępowaniu z nią ciotki nie postzegala zmiany. Lucyan nieprzestając okazywać jej braterskęj przyjaźni, miał się z nią nieco ostróżnziej, lecz niedoświadczona dziewczyna widziała w tęm bojaźń narażenia się ojcu, uważając że rotmistrz nie chętnieby przyzwolił na ich połączenie.

Tak upływały dni i tygodnie, jesień się zbliżała, lecz jak naprzekor naszemu bohaterowi zdrowie jego nie psuło się wcale; zdawało się owszem że się

wzmacnia, przynajmniej twarz nie miała już chorobliwej cery. Rotmistrz w milczeniu, śledził bystrym okiem powrót ten do zdrowia i czekał pory żeby syna stanowczo odwrócić od jego zamiaru, a własny swój w tym jeszcze roku przywieść do skutku. Julja także zbywając się trwogi o Lucjana zdrowie, zaczynała już pieścić się nadzieją, że on zaniecha myśli szukania pod obcym niebem pomocy dla swych piersi, gdy wpływ rodzinnego powietrza dostatecznie mu jęj udzieli. Lucyan zaś chcąc się okazać wdzięcznym za tyle z jęj strony dobroci i wyrozumiałości, pełen był dla nięj czulej attencyi, i tak nią zdawał się zajęty, że biedna Julja nie wiedziała już co o tém myśleć, i znowu nieraz w niebezpieczne dla swego spokoju wpadała marzenia. Tekla ze swęj strony gubiła się w domysłach, nie mogąc pogodzić obecnego postępowania młodzieńca z uczuciami, jakie objawiał wprzódy; widziała w nim zmianę i przeczuwała w zamiarach jego coś dla siebie niepomyślnego. Taki był los dwóch tych kochających kobiet, że na przemiany, jedna i druga to się karmiły nadzieją, to dręczyły trwogą; nie mogąc sobie nigdy powiedzieć z pewnością, którą z nich Lucyan kocha wzajemną miłością, i czy nawet którąkolwiek kocha. W istocie, serce jego wa-

hało się między dwiema, lecz temi były baronowa i Tekla; z Julją łączyło go tylko synowskie uczucie. Pociąg ku dwóm tamtym był nieorzeczony, wążący się na tę i na ową stronę: Tekla wkradała mu się w serce, pani Althof zajmowała potężnie głowę, lecz on jeszcze tej różnicy w sobie nie poznawał, i tak jak rzeczy stały, byłby poszedł raczej za głowę. Sama myśl podróżowania za granicą (a tę podała mu baronowa) tyle miała dla niego powabu, że się już niczem innem serjo zaprzatnąć nie mógł. Paryż, Londyn, Rzym, Neapol, Alpy i Pireneje stały ciągle przed okiem jego wyobraźni, a nadzieja zwiedzenia Kapitolu obok swej *Korynny*, silniejszego dodawała uroku poetycznym jego marzeniom. Gotował się już w owym klassycznym Rzymie uwić wieniec z lauru, i złożyć go u nóg swej uczennicy, z temi wierszami wyjętymi z Propercjusza:

Ut caput in magnis ubi non est ponere signis,
Ponitur hic imos ante corona pedes. *)

Bo też pani Althof, jakeśmy widzieli, należała do rzędu autorek, i czytywała niekiedy Lucyanowi ułamki ze swych utworów wierszem i prozą, niby

*) Gdy bogom człek nie śmiałby kłaść wieniec na głowę,
Skladać je pod ich nogi, powinien w pokorze.

dla podawania mu pod krytykę, a w rzeczy aby nowym ku sobie ująć go powabem. Nie brakło też tym próbkom jej pióra dowcipu i barwy, jakimi zwykle mile połyskują lekkie utwory uzdolnionych kobiet, a Lucyan nazbyt był zajęty autorką, ażeby w tych ładnych fraszkach nie podziwiał wielkiego talentu.

Rzadko atoli nawiedzał swoją *Korynnę*, rzadziej jeszcze ona bywała w Julinie, a to aby nie ściągnąć na siebie jakiego podejrzenia, najbardziej ze strony rotmistrza. A gdy się im nawet zdarzało być z sobą sam na sam, baronowa umiała trzymać Lucyana w takiej podległości, która nie będąc uciążliwą, hamuje tylko zbyt śmiałe nadzieje, i za-pragnionego szczęścia dobijać się każe usilnie i wytrwale. Pewna już teraz, że za granicą całkiem nim owładnie, skazywała go tymczasem na odbycie nowicyatu, kazała mu być tutaj giermkim, aby go tam później pasować na rycerza. Do wyjazdu zaś gotowała się sekretnie, nie tylko szambelanowi, ale nawet faworytce swojej Balbinie nic o tém nie mówiąc. O pieniądze była także spokojna, znalazłszy u Talerkiewicza na tysiąc dukatów kredyt.

Tak stały rzeczy, gdy dnia jednego w połowie

września, Lucyan dla ostatecznego z nią ułożenia się co do planu podróży i terminu wyjazdu, przybył do Althofa około południa. Baronowa oczekiwała go od godziny, i aby sobie czas skrócić, przeglądała znowu rękopis swoich pamiętników. Przebiegłszy kilkanaście stronic odłożyła go na stronę, a wydobywszy ze stosu papierów inny manuskrypt, rzekła do siebie.

— Muszę teraz zajrzeć do tych oto werydycznych moich pamiętek, przeznaczonych na spalenie po ukończeniu redakcyi tamtych co mają wyjść na światło, a w których mniej cokolwiek znajduje się szczerości. W tych zapewne jest wiele rzeczy z którychbym się publicznie spowiadać nie chciała, ale nie mało też i wybornych do udzielenia czytelnikowi anegdot. Myślę że i nieboszczka księżna Abrantés nie jedną ze swoich przygodek utaić przed nami musiała. *Voyons*, oznaczmy ołówkiem to co jest do wzięcia, a reszta *à l'index*... Żałuję że nie mężczyzna, nie potrzebowałabym tak nelitościwie obcinać tego zbiorku.

Czytała tedy, kreśląc ołówkiem, uśmiechając się i pokręcając czasem głową, a po chwili groom zameldował młodego pana Bogackiego. Baronowa odłożyła rękopis do stosu, przejrzała się we zwier-

ciędle, wypita szklankę orszady, poczem wróciwszy do swojego krzesła, kazała prosić: Lucyan wszedł, a ona podając mu rękę, z powagą pełną gracyi rzekła.

— A pięknież to kazać na siebie tak długo czekać? *Crime capital d'après le Code de la galanterie.*

— Wina zaiste ogromna, ale niedobrowolna.

— Jeżeli tak, werdykt mówi, *coupable, mais avec admission des circonstances atténuantes.* Sentencya zatem: *Au travail forcé pour une heure,* to znaczy przejrzeć i skrytykować parę rozdziałów pamiętnika, o którym panu mówiłam.

— Poddaję się bez szemrania wyrokowi, ale — krytykować?

— Bez żadnego *ale*; tak brzmi wyrok. Cóż porabiają w Julinie? Smutni być muszą, gotując się do chwili pożegnania. Biedna, moja przyjaciółka! Będzie jej nudno, a sama temu winna ociągając się wziąć męża, z którym bez wątpienia byłoby weselęj. Swatam jej szambelana. — Jak myślisz? Czy to pójdzie?

— Moja ciotka skryta jest w tym punkcie — nie śmiałybm ją badać — gdyby się zaś mnie rażdziła — nie wiem czy mógłbym sumiennie — —

— Opozycya ze strony pana Lucyana! Tegom

się wyznam nie spodziewała — przerwała mu baronowa z nieukontentowaniem.

— Nie mam nic osobistego przeciwko panu Igrzyciemu, alebym ciotce mojej radził wcale już nie iść za męża.

— A to dla czego?

— Bo już, zdaje mi się, minęła dla niej do zamęcia przyzwoita doba.

— *Savez-vous*, żeś czasem nieznośny ze swoją pedanterią. A miałaś być na wielkim świecie, przy boku dyplomaty. Dziękuj Bogu że się to nie stało, bo niezawodnie spotkałaby cię tam przygoda Żil Blasa u arcybiskupa Grenady,

— Być może. Szczęśliwy atoli jestem że ten rodzaj pedanteryi nie wyrugował mię ze względów pani.

— Bom ja nie dyplomatka, a prosta sobie kobicina, lubiąca prawdę, w ustach tych którzy mi są życzliwi. A choćbym i nie lubiła, rozbroiłbyś mię, tak zabawną masz minę kiedy perorujesz. Bądź co bądź, korzystam nieraz z jego morałów, ale co w tej okoliczności nie zgoda! i jeżeli masz cokolwiek dla mnie przyjaźni, pomożesz mi skłonić pannę ciotkę do uszczęśliwienia poczciwego szambelancja.

— Chciej pani być pewną, że próżną byłaby jej i moja praca.

Baronowa zmarszczyła brwi i chciała przeciw temu coś wyrzec z gniewem, gdy wszedł groom.

— Cóż tam John? — fuknęła niecierpliwie.

— Panna Balbina przysyła mię donieść pani, że Szerami nagle zachorował.

— *Bon Dieu!* cóż mu się stało?

— Bógże wie: tarza się, skomli. Panna Balbina mówi że to ko—ko—konwolucye, czy coś takiego.

— Co ty pleciesz? — krzyknie baronowa porywając się z krzesła — *ah, miséricorde!* domyślam się, konwulsje! — Wybacz panie Lucyanie — nim wrócę, przeczytaj pamiętnik — znajdziesz go tu na biurze — a ty John, biegaj do stangreta, niech weźmie tilbury i pędzi po doktora. *Ah, mon Dieu, mon Dieu!*

I wybiegła, a Lucyan zapytał grooma czy piesek zachorował?

— A juźci piesek, — odpowiedział John — nie byłoby inaczej tyle lamentu. I poszedł przeklinając psa.

Lucyan pozostawszy sam zamyślił się, i taką z sobą zaczął rozmowę:

— Piesek! — Taka rozpacz o chorego psa! — prawdziwie, serca kobiet są coś jak owe niezna-

jome lądy w których wędrowiec co krok nowe robi odkrycia. Ale damom wielkiego świata, trzeba przebaczać te słabostki należące do ich kasty, osobliwie zkadinał tak dobrej osobie jak baronowa. Bezdzienna, w rozwodzie z mężem, który nie umiał cenić pięknych jej przymiotów, nic dziwnego że w smutném swém osamotnieniu serce jej ulega małym kaprysom czułości, że płaci przywiązaniem za przywiązanie zwierzętom nawet. Ach! dusza jej zamykać w sobie musi niewyczerpany skarb miłości. Być kochanym od takiej osoby, to szczęście niepojęte.

Tu się znowu zadumał, a po chwili:

— A Tekla? I to anioł, kocha mię, pewny jestem, pierwszą, najżywszą miłością. Ale cóż, gdyśmy oboje tak młodzi, tak ubodzy — gdy mój ojciec i jej ciotka byliby temu przeciwni? — Gdy podróżować koniecznie muszę, a tymczasem, ileż to lat ubieży, ile zmian, a może nawet w sercu Tekli zajdzie jaka zmiana? Nie, ona się nie odmieni, — ja to czuję — ale biegu rzeczy odwrócić niepodobna. Zresztą, jeżeli baronowa jest taką, jak o niej trzymam, niema niebezpieczeństwa: przyjaźń jej ubarwi me życie wysoką poezją, i dopełni mojego ukształcenia. — Mężem jej nie będę, wiem iż

to rzecz niepodobna! — Kochankiem fe! nadto mamy oboje miłości cnoty żebyśmy nawet mogli pomyśleć o niemoralnym związku. Przyjacielem zaś jej w wyższem znaczeniu słowa, o to co innego! Tej rozkoszy używać mogę bez zgryzot sumienia, i z honorem.

Tak siebie uspokoiwszy, przypomniał nasz filozof że mu baronowa kazała przeczytać pamiętnik; szukał go więc między papierami i wydobywszy ze stosu zeszyt na którego okładce napisano było: *Spo-wiedzie Matyldy*, powiedział sobie: — Ten zapewne być musi — i rozsiadłszy się w krześle zaczął czytać i poprawiać ołówkiem usterki języka i stylu. Wstęp tego pisma zawierał w sobie przygodki dziecinnego wieku, mało zajmujące. W dalszym ciągu znalazł szczegóły nieco treściwsze, a wtém wbiegła pani Althof, zawsze zafrasowana, i niespójrzawszy na Lucyana wzięła z etażerki obciążonej różnemi błyskotkami, jeden ze stojących tam kryształowych flakoników, mówiąc żałośnie:

— Biedny Szerancio! nie wiem czy go uratuję. Trzeba spróbować tych kropel co mu już raz pomogły.

I chciała odejść gdy wszedł groom.

— A co John? Wystałeś po doktora? — zapyta niespokojnie.

— Nieszczęśliwy przypadek, Jasnie Pani, koń skaleczył stangreta.

— Zadrasnął go może, a wy z tego zaraz robicie wielkie rzeczy.

— Gdzie tam zadrasnął? Wierzgnął i ugodził okrutnie podkówną w nogę! złamana pono.

— O, mój Boże! Jam na wyjeździe, któż mię powiezie? Niechże tymczasem ktokolwiek inny rusza po doktora, dla dwóch razem pacjentów — ale, ale, powiedz Brygidzie, żeby mi zaraz nagrzała wody na kąpiel dla Szeramcia.

I wyleciała, a Lucyan patrząc zdumiony za odchodzącą, wykrzyknął z boleścią. — O Boże! czyżem dobrze słyszał?!

— Oj tak, panie — rzekł chłopiec. U nas na-przód pies, potem człowiek.

I machnąwszy ręką odszedł.

Lucyan, spuścił głowę na piersi i rzekł do siebie: — Nie! to już nie są kaprysy czułości, to raczej całkowita nieczułość! A jaki brzydki egoizm w tym jej wykrzykniku, „kto mię teraz powiezie?” — Ach, czyżby ta kobieta, którą sobie wystawiał zesła-

nym z nieba aniołem, była — — Ale i te pamiętniki zaczynają mi się niepodobać. Zobaczmy dalej.

Czytał więc, i na twarzy jego coraz się większa malowała zgroza. Przewrotny charakter baronowej w wydatniejszych coraz występował rysach. Samolubstwo, obłuda, zwodnictwo, brak religji, szerokiemi rozścielały się plamami na całym tle jej życia. Gdyby Lucyan nie znał jej ręki, pomyślałby że to paszkwil, dzieło jakiego potwarcy, jej wroga!

— Ha! to szkaradnie! — zawołał ciskając na bióro rękopis — Przed chwilą uszom moim, a teraz oczom bardziej jeszcze nie chciałbym wierzyć! Co za bezwstyd, co za szaleństwo, spowiadać się przed światem z takich niecných postępków! Niechby narazie była sobie płochą, złośliwą, intrygantką, ale chełpić się z tego, pisać o tém z namysłem, tego by nie uczyniła żadna niewiasta, nie mówię wstydliva, lecz choćby kromkę rozsądku mająca. Biedny jej mąż! on to się pomylił w wyborze, a przecie jego, nie ją świat potępia. Otoż nowy przykład jak łatwo opinja publiczna daje się w błąd wprowadzać.

Chodząc potem wielkimi krokami po gabinecie, tak dalej ciągnął, wśród rozmyślania, swój monolog:

— Być inaczej nie może, jak że te swoje śliczne spowiedzie pisała dla siebie tylko samej, i że trafem jedynie wpadły mi w ręce. Tracąc głowę o psa, zapomniała iż fatalny ten rękopis był między papierami na biurze.— Musi więc tam być inny.— Tak w samej rzeczy, oto leży z napisem *Moje pamiątki* — prześlepiłem ten a znalazłem ów. Prawdziwe szczęście, miłosierdzie nademną Boga! kto wie do czego by mnie doprowadziły ściślejsze z tą kobietą stosunki? Wczas przysło z nieba ostrzeżenie. Zrywam z nią całkowicie, bo już nie mam dla niej szacunku, bo hańbiłbym siebie udając że ją jeszcze poważam. Udawać nie umiem — i nie chcę. — Dla niej samej nareszcie wstydziłbym się spojrzeć jej teraz w oczy. Cóż uczynię? zostać tu dłużej nie mogę — więc napiszę do niej.

Takie wzięwszy postanowienie siadł oburzony młodzian u bióra, i napisał co następuje:

„Nieszczęśliwa zapewne ze strony pani omyłka, „podała mi w ręce ten rękopis, miasto innego co „mi był przeznaczony. Lecz stało się — czytałem „ten. Jestem człek uczciwy; tajemnice pani za- „grzebane będą w mej piersi na wieki; możesz być „najpewniejszą że odemnie nikt się o nich nie do- „wie. Atoli, mimowolne to odkrycie nakazuje mi

„nieodzownie uchylić się z przed jej oczu nazawsze.
 „Zachowam wdzięczność za okazywaną mi przy-
 „jaźń, zasad tylko moich uczuciu temu poświęcić
 „nie jestem w stanie. Wolę się na gniew pani na-
 „razić aniżeli ją okłamać. Bóg widzi me serce,
 „widzi w niem szczerłość i prawdę; niosę do niego
 „gorące modły, aby natchnął panią zbawienną żą-
 „dzą naprawienia błędów swojego życia,”

Podpisawszy, położył list na rękopiśmie i otarłszy pot z czoła, oraz łzę gorzką wyciśniętą boleśnym uczuciem, wstał, wziął swój kapelusz i spiesznie udał się ku drzwiom, gdy wchodzący szambelaz zatrzymał go w progu.

—A, *bon jour Monsieur Bogacki*. Cóż to? sam? a baronowa?

—W garderobie. Piesek zachorował— odpowiedział Lucyan lekko mu się skłoniwszy, i chciał wyjść.

—*Restez-donc*. Dokądże tak śpieszysz?

—Przepraszam, pilno. Żegnam pana.

Szambelan spojrział szydersko za odchodzącym i rzekł: — Wyleciał zaperzony. Choroba pieska przerwała moralne studia. Nie wiedział smarkacz, że w sercu jego bogini piesek pierwsze trzyma miejsce. Dowiesz się nieboże, twoim kosztem, o

tém serduszkę lepszych jeszcze rzeczy. Tymczasem dobrze, że sobie poszedł, bo już między niemi zanadto poufałości. Mam też właśnie o tym Korydonie artykuł w mojej *Morning Chronicle* dla pani Matyldy na śniadanko. Zapieprzę jej trochę bigosik, bo też innego nie widzę sposobu na pohamowanie sarkazmów, któremi codzien mi dopieka. W ogólności, szczypiące kobiety chcą być nawzajem szczypane.

W tej chwili weszła baronowa, z twarzą rozweseloną mówiąc: —Dzięki niebu, uratowałam biednego Szeramcia— — *Ach, bon jour mon cher Chambellan*— —

Potem spojrzała w koło i rzekła w myśli— Jego niemasz?! uciekł przed tym natrętem.

Szambelan ze swą lisią układnością odpowiedział: —*Bien le bon jour Madame*. Jakżem bolał nad zmartwieniem pani! Jak się cieszę, że nieoszaczony *cher ami* nie przeniósł się zawczasem na elizejskie pola. *Savez-vous*, żem już dlań gotował nagrobek! Oto jest moja improwizacya:

Ach! już śmierć Szeramciowi zamknęła powieki!

Ale bogowie, w nagrodę wierności,

Winni mu byli dar nieśmiertelności,

Aby swęj pięknej pani nie rzucił na wieki.

—Dość ładnie— rzekła baronowa— ale czy tylko nie plagjat szambelanie-poeto? Zdaje mi się że coś podobnego czytałam w zbiorze poezyi Segiura. Jak cię zaś obchodziło moje zmartwienie, widać z tego żeś się wylegał do południa.

—Spałem prawda długo, lecz snem niespokojnym, jakby przeczuwając że cierpisz. Byłem znużony jak koń pocztowy, i gorzej jak koń, bo znużony na śmierć prawie. Dość powiedzieć, że przesiedział wczoraj ze siedm coś godzin w Julinie. Taka przekłeta fatyga wpędziłaby w letarg Kapitolińskiego gęsiora.

—Ale nie zakochanego— wrzuciła śmiejąc się baronowa.

—Ach prawda, zapomniałem że zakochany; ależ bo przedmiot moich wzdychań tak jest zimny, jak żona Lota po swjej metamorfozie.

—I równie słony, - to jest drogi, nieprawdaż? Odnów cud Pigmaliona szambelanie-artysto.

—Boję się przeciwnie, żebym się sam przy niej nie skryształizował.

—Opowiedz mi proszę swoje przygody. Nic zabawniejszego jak doskonały dworak w załotach do parafijanki.

—Nie zbyt to dla mnie pochlebnie dostarczać

pani podobnej zabawy, ale ponieważ raczysz grać w moim romansie rolę swaty, winienem zdać jej ze wszystkiego sprawę. Otoż *pro primo*, przyjechałem wczoraj do Julina już po obiedzie. Moja Dulcynea jada o pierwszej, o czém na nieszczęście jakoś zapomniałem. Morzył mię tedy głód aż do herbaty. *Quel tourment!*

— *Extrêmement cruel* dla gastrolatra, pojmuję.

— *Pro secundo*, znalazłem figury....

— Pocieszne?

— Najnudniejsze w świecie: Spylińskiego i Talerkiewicza.

— *Délicieux!* dwóch twoich rywalów.

— Dwa exemplarze choćby do paryzkiej menażeryi. *De vrais animaux!* Jeden prawić wciąż starszej pannie androny, drugi w obec téjże zrobił mi impertynencyą przypominając się o te nędzne 50 dukatów co mu winienem.

— *Que voulez-vous?* Każdy wojuje swoim orężem.

— Zapłaciłem mu....

— Zapłaciłeś?!

— Pogardliwym rzutem oka. Ale to gburostwo lichwiarza, *cette attaque à brûle-pourpoint*, tak mię oburzyły, że musiałem sobie trochę zadać pracy, aby utrzymać równowagę mojego humoru.

Uwolniwszy się od tych dwóch katów, trafiłem trzeciemu w ręce.

—Staremu rotmistrzowi? zabawny i to oryginał.

—Oryginał, ale przepraszam nie zabawny, i tem uciążliwszy że go trzeba menażować jako konfidenta starej panny. Prawił mi o konfederacyach, o dawnych sejmach i sejmikach, o *liberum veto*, i o innych równie interesujących starych dziejach, przepłatając gawędę przysłowiami *à la* Sanszopansa, i częstując z różka tabaką śmierdzącą jak assafetida.

—Biedny szambelanie! A panna Julja? Ta przynajmniej musiała cię nasycać wonią.

—Wonią piżmowanej lawendowej wody, co mi przypomniało zapach starej mojej nieboszczki ciotki. Przytém zamyślona, marząca, wzdychająca, roz-targniona.

—Dobry znak. A porównywałeś ją z biblijnym posągiem żony Lota? Odwołaj potwarz.

—Affektacya, nic więcej. Marzy *figurez-vous* o filantropji. *Ni plus ni moins*, chciałaby ze swego prozaicznego Julina zrobić Arkadyą!! przedzierzgnąć swoich siermięgowców w sielankowych pastery!! Wystaw sobie pani, słyszeć z ust tej tłuścioszki gospochy, gruchanie idylliczne w rodzaju pani

Deshoulières. Julja Bogacka z hulettą w ręku, nad brzegiem strumyka pasąca baranki!

—Cha, cha, cha! A szambelan, *en berger d'Arcadie*, u nóg jój z flecikiem. *Divin!* Muisz mi kazać odrysować ten obrazek *à la Watteau*, mój szambelanie-berżerku.

—Panią to bawi, a ja ledwiem nie pękał ze złości. Jedném słowem, zwarzowana choć do Bedlamu. Panu Lucyanowi winienem podobno tę metamorfozę w organizmie, dotąd wcale niepoetycznym, dziedziczki Julina z attynencyami.

—Mylisz się szambelanie. Lucyan niema czasu zajmować się przekształcaniem swój ciotki.

—Chyba dla tego, że się zajmuje kształceniem jój siostrzenicy.

—Młody ten człowiek myśli o czémś ważniejszém— o wykształcaniu własnego umysłu i serca, jak to też po nim widać.

—Hem, z tego co wczoraj widziałem mniemaćby należało, że on ma czas na wszystko.

—Cóż przecie widziałeś? bardzom ciekawa. Tylko szambelanie, bez fikcyi, proszę, bom dziś w humorze słuchania samój prawdy.

—I jam też w dyspozycyi mówienia jój bez ogródki. Było to więc tak. Znudzony eklogą mojej pa-

sterki, wyszedłem odetchnąć na balkon, i kiedy wodzę oczyma po starém ogrodzisku, spostrzegam w bocznej alei kobięcą postać. Po różnej kibici i lekkim kroku poznałem w niej Teklę. Zdawało mi się, że zmierza ku altance, więc myślę sobie: pójdę do niej, może się uda dowiedzieć u siostrzenicy o dyspozycjach ku mnie jej ciotki.

—Mniejsza w jakim celu, ciekawam końca,— przerwała baronowa niecierpliwie.

—Momencik cierpliwości, droga pani. Schodzę więc do ogrodu, zawracam ku alei, aż mię spotyka garderobiana, faworytka Julji. Taką trzeba menażować. Spójrzę jej w oczy, kwaśna. Przypomniałem sobie, żem jej nic jeszcze nie dał.

—Odpraw, proszę, prędzęj swoją subretkę. Jak też możesz rozciągać się nad takimi szczegółami?

—Cóż czynić, kiedy drobne te szczegóły mają styczność z główną akcją? ta albowiem subretka zabrała mi chwilę czasu, i kiedy potem kołując przybliżyłem się z przeciwnej strony ku altance, usłyszałem w niej szmer, coś jakby cichą rozmowę mężczyzny z kobietą.

—Lucyana z Teklą?

—Zgadłaś pani. Podstąpiłem jeszcze bliżej, lecz zrazu nie mogłem schwycić sensu dyalogu, naresz-

cie zrozumiałem, że Teklusia uważa swoją rywalką... zgadnij pani kogo?

—E, co mi tam do wniosków tej dziewczyny! Nudnyś szambelanie ze swoją powieścią — rzekła baronowa złąkniona.

—*Mille pardons*, więc powiem— swoją ciocię,

—*Impossible!*

—Ha, kto wie?... Tymczasem Lucyan starał się jej to wybić z głowy. Potem znowu gruchali z sobą *pianissimo*, a z ich dwu-śpiewu zaledwie słów te kilka usłyszałem: —Baronowa... ciotka... podróż za granicą...— gęstemi przeplatane westchnieniami.

Baronowa nic już na to nie rzekła, ale gryzła róg swęj chustki, co u niej było znakiem tłumionego gniewu. Szambelan głaskał swoje tabakierę, wpatrując się w zdobiący ją minjaturowy portrecik, i ciesząc się w duchu z efektu jaki na baronowej zrobiło jego opowiadanie, w którym było trochę prawdy, lecz dużo także kłamstwa. Lucyan w istocie zszedł się w owej chwili z Teklą w altance, ale ta schadzka była przypadkowa. Rozmowa ich trwała krótko; on jej powiedział o swym zamiarze podróżowania w cudzych krajach, na co ona westchnąwszy zapytała, czyby ciotka nie była temu przeciwną; a gdy się dowiedziała że tak nie

jest, zdumiała się trochę, i rzekła: — Teraz już cię nic nie zatrzymuje — a tłumiąc w sobie żal i ukrywając łzy cisnące się do oczu, odeszła na powrót do domu, nie spostrzegłszy szambelana który się był ukrył za blizkim kłębem, i drugą stroną wrócił; Lucyan zaś pozostał w altance. O baronowej młoda para wcale nie wspomniła, ale panu Igrzycykiem ten dodatek zdawał się być potrzebną do jego plotki ingrediencyą, dla mocniejszego zapieprzenia przygotowanego dla swojej przyjaciółki przysmaczku.

Kiedy więc baronowa dąsała się w duchu na Lucyana, nie mogąc wątpić o prawdzie powieści szambelana, ze względu na przytoczoną przezeń podróż za granicę, o której on z kądiną wiedzieć nie mógł, wszedł groom i zameldował pana Talerkiewicza.

— Proś go — rzekła — żeby poczekał momencik w salonie. *Et vous mon cher Chambellan*, pójdź, zabaw go proszę.

— Ale, proszę pani, — odrzekł groom, — on mi kazał donieść że zgoła niema czasu, że przyjechał na rozkaz.

— No, więc wprowadź go tu, kiedy inaczej być nie może; *ah, j'etouffe!*

Groom poszedł, a za nim szambelan pośpieszył

do Talerkiewicza i szepnął temu, że te 50 dukatów o które się dopominał, zapłaci baronowa, czyli że on je sobie z pożyczającej się jej summy łatwo potrącić może. Ochoczo przyjął tę radę podczaszyc, bo już te pieniądze miał prawie za przepałość, i wnet za przewodniczącym mu groomem udał się do gabinetu JW. debitorce.

Baronowa tymczasem rozmyślała z goryczą o zalotach Lucyana do Tekli. „To już boska kara—mówiła do siebie—Ciotka i siostrzenica! Nie sądziłam żeby i tej *Pigriesz* Julji zamarzyło się bałamucić mi chłopca. *Peine perdue ma bonne*, ale młoda dziewczyna, *c'est une autre paire de manches*. Zresztą byle wyjechał, wnet mu obie wylecą z głowy, *je m'en flatte*.”

Wejście Talerkiewicza przerwało monolog, baronowa usiadłszy za biurkiem przywitała łaskawie gościa przez wzgląd że się stawił z pieniędzmi; pozwoliła mu nawet pocałować rękę którą potem starannie otarła. Talerkiewicz przystąpił wnet do interesu, położył na biurku gotowy już do podpisania wexel, paczkę papierowej monety, i kartę szambelana.

—Jak długi termin?— zapytała licząc pieniądze,

—Trzy miesięczny mociumdziko.

—Zgoda, a procent jaki?

—Szósty, tylko z góry. Innego nie bioreę.

—Nie większy?

—Albożeś asindzka wąpiła o tém?

—O bynajmniej— i rzekła do siebie: zacóż go nazywają lichwiarzem? bierze procent z góry, ale tylko szósty; to jeszcze feniks— — — Ale, panie Talerkiewicz— zapytała go po przeliczeniu pieniędzy, tu niema trzech tysięcy rubli.

—Asindzka żądałaś 1000 dukatów.

—Alboż to nie jedno?

—Wcale nie, mociumdziko. Dukat, widzi pani, liczę po złotych 18.

—A więc proszę o dukaty.

—Nie mam ich teraz ani na lekarstwo, ale pani będziesz mogła oddać mi dukatami. Przyjmę chętnie, byle tylko były ważne.

—Ależ tu niema tysiąca dukatów nawet podług kursu acana. Tu jest zaledwie 2335 rubli srebrnych.

—Są, są, mociumdziko. Bo oto *propersoluto* karteczka na 150 rubli, czyli z procentami na 180. *Ditto*, pięć rubelków za papier, aktykacją, koszta podróży....

—Czyja karta?

—JW. szambelana Igrzyckiego, *manupropria*.

—Albożem ręczyła acanu za niego?

—Pan szambelan słowem honoru mnie o tém zapewniał.

—Ale....

—Jeżeli asińdzka nie chce, cofam mój kredyt bez żadnej pretensji.

—Na ten raz przyjmuję; *ah ce bandit d'Igrzycki!*— Ale zawsze jeszcze brakować będzie 135 rubli.

—Procent, mociumdziko, po 6 od sta, *facit* 180.

—Jakto? za kwartał po 6 od sta, czyni 45.

—Za rok, mociumdziko. Ja zawsze liczę procent roczny, to mój zwyczaj.

—Ale ja zapłacę od dzisiaj za trzy miesiące.

—Naturalnie, ale to asińdze nie zrobi wielkiej różnicy. Ja zaś nie mam pewności, żeby po trzech miesiącach można było tę sumkę oddać znowu na procent. Dla kogo innego nie pośpieszyłbym w potrzebie z moją pomocą.

—Acan to nazywasz pomocą, gdy bierzesz po dwa procenta na miesiąc! *oh, qu'il mérite bien sa réputation!*

—Tak jest, dbam o moją reputacyą. Nie narzucam nikomu moich pieniędzy. Dobra wola mociumdziko, bez pretensji, taki mój zwyczaj.

Baronowa wsparłszy się na łokciu, pomyślała minutę, potem rzekła:

—Pierwszy i ostatni raz w życiu robię takie głupstwo; o acanu zaś wiem już co mam myśleć. Dajże mi do podpisania swój cyrograf.

To mówiąc położyła przed sobą wexel, wysunęła z bióra szufladkę, wrzuciła w nią bilety, i zasunawszy znowu, odczytała raz jeszcze wexel. Talerkiewicz protestował przeciw nazwaniu jego wexla cyrografem, co uważał dla siebie wielką krzywdą, powtarzając, że niechętnie pożyczca baronowej te pieniądze. Ona nie zważała wcale na jego eksklamacye, a chciała się już co najprędzej go pozbyć. Gdy tedy niecierpliwie brała do ręki pióro, w téjże chwili wpadł jej w oczy bilecik zaadresowany do niej ręką Lucyana i położony na jej tajemniczym rękopisie. Domyślając się nieszczęścia otworzyła listek, i przebiegłszy go osłupiałym wzrokiem, krzyknęła przeraźliwie i odpadła w tył na krzesło zemdlona, ściskając w dłoni pomięty ów papier.

Talerkiewicz przestraszony tym widokiem, krzyczał jej do ucha bez pamięci:

—Pani baronowo!... mociumdziko!... dla Boga! co to asińdze?... umarła... czy tylko zemdląła? a

może umarła?... a mój weksel nie podpisany!... O ja nieszczęśliwy!... bez świadków... a moje pieniądze!... gwałtu! gwałtu! ratujcie! wody! octu! kto żyje!

I spostrzegłszy na kominku karafkę z orszadą, chciał ją wylać zemdlonej na głowę, gdy się zaczęli zbiegać domowi, i oswobodzili baronową od tej aspersioni.

Wpadł i szambelan do gabinetu, a podczas gdy Balbina trzeźwiła swoją panią, on badał Talerkiewicza o przyczynę tego nieszczęścia.

—Albo ja wiem? — odpowiedział zrozpaczony podczaszyc— oto wzięła moje pieniądze i asindzieja kartę, wekslu nie podpisała i umarła bodaj, a ja nieszczęśliwy stracę może 1000 czątych!

—Cóż to acan śmiesz gadać? — fuknął nań szambelan— pamiętaj mój panie o kim i do kogo mówisz.

—Oj, wiek będę pamiętał, zem dał pieniądze najnieostroźniej, bez świadków, przeciwko zwyczajowi memu.

—Czy nie zabił on jej czasem?— pisała pokojowa, trzeźwiąc zemdloną.

—John, miej oko na tego jegomości — rzekł Igrzycki do grooma wskazując na Talerkiewicza.

Nie wypuszczaj go ztąd. Panno Balbino, szukaj czy niema jakiego znaku gwałtownej śmierci.

Na te słowa zawrzała krew w podczaszycu, i bez ceremonji łajał już, wyrzekając, że nietylko zrabowano go, lecz jeszcze samego chciano zasekwestrować jak zbójcę.

Piekielny ten hałas więcej jak octy i spirytusy podziałał na wyrwanie baronowej ze mdłości. Gdy więc Balbina wykrzyknęła, że jej pani żyje, Talerkiewicz podskoczył z radości, a szambelan czułe frazesa deklamował u nóg słabiej.

Baronowa nie otwierając oczu, i jeszcze nieprzytomna wyrzekła przerywane te słowa: — „ach! on... mnie... zabił!”

Wnet więc cała gromada domowników krzyknęła chorem: — Ha! zbójca! morderca! a szambelan przyskakując do Talerkiewicza — Mości panie! słyszysz? Zadrżyj!

Na to przestraszony podczaszyc:

— Oszalała! jak mi Bóg miły, szalona! Jam ją zabił? Przysięgam zem jej palcem nie tknął. Ach, widzę że to ja zabity na majątku i na reputacyi! Wielka jest moc ducha złego w tej niewieście!

Tu baronowa znowu westchnęła, i jak wprzód nieprzytomna bełkotała:

— Gdzie on?... gdzie ten okrutnik?..

— Tu, tu on jest najdroższa pani! — wołał do niej Igrzycki — Nie ujdzie zasłużonej kary. Uspokój się, przychodź do siebie. Trzymamy tego łotra!

Poczem wysłał lokaja z rozkazem, aby wziawszy stajennego konia, pędził do miasta po urzędnika policyi. Napróżno podczaszyc reflektował go, że baronowa wyraźnie zwarjowała, szambelan mu na to odrzekł ze zgrozą.

— Widzę już teraz wyraźnie co tu zaszło. Nie dawszy jej pieniędzy, chciałeś nędzniku, zmusić ją do podpisania weksłu.

— Dałem pieniądze; przysięgam! — kłął się Talerkiewicz.

— Gdzież te pieniądze? — pytał go szambelan.

— Oto tam w szufladce... dowiodę... pozwól tylko! — krzyczał podczaszyc. Lecz szambelan nie dał mu przystąpić do bióra, mówiąc:

— Dowiedziesz, że u pani baronowej są pieniądze jej własne. Wiemy o tem bez acana.

Wtem baronowa otworzyła oczy, i na wpół ockniwna pytała co się z nią dzieje?

— Znaleźliśmy tu panią zemdloną — odpowiedziała pokojowa.

— Ach! coś sobie przypominam — rzecz jak obłąkana — gdzie to nieszczęsne pismo?

Uradowany podczaszyc wnet podsunął weksel, mówiąc:— Tu, tu mociumdziko, podpisz asindzka, podpisz!— Ale pan Igrzycki uchwycił go za ramię, zakazując zbliżenia się do swęj ofiary, i ukazał go baronowej z temi słowy:

— Najdroższa pani, oto twój morderca!

— Nie! jego tu niema — odpowiedziała wodząc wzrok obłąkany.

— Jako?— pytał szambelan — czy to nie ten Harpagon?

— Ten nic nie winien, dajcie mu pokój.

Talerkiewicz odetchnął, jakby mu brzemie spa-
dło z karku, i wznosząc ręce w niebo wykrzyknął:

— Święty Jacku! mój patronie! Dam na mszę
rubla... miedzią, za wybawienie niewinnęj męj du-
szy z tych piekielnych sideł.

— Ale jak to być może! wszystkie okoliczności
są przeciw niemu — twierdził szambelan.

Lecz baronowa, odzyskując zupełną przytomność,
powiedziała, że Talerkiewicz nic jej nie zrobił złe-
go, że nikt temu nie winien, że krew jej ude-
rzyła do głowy.

— No, kiedy tak, to ruszaj acan sobie z Bogiem—
rzekł do podczaszycy Igrzycki.

— Nie ruszę się— odrzekł— aż będę miał weksel lub pieniądze.

— Nie czas teraz do tych nędznych porachunków. Widzisz jej stan... ją teraz trzeba położyć do łóżka. Żegnam, wychodź pan!

— Nie pójdę! protestuję! będę gwałtu wołał!

Baronowej znowu się zrobiło mgło, a panna Balbina prosiła szambelana, żeby kazał co prędzej wyprowadzić brutala.

Wtedy Igrzycki skinął na służących, rozkazując aby pana Talerkiewicza wzięli grzecznie pod pachy, i wyprowadziwszy wsadzili do powozu. Rozjuszony podczaszyc opierał się, krzyczał, groził im sądem kryminalnym, Sybirem, nic to wszystko jednak nie pomogło, musiał uleść sile i odjechać bez pieniędzy i bez weksłu. Szambelan tymczasem mówił sobie w duchu: — Jest tu jakieś misterium, zgłębię je później, a tymczasem dobrze że moja karta wyzwolona z rąk lichwiarza. Trzeba teraz *kontrmandować* urzędnika policyi.

Baronowa uczuła się cokolwiek lepiej i odprawwszy wszystkich została sama.

W ściśnionej konwulsyjnie dłoni ukrył się bilecik Lucyana przed okiem Balbiny i szambelana. Rozwinęła go teraz i odczytała raz jeszcze z niewypowiedzianą boleścią, ale z większą już mocą ducha. Zraniona najokrutniej jej pycha, natchnęła ją żądzą zemsty. Młodzik śmiał ją upominać do poprawy życia, zdeptał ją w prochu, i obarczył nadto wspaniałością, z jaką przyrzekał nie wyjawiać fatalnej tajemnicy której się stał panem! Zmuszał ją do uczczenia postępuku którym ją znieważał, zrywając wszelkie stosunki jako z niegodną przebaczenia!— Okropną czuła w duszy swojej mękę, wszystkie namiętności natężyły się i rozpięrały jej serce, iż się ledwie nie rozpekło. Występna miłość ukazała swą szkaradną stronę: podobna już do jędzy piekielnej szarpała jej łono i silniejszym jeszcze dręczyła pociąganiem ku straconemu przedmiotowi swęj żądzdy. Odzyskać go, lub zniszczyć siebie z nim razem, oto czego pragnęła w pierwszym zapale, lecz ta żądza trwać nie mogła długo; obrażona duma domagała się zemsty, miłość więc zamieniła się w nienawiść, i marzyła już tylko o zemście w jakikolwiekby się sposób dała wykonać. Zostawmy ją w tym odmęcie wzburzonych

złych namiętności, aby zobaczyć co się dzieje
w Julinie. (*)

(*) Jeżeliby kto uważał za rzecz niepodobną, że osoba tak
ostrożna jak baronowa, mogła ów ją kompromitujący
rękopis zostawić na stole, musimy go uprzedzić, że się
jój pierwszy raz w życiu podobne zdarzyło roztargnie-
nie, którego sobie później nie mogła wytłumaczyć. A
jeżeliby i ta racya nie była przyjęta, nie wszyscy za-
pewne zaprzeczają powszechnemu wierzeniu ludów, iż gdy
Bóg chce kogo ukarać, odbiera mu naprzód rozum.



10.

Opuściwszy Althof, pędził Lucyan do domu jakby go kto gonił. Czuł, że tem tylko nagłym i niepowrotnym zerwaniem z baronową, mógł między nią i sobą wieczny położyć przedział. Czuł w swém sercu ranę tém boleśniejszą, że ją z własnej ponosił winy. Azaliż nie miłość własna zrobiła go hołdownikiem tej kobiety? Jakimże głównie fortelem przyciągnęła go ku sobie? Zręczną pochwałą, obłudnym poddaniem się jego nihy wyższości, jego nauce i światłu. Marząc o panowaniu, nie postrzegając iż wdziewał na siebie pęta, które zrazu lekkie, słodkie, bo pięknymi zarzucone rączkami, przeistoczyłyby się później w niewolnicze okowy.

Czuł teraz jak było już do tego blisko, i że jedynie cudem Opatrzności uratowany został z tak wielkiego niebezpieczeństwa. A czyjeż to modły cud ten sprowadziły? Dwóch cnotliwych, kochających go istot, którym sprawił największe cierpienie. Obie miały prawo domagać się odeń wynagrodzenia, i obie, jak to już widział, pragnęły jednej rzeczy,— pragnęły jego serca. Zaspokoić w tym względzie obie, było niepodobieństwem. Oddać swe serce jednej, to jest Tekli, nie zdawało mu się rzeczą trudną, lecz co powiedzą na to ciotka i ojciec? Jaki wreszcie sposób utrzymać się z żoną, gdyby z pracy tylko rąk własnych ją i siebie wyżywić mu przyszło?

Pogrążony w tych myślach, układając i rzucając rozmaite plany, przybył do Julina. Już tam było po obiedzie; Julji, ani rotmistrza nie zastał; wyjechali na kilka godzin do folwarku. Lucyan nie czując w sobie chęci do jedzenia, powiedział domowym że już po śniadaniu i poszedł do swego pokoju. Świeża wiązanka wonnych jesiennych kwiatów, w kryształowym dzbanuszkę stojąca na stole, dała mu się domyślić, czyja ręka dziś je dla niego zrywała. Kwiaty przewiązane były po nad dzbankiem czarną aksamitką, aby się lepiej trzymały

w kupie, a tę wstążeczkę widywał on często na białej szyi Teklusi. Miałaby ona być tu symbolem jej smutku; a związane nią kwiaty tłomaczami jej miłości? Lucyan nie byłby mężczyzną, gdyby na to pytanie nie odpowiedział sobie w sposób twierdzący. Dusza jego w tej chwili pragnęła współczucia, szukała przedmiotu dla zapełnienia bolesnej próżni w sercu, potrzebowała czegoś niewinnego, czystego, co by ją poświęciło, i jakby odrodziło po tej profanacyi, jaka się jej stała przez sympatyzowanie z duszą występłą. Młodzieniec z nieznaną mu jakąś lubością cisnął twarz do buketu, napawał się jego wonią i uchwycił ustami zawieszoną na jednym z białych *ptomyków* (*phlox suaveolens*) przezroczystą kroplę, która mogła być łzą biednej dziewczyny. Ta myśl zwilżyła jego oczy, i dwie nowe krople zawisły na tejże kiści wonnego kwiatu. Odwiązał potem aksamitkę i obwinął nią sobie szyję pod halstuchem. Miałaby na tem zaprzestać? Mógłaby opuścić tak pomyslną porę widzenia Tekli, mówienia z nią bez świadków? Nie zwlekał też najmniej, i ciągniony nieprzepartą siłą, poszedł jej szukać.

Tekla zostawszy sama, nie oczekiwała tak rychłego powrotu Lucyana z Althofa; nie wiem jednak

dla czego wyrzekła się zwyczajnej przechadzki, i wnet po wyjeździe ciotki usiadłszy z robotą przy oknie, często spoglądała w stronę, w którą on pojechał. Jakież było wzruszenie jej serca, gdy usłyszała galop konia i ujrzała Lucyana wjeżdżającego w bramę. Większą niż kiedykolwiek uczuła w sobie radość, głos jakiś wewnętrzny zdawał się jej mówić, że w tym niespodzianym powrocie było coś dla niej szczęśliwego, że ta baronowa, której nie cierpiała, przestała być celem jego uwielbienia, że coś między niemi zaszło niezwykłego. Ach, bo serce kochającej kobiety dziwne miewa przeczucia, jakby moc jakaś wyższa objawiała jej gotujące się dla niej złe lub dobre losu przemiany. Odurzona i wahająca się między radością i trwogą, Tekla została nieruchoma i jakby przykuta do swojego stołka: ze zwieszanej lewej ręki upadła robotka, a prawa leżała na bijącym gwałtownie sercu. W tém położeniu zastał ją Lucyan gdy wszedł do salonu. Ledwie nań spojrzała, wpadła jej w oko aksamitka, źle pod krawatką ukryta. Splonęła wstydem, serce skakało od radości; zmieszana więc zapytała drżącym głosem — Także prędko wrócił?

— I bardzo szczęśliwie, ponieważ zastałem cię

tu samę. W tém zdarzeniu widzę zrządzenie Opatrzności. Ojciec i ciotka mogą wrócić za chwilę; muszę z tobą mówić.

Tekla blada i drżąca zdawała się czekać wyroku śmierci lub życia.

— Ty mnie kochasz, luba?— pytał głosem tklwym, biorąc jej rękę.

Strumień łez puścił się z oczu dziewczicy, chciała cofnąć ujętą rękę, lecz młodzian trzymał ją silnie. Podniosła potem oczy i wymownym wzrokiem zdawała się mówić.

— I ty mnie o to pytasz?

Wtedy Lucyan: — Czytam w twym wzroku to co ci wstyd luby wyrzec nie dozwala, a co mnie czyni szczęśliwym. Ja ciebie Kocham nad me życie!

Biedna dziewczyna patrzyła nań w niemém zachwyceniu, nie mogąc jeszcze wyrzec słowa.

— Nie możesz tego pojąć, najmilsza, i temu się nie dziwię, Postępowanie moje było, musiało być dla ciebie zagadką. Wierzaj tylko, że nie od dzisiaj zajmujesz w mém sercu to miejsce, które od tąd żadna inna nie zajmie; lecz dziś już mogę ci to powiedzieć z całą pewnością, bom siebie wypróbował, bo sam Bóg wreszcie w pewny sposób objawił mi w tém swą świętą wolę.

— Lucyanie! — zawołała dopiero Tekla — drogi Lucyanie! o jakżeś mię zrobił szczęśliwą i nieszczęśliwą zarazem!

— Nie rozumiem cię mój aniele!

— Alboż nie wiesz że ciotka kocha ciebie takż? mówiło dziewczę ze drżeniem.

— Marzy ci się. Ona mię kocha, ale inną wcale miłością — odpowiedział z małym niepokojem.

— Nic mi się nie marzy. Pewnam że cię kocha, jak—jak ty siebie kochać każesz — kończyła spłoniona zakrywając chustką oczy.

— A gdyby i tak było — odrzekł Lucyan — nadto ma rozumu, ażeby się nie zreflektowała, nie spostrzegła że jej wiek nie odpowiada mojemu, że przeto byłoby szaleństwem oddać się namiętności gotującej same tylko na obie strony cierpienia.

— Ach, bo ona sobie nie wystawia że już jest bardzo niemłoda. Każdy jej owszem wmawia, że jeszcze nie stara, że może i powinna wziąć męża. I w samej rzeczy, można ją nazwać jeszcze piękną, a jak przytem jest słodka, dobra, nieoszacowana, sam mi to nieraz mówiłeś, i któż wie czybyś ją nie pokochał gdyby...

— Kocham ją zaiste, ale jak matkę; nigdybym zaś nie kochał jak żonę.

— Więc zrobisz ją nieszczęśliwą: a w takim razie moje szczęście byłoby zatrute.

Nie mało trudności miał Lucyan w pokonaniu skrupułów szlachetnego serca swjej kochanki. Lecz jeśli cnotliwa dziewczyna nie mogła się oprzeć potędze miłości, daleką była od naruszenia świętości swych obowiązków względem swjej drugiej matki. Przyrzekła więc Lucyanowi, że nikomu innemu nie odda swjej ręki, że kochać go będzie do końca życia, lecz że co do reszty, nic przeciwko woli ciotki nie uczyni. Poczem prosiła żeby odszedł i zostawił jej czasu do uspokojenia wzruszeń serca, ażeby śladu ich na jej twarzy nie znalazła ciotka za powrotem.

Julja wróciła wieczorem, i niczego się nie domyśliła. Na ładnej twarzyczce Tekli śladu łez nie było, ani też wyrazu radości. Cóż poważnego, uroczystego jaśniało na jej gładkiem czole i w granatowym oku; zauważała to ciotka, bo głaszcząc ją po jagodach rzekła: — Tyś się musiała modlić, moje dziecię, bo taką masz twarz jakbyś wychodziła z kościoła.

— Modliłam się droga ciociu — za ciebie.

— Za mnie jedną tylko?

— I za tych którzy ci są drogiemi.

— Tak też myślałam, a dziękuję ci żeś o mnie pamiętała.

I pocałowawszy ją w czoło odeszła do swego pokoju, a Tekla zeszła z balkonu dla obejrzenia kwiatów.

Julja zadzwoniła na swoją pokojówkę Kasię, dla poprawienia czegoś w swym ubiorze, i pytała ją jak dawno wrócił P. Lucyan z Althofa?

— A już dawno — w kwadrans po wyjeździe pani.

— A znalazłże co do zjedzenia?

— Nie chciał jeść, po śniadaniu z panią baronową.

— Baronowa śniada między pierwszą a wtórą, a ty mówisz że wrócił przed wtórą.

— Właśnie w salonie biło trzy kwadranse na drugą, kiedy zsiadał z konia. Zapytał o panią, i poszedł do siebie. A nie długo potem widziałam go wchodzącego do salonu, gdzie zabawiwszy z godzinę, ruszył swoim zwyczajem do gaju, i pono jeszcze spaceruje.

— O to wszystko ciebie nie pytałam; chciałam tylko wiedzieć, czy miał co do jedzenia, jeżeli wrócił głodny. Teklunia musiała spacerować po obiedzie?

— Tegom nie widziała, proszę pani. Zdaje mi

się że ją P. Lucyan spotkał w salonie: zagadali się i spacer wyleciał z pamięci. A potem już panienska siedziała u siebie, a gdym po coś do niej weszła, znalazłam ją modlącą się.

— Dość, dość moja Kasiu. Nie mogę cię odzwyczaić od długich opowiadań. Czasami wierzaj, boję się zapytać ciebie o coś, żebyś mię długą nie poczęstowała legendą.

— Wola pani, ja gadam jak umiem, albożem temu winna, że mię nie nauczono mówić krótko.

Tak odpowiedziała, niby urażona faworytka, w stałym postanowieniu nie zmieniania swojej metody; bo trudno jest ukryć wszystkie swe słabości przed służącymi: *et, s'il n'y a point de héros pour son valet de chambre, il n'y a pas plus d'héroïne pour sa soubrette*. Julja nie cierpiała plotek, lecz żeby miała być wolną od wszelkiej ciekawości, tego my, jej biograf, sumiennie powiedzieć nie możemy. A dopióroż gdy nieszczęśliwém losu zrządzeniem kochała z nadzieją tak słabą, że nie wiedziała czego się trzymać: bo gdy z jednej strony rotmistrz dawał jej wyraźnie do poznania, że Lucyan będzie to uważał dla siebie za prawdziwe szczęście, z drugiej chwiejące się postępowanie młodzieńca, kazało się jej obawiać czegoś przeciwnego.

Otoż właśnie w takim zawieszeniu między bojaźnią i nadzieją, miłość zwykła się wzmacniać, i zajmując obok serca głowę, pobudzać imaginacją do czynnego w jej sprawie udziału. Biedna Julja, lubo brzydząca się szpiegowstwem, mimowolnie atoli śledziła bacznie Lucjana kroki, podejrzywała baronowę i z oka nie spuszczała Tekli. Nagły powrót młodzieńca z Althofa, jego widzenie się sam na sam z Teklą, modlitwa dziewicy po całogodzinnej rozmowie, czyniły ją niespokojną, głos jakiś wewnętrzny zdawał się mówić „Oni się kochają.” Zważmy teraz czy szczerze zbureczała Kasię za jej gadatliwość.

Czasu wieczery, Julja opowiadała Lucyanowi i Tekli, że w swęj dzisiejszej przejażdżce z rotmistrzem zjechali się trafem z Talerkiewiczem wracającym z Althofa.

— Nie potrafiłabym — mówiła — opisać wam postaci szanownego podczaszyca, taki był cały wykrzywiony, zaperzony, w takich kontorsjach, z taką siłą twarzą i krwią zaszłemi oczyma, żem się bała czy nie paraliżem ruszony. Bełkotał nam coś niezrozumiałego, o pieniądzech, o baronowej, o rabunku, jaki go tam spotkał, i kłął się że w kryminalnym sądzie poszukiwać będzie swęj krzywdy.

— Rzecz niezawodna — rzekł rotmistrz — że się tam stać musiało coś nadzwyczajnego, ale biedny podczaszyc, zwykle w tłumaczeniu się zawiły, tą razą gadał istnie jak Piekarski na mękach, tak iż ja go nawet, lubo nawykły do jego stylu, należycie nie mogłem zrozumieć.

— Czybyś nam tego nie mógł wytłómaczyć? — pytała Lucyana Julja.

— Wracając z Althofa, spotkałem Talerkiewicza, który do mnie słów kilka przemówił, lecz zdawał mi się wesół, z czegom się domyślił że wiezie pieniądze dla baronowej i porządny dla siebie z tego zysk oblicza.

— Krótkoś tą razą bawił w Althofie.

— Bardzo krótko. Baronowa była zaprzątwniona, piesek zachorował, stangret złamał nogę.

— O, kiedy piesek był w niebezpieczeństwie życia — wykrzyknął rotmistrz, — to pojmuję że interes Talerkiewicza zły musiał wziąć obrót. A najpewniej, że szambelan skrzył mu swój dłużek.

Na tem się skończyła rozmowa o tej przygodzie, a Julja przez delikatność nie pytała więcej Lucyana o baronowej, zauważała tylko że on o tej damie mówił bardzo chłodno, inaczej całkiem niż dotąd.

Nazajutrz odebrała Julja list od pani Althof, i czytała w nim co następuje :

„Chciej wierzyć szanowna przyjaciółko, że z prawdziwą boleścią przychodzi mi zadać jej cierpienie, lecz zażyłość i przyjaźń w jakiej od lat tylu z sobą zostajemy, wkłada na mnie obowiązek wczesnym, poufnym ostrzeżeniem oszczędzić jej większego może smutku w następności. Wiedzioną dobroczynnością, przytuliłaś do łona dwoje ubogich sierot, obsypałaś ich dobrodziejstwami, i miałaś prawo oczekiwać od nich wdzięczności. Niestety! -takie jest ludzkiej natury zepsucie, taka wzrastająca z wiekami potęga egoizmu w sercach, że w istotach wychodzących zaledwie z dzieciństwa, już się tej brzydkiej wady rozwijają zarody. Zdumiewasz się, nie chcesz wierzyć aby przybrane twe dzieci, mogły ci być niewdzięczne, mogły cię zdradzać? Pojmuję to, i pomimo większej znajomości świata, sama nie chciałabym temu wierzyć, gdybym się nie musiała poddać oczywistości.

„Lucyan i Tekla kochają się wzajem. Rzecz sama z siebie nie nadzwyczajna, i mogłaby nawet być nienaganną, gdyby jej nie towarzyszyła obłuda i zdrada. Oboje oni udają ku tobie przywiązanie, nie mając uczucia tego w sercu; nienawidzą cię owszem

od czasu jak się im zamarzyło posądzać ciebie o miłośny zapał dla Lucyana. Ona cię nienawidzi jak swoją rywalkę, on jak przeszkodę w doprowadzeniu do końca swojego romansu. Układają tedy plany jakby cię podejść, oszukać kłamanem przywiązaniem, by nie utracić daru, jakiego od ciebie się spodziewają, a zniweczyć twój im nienawistny zamysł, i prędzej lub później połączyć się z sobą jakimkolwiek bądź sposobem.

„W tym najpodobniej celu Lucyana zmyśla słabość zdrowia, abyś mu dozwoliła wyjechać za granicę, i hojnie na tę podróż opatrzyła pieniędzmi. Daleko on nie pojedzie, mniemam: ale mu trzeba oddalić się, aby go ojciec nie namawiał do tego czem się on brzydzi, abyś straciwszy go z oczu spokojniejszym umysłem mogła się zreflektować i poznać że nie dla ciebie szczęście zostać małżonką takiego człowieka, jakim on w swjej zarozumiałości wyobraża siebie. Ja, moja droga przyjaciółko, najpewniejsza jestem że oni cię krzywdzą najfałszywszem posądzeniem: że twój gruntowny rozum, i twe prawe, cnotliwe serce, nie dozwoliłyby ci przejąć się ku temu młodzikowi inną miłością, prócz tej, którą jak dobra matka obdarzasz przybranego syna: ale zli ludzie inaczej sobie święty ten afekt tłóma-

czą. I tak, Lucyan i Tekla zrobili dla siebie ze swęj dobrodziejki przedmiot nienawiści i razem narzędzie szyderstwa: naśmiewają się z twojej mniemanej miłości, a sami oddają się tajemnym pieścizotom, urągając twęj władzy, i cheiwęm okiem patrząc na twęj majątek. Wszystkie ich chęci dążą do tego żebyś umarła panną; największa ich bojaźń w tem, żeby ci się który ze starających się o twą rękę nie podobał; cała zaś nadzieja na tem, że zakochana w Lucyanie, nie pójdiesz za innego, a w końcu nie zdoławszy pociągnąć go ku sobie, zgodzisz się przez dobroć ustąpić miejsca twojęj siostrzenicy.

„Zapytasz, jakem się o tem dowiedziała? Tyle na to, z całą pewnością o prawdzie mogę opowiedzieć, że pewna osoba poważna i wiarogodna, znalazła się przypadkiem w pobliżu kochanków, i nie widziana od nich słyszała rozmowę, w której oni znać miłośną mając z sobą schadzkę (w gaju podobno) zwierzali sobie wzajem wszystkie swe tajemnice.

„Wierz lub nie wierz temu, lecz w każdym razie bądź przynajmniej ostrożna; w tym też to jedynie celu zmuszona bylam zasmucić cię mojem ostrzeżeniem. Sądzę więc, że w tym kroku nie ze-

chcesz nie innego widzieć, jedno, tylko dowód prawdziwej przyjaźni z jaką ku tobie, szanowna Juljo, nazawsze pozostanę.

M. A.

„P. S. Muszę dodać, że z tego Lucyana taki jest chytry układny świętoszek, że ja sama aż do tego czasu, miałam go za wzór młodzieży. A przecie dość długo żyłam na wielkim świecie, aby się poznać do razu na farbowanych lisach. Czego mu najbardziej darować nie mogę, to że mi o tobie mówił w taki sposób, jakby cię uważał już starą panną w całej rozciągłości tego wyrazu, zdatną tylko do różańca, haftowania kościelnych ornatów i pieczenia pierników dla ks. Rajmunda spowiednika twojego.”

Szkaradny ten list, z wielorakich powodów sprawił na sercu i umyśle Julji boleśne do nieopisania wrażenie. Wiemy, iż baronowa ze właściwą sobie zręcznością umiała podejść jej dobre, łatwo ufające serce, i kłamaną przyjaźnią nabyć prawa do szczerzej jej przychylności. Panna Bogacka przebaczała pani Althof pewne małe narowy, zwyczajne damom wielkiego świata: nie podzielała w wielu rzeczach jej zdań, nie naśladowała jej sposobu życia, lecz daleką była od posądzania ją o te brzydkie wady,

które chytra intrygantka starannie w sobie ukrywała. Ile więc razy rotmistrz, skory do upatrywania w ludziach złej ich strony, wygadywał na baronowę, Julja gniewała się i strofowała go o zły język. Nie słuchała nawet własnego instynktu, co ją niekiedy zdawał się ostrzegać żeby z tą kobietą miała się ostrożnie. Obrażała ją natrętność z jaką baronowa swatała jej nieznośnego szambelana, a pomimo tego upierała się widzieć w niej szczerą swoją przyjaciółkę. Otoż gdy z przerażeniem czytała i odczytywała owe oskarżenia, serce się jej pękało, a rozum się męszał, już to chyląc się ku posądzeniu baronowej o kłamstwo, o złośliwą plotkę, już dopuszczając iż w tém co jej donosiła mogło się znajdować coś prawdziwego. Czowała się ugodzoną w najczulsze miejsce swojego serca; widziała się otoczoną chytrnością, zdradą, jeżeli nie z jednej to z drugiej koniecznej strony. Lucyan i Tekla, tak dotąd w jej oczach poczciwi, miałizby nagle zmienić się w potwory egoizmu i niewdzięczności? Pani Althof miałizby, bez żadnego ważnego powodu, zmienić swój tryb postępowania, z dyskretnej, słodkiej, umiarkowanej, stać się razem świegotliwą, niedelikatną, nielitościwą w pewnym względzie? Na nieszczęście, oskarżenie opierało się na pewnych

prawdopodobieństwach, bo jakże temu zaprzeczyć że Lucyan posiadał serce Julji, i że zarazem kochała się w nim Tekla? Jak nie pomyśleć że mając obie do wyboru, młody człowiek przeniesie młodą nad starą? Kiedy więc bardzo być mogło iż się oni kochali i sobie już to powiedzieli, łatwo było przypuścić że w Julji widzieli przeszkodę, a ztąd nie tem już okiem zaczęli na nią spoglądać; że jeśli nie czuli do niej nienawiści i nie knuli zdrady, kochać ją przynajmniej przestali, i radziby się z pod władzy jej wyzwolić. Kilka okoliczności, drobnych wprawdzie ale posługujących zaszczepionej już raz w sercu nieufności, przyłożyło się do utwierdzenia Julji w tej myśli, że w liście baronowej, przypuszczając nawet egzageracyę, była jednak prawda.

Nigdy jeszcze w swém życiu, poczciwa panna Bogacka nie była wystawioną na tak ciężką bolesną próbę. Raz pierwszy dusza jej drgała zakrwawiona zazdrości kolcami i żądłem szyderstwa. Fatalny list podarła w drobne szmatki, lecz w pamięci swjej wyrazów jego zatrzeć nie potrafiła. Czarny smutek okrył pogodne jej dotąd czoło, sen umknął z powiek, modlitwa nawet przerywała się gorzkimi skargi, lub melancholicznem dumaniem; taka zaś w jej twarzy zaszła zmiana, że się wszyscy domo-

wi przestraszyli, i sama się przełękała ujrawszy siebie we zwierciadle.

Nie miała teraz nic spiesniejszego jak wyprawienie Lucyana za granicę. Tam już chciała mu listem wyrzucić na oczy jego wykroczenie, i zostawić go zgryzotom jego sumienia. Względem Tekli nie stanowczo przedsięwziąć nie mogła, nie mając jeszcze dowodu o stopniu jej przewinienia. Dla rotmistrza, którego wierność i przywiązanie było jej znajome, miało to wszystko zostać tajemnicą. Im silniejszą była boleść własnego jej serca, tem większą widziała potrzebę nie wystawiać przyjaciela na podobną mękę.

Gdy Julja nie wychodziła już prawie ze swego pokoju pograżając się coraz głębiej w najsmutniejszych domysłach, faworytka jej Kasia wbiegła z doniesieniem, że oczekiwany kupiec przyjechał z prześlicznemi towarami, i że je rozpakował.

— Niechże się znowu pakuje, bo ja nic nie kupię — odpowiedziała.

— Co to pani mówi? — krzyknęła Kasia.

— Mówię że nic nie kupię.

— Ale niech pani przynajmniej zobaczy.

— Nie chcę. Idź sobie — albo dobrze, weź czarnej materji na suknię dla mnie.

— Czarnej!

— Tak czarnej, i parę czarnych chusteczek jeżeli są w dobrym gatunku.

— Ach, mój Jezu! żałoba, czy co?

— Proszę cię moja Kasiu, nie nudź mię swojemi pytaniami. Idź i zrób com rozkazała.

Służąca odeszła kiwając głową, a Julja rzekła do siebie — „W czas trafiło ostrzeżenie: byłabym nakupowała strojów dziś mi już niepotrzebnych. Ubiór mój będzie odtąd czarny, jak barwa mojego serca, moich myśli. Świat staje mi się obmierzłym. Nic mię doń nie przywiązuje. Ostatnia nadzieja znikła z ostatnią ułudą.

Wtém wszedł Grzesio mówiąc:

— Pan architekt oczekuje pani. Mularze zaczęli już robotę około nowego skrzydła pałacu. Pan architekt ma coś tam do ukazania pani.

— Niech porzucą robotę. Powiedz architektowi, że zmieniłam projekt — lecz że on i rzemieślnicy będą zapłaćeni.

Grzesio widocznie zdziwiony odszedł, a Julja znowu się zatopiła w dumaniu — „Budowa szczęścia mojego runęła — mówiła do siebie — na cóż mi teraz obszerne mieszkanie. Wzdycham do samotności, i to miejsce dotąd mi tak lubę, czuję że się

stanie coraz nieznośniejszym. Niewdzięczność Lucjana zadała mi cios śmiertelny! Kochać bez wzajemności wielką jest męczarnią, ale widzieć się pogardzoną, wyszydzoną od osoby ukochanej, to przechodzi już wszystko co kobietę spotkać może nieszczęśliwego. Pojąć trudno jak ten młodzian, w tak prędkim czasie mógł się przetrworzyć w hipokrytę? on co dawniej zdawał się mieć serce na ustach, w którego oku dziś jeszcze przysiędźby można, ma-luje się szczerłość i szlachetność? A ludzie mówią przecie, że oczy są zwierciadłem duszy! Ach, widzę że powietrze wielkiego świata zaraża i psuje najlepsze z natury serca. Miasto zepsuło Lucjana, natchnęło go samolubstwem, nauczyło sztuki udawania i zdrady. Któż wie co go do Tekli przyciąga? Przemijające upodobanie, świeżość i uroda dziewczęcia... Zamyśla może uwieźć ją w cudze kraje, by później rzucić nieszczęśliwą gdy mu się inna więcej podoba... Po tak niewdzięcznym, fałszywym człowieku najgorszych rzeczy oczekiwać można.— O Boże, zapędzam się w mym żalu! posądzam go o zbrodnie, sięgam w przyszłość — a to się nie godzi! — sama nawet mogłam niebaczenie dać mu powód do tej jego niewdzięczności! — poco mi było tyle dlań okazywać czułości, po co wy-

dawać przed nim mą słabość? — I rotmistrz nie bez winy; nie należało jemu wprowadzać mię w błąd najnieszcześniejszy, powinien był owszem dać mi poznać że mię Lucyan nie kocha. On takż wie-
dzieć coś musiał o miłostkach dwójga tych dzieci, a słowa nie pisał, i gdyby nie baronowa, spała-
bym spokojnie, otoczona niewdzięcznością i zdra-
dą! Komużbym teraz wierzyła na świecie? Wy-
niosę się ztąd, osiędę gdzie w klasztorze, i resztę
dni moich w nieutulonym smutku i żalu dokonam!”

Temi i podobnemi myślami dręczyła siebie bie-
dna Julja, walcząc nieustannie z sobą, przechodząc
z oburzenia do łagodniejszych uczuć a z tych zno-
wu do drażliwych. Był to stan duszy tak dalece
przypadkowy, tak anormalny, że w nim sama sie-
bie nie poznawała, że już się sama sobą zaczynała
brzydzić. Ze wszystkich mąk ta jej była najbole-
śniejszą, że Lucyana, pomimo jego przestępstw, nie
mogła wyrugować ze swojego serca, że im więcej
się na niego gniewała, tem silniejsze czuła jego
nad sobą panowanie.

Kiedy tak okrutny w jej duszy panował niepo-
kój, również i z całego domostwa ustąpiła spokoj-
ność. Rodzina i słudzy trapili się zagadkowym dla

nich cierpieniem tej która była im wszystkim tak drogą.

Rotmistrz gubił się w odgadywaniu przyczyny tej zmiany, nakoniec upatrzywszy chwilę, wszedł mimo zakazu do jej pokoju, i wręcz ją zaklinał aby się mu zwierzyła swęj tajemnej troski. Dobre serce Julji nie mogło się długo gniewać na starego przyjaciela za jego natrętność, powiedziała mu tedy łagodniej:

— Trapi mię to że was muszę opuścić, i na długo może.

— Co? co? — wykrzyknął — nas opuścić? truchleję cały.

— Zdrowie moje tego wymaga.

— Otoż masz! domyślam się, domyślam.

— Jak to? jakizby to domysł? — pytała niespokojna.

— Założyłbym się o sygnet herbowny, co mi dał w upominku nieboszyk mój ojciec, że wiem czyja to robota. Tak, tak wiem już, wiem, i wytrę mu kapitułę.

— Co? Komu? — wołała Julja w największej trwodze.

— Powiatowemu naszemu doktorowi, za prze-mądrą radę,

Odetchnęła Julja, i rada z omyłki rotmistrza, rzekła z małym uśmiechem:

—Może i zgadłes.

—O, byłem tego najpewniejszy. Wysyła panią do wód. Gdybyż to jeszcze do Buska albo do Dru-skiennik, ale to za granicę, do jakichś tam Spru-dłów, Strudłów; tpfu! bodajby ich piorun spalił! Kuzynka wyglądasz jak róża, bez pochlebstwa, na kaduka; za pozwoleniem te wody?

—Powierzchownie mogę wyglądać zdrową, ale wewnątrz czuję ból okrutny.

—Minie to, minie. Kilka kropel mojej essencyi długiego życia.

—Nie, mój rotmistrzu, ja potrzebuję zmiany...

—Stanu?— przerwał rotmistrz i dodał z miną tajemniczą — znajdziemy i na to radę.

—Nie rozumiesz mnie — odrzekła z boleścią — zmiany miejsca mi trzeba.

—Najmilsza pani, nie słuchaj, zaklinam cię, do-ktorów. Oniby nasz kraj wyludnili, gdyby każdy jechał za granicę, któremu to radzą. Na szczęście nie wszyscy mogą, bo to kaducznie kosztuje. Oto słysząc że baronowa rusza w świat szeroki, a zdro-wiutka jak ryba.

— Baronowa wyjeżdża za granicę? — zapytała Julja zdziwiona trochę.

— Tak przynajmniej wnioskuje Talerkiewicz u którego pożyczyła pieniądze. Coś tam między niemi zaszło brzydkiego; ale mniejsza o to. Baronowa dama modnego tonu, zatęm spazmodyczka, ale kuzynka dobrodzika, nie ulegasz z łaski Boga tym słabościom. Więc nie pojedziesz, nieprawdaż?... a i Lucyanowi jechać nie pozwolę: on mi musi wyzdrowieć w domu.

— Nie, nie, mój kuzynie, Lucyan pojedzie, musi jechać co najprędzej; ja tego chcę i o to najmocniej cię proszę. Co do mojego zamiaru nie rozgłaszaj go jeszcze, a teraz mię zostaw na chwilę; mam wiele do myślenia.

P. Jakób wrócił do swojej stancyjki, i uderzywszy się po czole, jakby mu się raptem rozświeciło w głowie, zawołał: — „Tandem, rozgryzłem orzech, widzę już co jest pod łupiną! Mój przemądry synal uparł się wojażować, ona, co go kocha widać szalenie, straciła głowę i chce się puścić za nim w kraj świata. Ależ co na to powiedzą ludzie? warjacya! Bogu wiedzieć co się biedaczce roi w gorączkowym tym szale. Wstydzi się może tu we własnym kraju wziąć za męża chłopca którego mo-

głaby być matką. Tam zaś za górami, za morzem, nikomu nieznajoma, gdyby go zaślubiwszy osiadła na mieszkanie, niktby się u nas o tem nie dowiedział, a przynajmniej nie zajrzał jej w oczy. Bo, na cóż się kobieta, a dopieroż stara panna, nie odważy, kiedy się rozkocha na dobre. Lecz taki obrót rzeczy nie jest mi po sercu. Jam chciał ich połączyć rozumnie, przyzwolicie, a oni się tam pobiorą diabli wiedzą po jakiemu; chciałem widzieć ją szczęśliwą, Lucyana wziętym, poważanym w obywatelstwie, sędzią, potem prezesem, czy marszałkiem, a on tam w obczyźnie czegoż się dochrapie? Chybaby zmienił narodowość, przedzierzgnął w niemca, holendra, szweda; ho, przekląłbym go na wieki za taką apostazją! Więc plan mojej panny, i w teoryi i w praktyce nic do rzeczy. Trzeba wszelkiemi sposobami starać się go zniweczyć.”

Zamyślił się tedy i brał rozum na tortury szukając środka, którymby godząc sprzeczności, odwrócił Julję od podróży, a syna swego skłonił do oświadczenia się jej tu na miejscu: poczem łatwo by już było wybić jej z głowy jakiś wstyd fałszywy i przekonać, że bardzo pięknie stanąć może obok Lucyana na ślubnym kobiercu. Ale rotmistrz, nieodrodny syn przodków, miał ten w sobie nie-

dostatek, że mu dobre myśli rzadko przychodziły w porę, że najczęściej bywał mądrym po szkodzie, po wypadku spostrzegat, jak i czem można było złemu zapobiedz, lub dobre otrzymać. Znał to do siebie i ze złością powtarzał w tym razie: — „Tak, do kroćset drabów, trafię na sposób, ale gdy już będzie po czasie, gdy już oboje będą het za górami. Łapajże ich wtedy! a ja tu zostanę *solus et unicus*, wystawiony na pociski ciekawości sąsiadów; na słuchanie i zbijanie głupich domysłów i plotek, słowem na piekielne męki!”

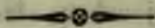
Po kilku dniach Julja, zawsze cierpiąca i upadła na duchu, pozbyła się atoli gwałtownych wybuchów dręczącego ją żalu. Była już w stanie rozmyślać, rozważać i kombinować rzeczy; ujrzała potrzebę przekonania się, za pomocą pilnej obserwacyi, o ile doniesienia baronowej zgadzały się z prawdą, a w czem się od niej oddalały. Prawość własnego serca doradzała jej ostrożność w sądzeniu innych, przy największych nawet przeciwko nim pozorach. Na Teklę więc szczególnie zwróciła oko, i aby snadniej otrzymać skutek swych sledzeń, wzięła sobie w pomoc powiernicę swoją Kasię. Nie odkrywając przed nią całej rzeczy, zleciła jej tylko postrzegać bacznie wszystkie

kroki Tekli, w obawie, jak mówiła, ażeby młode dziewczę nie wplątało się nierostropnie w romans z Lucyanem, niemogący przynieść dla biedaczki nic innego prócz marnych cierpień i żalu po czasie. Pokojówka okazała wszelką do spełnienia woli swej pani gotowość, i wnet Tekla została otoczona niewidomą strażą.

Dwa dni przeszło, a Julja ani Kasia, nic szczególnego w postępowaniu Tekli nie dostrzegły. Smutną tylko była i niespokojną z powodu osobliwszej zmiany jaką widziała w całym bycie swej ciotki, nie mogąc odgadnąć nieszczęścia tego przyczyny: lecz nie przestawała okazywać dawnego swego do niej przywiązania, pomimo chłodu z jakim przyjmowano jej usługi i pieśczoć. Lucyana widywała Tekla u stołu i wobec Julji, gdy tę nawiedzać przychodził. On zaś, błakając się w domysłach i wnioskowaniach, wpadł naresztę na tę myśl, że przyczyną skrytej boleści serca Julji była zbliżająca się chwila jego wyjazdu, odbierająca wszelką nadzieję nieszczęśliwie trawiącej ją miłości. Wprawdzie już teraz nie czuł w sobie do podrózwania wielkiej ochoty, bo się rozdzielał na czas długi z Teklą, ale z drugiej strony, oprócz korzyści jakie sobie rokował ze zwiedzenia cu-

dzych krajów, był to jedyny środek uleczenia drugiej swej matki, której cierpienie niewinną stał się przyczyną. Serca Tekli był pewny, jej więc miłość dostateczną była do osłodzenia mu życia w oddaleniu. Postanowił więc jechać, lecz nie zaraz jeszcze, aby powolnym wybieraniem się w podróż, przygotować jedną i drugą do smutnej rozstania się chwili. Spostrzegła to Julja, ale inaczej sobie wytłumaczyła to zwlekanie; powiedziała mu tedy jakby z wymówką, że dawno już powinien był puścić się w swą podróż. Lucyan się zdumiał, niepojmując rodzaju tej niecierpliwości, odpowiedział więc że mu nie łatwo przychodziło rozstawać się z osobami najukochańszymi. Na to odrzekła Julja z przyciskiem:

— Człek z charakterem, jak P. Lucyan, powinien się okazać wyższym nad tę słabość. — I nie czekając co jej odpowie, wyszła z salonu. Lucyan westchnął, rzucił wzrok na Teklę, która takż na niego spojrzała; myśli ich z sobą się spotkały, i już nie mogli wątpić o prawdziwym stanie serca biednej zakochanej swej ciotki.



11.

Młodzi kochankowie już z sobą więcej nie rozmawiali sam na sam. Tekla szczęśliwa pewnością że jest kochana, a zawsze wstydliva, zaprzestawała na widywaniu Lucyana w obec innych osób. Dosyć było dla niej uchwycić jedno jego czułe spojrzenie, słyszeć dźwięk jego głosu, rzucić przelotny wzrok na twarz jego, żeby zanurzyć swą duszę w błogości niewypowiedzianej, i rozmyślać potem samotnie o przyszłości rozścielającej się przed nią w postaci zamglonego nieba, z przedzierającym się przez tę zasłonę słabym światelkiem nadziei. I Lucyana, luboby miał wiele rzeczy do powiedzenia kochance, musiał przez ostrożność wyrzec się ustnej rozmowy, a tylko cza-

sem przy rannem powitaniu lub chwilowem spotkaniu się w korytarzu, wciskał jej w rękę biżecik, na który odpowiedź odbierał w bukiecie kwiatów.

Tekla bukiety swoje posyłała Lucyanowi przez służących. Jednego dnia gdy w podobnym celu szukała Grzesia, spotkała się z Kasią, która ujrawszy kwiaty, rzekła iż się domyśla dokąd je zanieść trzeba, i wzięwszy bukiet, poszła z nim na drugi koniec domu do mieszkania Lucyana. Można się domyślić, że przebiegła pokojówka starannie przeglądała kwiaty, azali w nich nie znajdzie jakiej kontrabandy. Rozwiąawszy więc w tym celu bukiet i rozfałdowawszy wstążkę, ujrzała w niej ukrytą kartkę cieniutkiego papieru, całą zapisaną drobniutko jak maczkiem. Uradowana odkryciem, związała znowu kwiaty, zaniósła je Lucyanowi, a z kartą pośpieszyła do swęj pani.

Drżącą ręką rozwinęła Julja tajemne to pisemko, i skwapliwie pocichu zaczęła je czytać. Kasia pałająca ciekawością, z wlepionym w czytającą wzrokiem, niecierpliwie czekała końca. Zawiodła się atoli w swęj nadziei, i musiała odejść niczego się nie dowiedziawszy; widziała tylko że ten listek sprawił w czytającej wielkie wzruszenie, że

ły obfite z oczu się jej puściły, i wnet skiniem ręki dała poznać, że chce zostać sama.

Bilecik Tekli zawierać w sobie musiał coś bardzo ważnego, bo drzwi Julji dnia tego dla wszystkich były zamknięte, a nazajutrz raniutko gdy jeszcze wszyscy spali, ona zabrawszy z sobą Kasię, niewiadomo dokąd wyjechała. Pierwszy rotmistrz dowiedział się o tym wypadku, gdy udawszy się podług swego zwyczaju do stajni, dla obejrzenia porządku, nie znalazł w niej czwórki-koni, ani furmana, ani koczycy w wozowni. Stajenny posługacz tyle mu tylko mógł powiedzieć, że równo ze dniem Janek zaprzął i przed pałac zajechał, a ztamtąd z kim ruszył, tego nie widział i nie wie. Skoczył P. Jakób jak oparzony do domu, i wnet tam zawrzało jak w garnku. Lucyan, Tekla, domownicy, zbiegli się zdumieni i zafrasowani. Pokoje Julji były zamknięte zewnątrz, oczywiście więc wyjechała, ale dokąd? na jak długo? tego niktby im powiedzieć nie mógł. Rotmistrz wszelako, w obawie aby słudzy domowi czegoś zdrożnego sobie o tym wyjeździe pani nie uroili, rzucił się do wybiegu, i uderzywszy się w czoło, zawołał: — „Bodajże-to stara pamięć! wszak to całkiem byłem zapomniał, że mi pani

dzień trzeci temu mówiła, iż ma przed sobą ma-
leńką podróż, jakieś pobożne *votum* do odbycia.
Myśmy się dziś zaspali, a tymczasem ona jak zwy-
kle bez hałasu wyjechała. No idźcie już dzieci
każden do swojej roboty, i zmówić mi pacierz na
intencją dobrej waszej pani.” Lecz gdy się roze-
szła czeladź, P. Jakób zawołał syna i załamując
ręce wyznał, że ludziom powiedział bajkę, sam
zaś nie wie i nie zgaduje dokądby Julja udać się
mogła i czemu tak sekretnie wyjechała. Rekapitu-
lował potem swoje uwagi co do jej tajemnych u-
czuć i chęci, wyrzucając Lucyanowi, że ją dopro-
wadził do smutnego stanu umysłu i zdrowia wktó-
rym zostawała. — „Pewny jestem tego— mówił—
że gdybyś teraz jeszcze padł jej do nóg i powie-
dział że ją kochasz, odrodziłaby się nieboraczka,
wróciłaby do życia, zdrowia i wesela. Tytuł sta-
rej panny straszy ją i niepokoi, a ze wszystkich
pretendentów, jednegoby tylko wybrała ciebie.

— Ale zkądże, kochany ojcze, masz tego pe-
wność? Nie powiedziała ci przecie nic takiego
z czegobyś mógł wnosić, że ta a nie inna jest
przyczyna jej cierpienia.

— Uczciwa panna sama się nie odezwie, nikomu
się nie narzuca. Trzeba więc ją odgadnąć.

— I można się pomylić.

— Stare ćwiki, jak my, nie mylą się w tych rzeczach. Sprobuj wreszcie, korona ci z głowy nie spadnie.

— Alebym ja sam spadł i bardzo nisko, tak w jej jak i we własnym moim szacunku. Kłamać miłość, to ze wszystkich kłamstw najszkaradniejsze, to hipokryzja!

— Masz ci go! — przerwał stary — kłamać! hipokryzja! Przecież wiem co się godzi, a co grzech i hańba. Ale ty nie skłamiesz przysięgając jej miłość, boś mi nie raz mówił, że ją miłujesz, do stu drabów!

— Miłuję jak matkę.

— A choćbyś miłował jak prababkę, to będzie zawsze miłość dostateczna do zrobienia jej i twojego szczęścia. Do małżeństwa, mój synu (jużem ci to zdaje mi się dowiódł) najmniej potrzeba szafu, zapałów i całej czeredy miłosnych bredni, o których marzą młode niedoświadczone głowy. Ty, coś wiele czytał, powinienbyś wierzyć filozofom moralistom, jak Cycero, Seneka, że już nie wspomnę o teologach, doktorach Kościoła i kaznodziejach; wszyscy się oni na to zgadzają, że związek małżeński gruntuje się na przyjaźni zrodzonej

z wzajemnego szacunku, ze spólności zasad, gustów i wyobrażeń, nie zaś na miłości powstającej z gorącej krwi, ze zmysłów podbitych powabami ciała, i tym podobnych bodźców zepsutej natury człowieka.

— Zgodziłbym się wreszcie i na to mój ojciec, jeżeliby serce było wolne, lecz kiedy się już oddało jednej, jakżeby się mogło w takim razie zwrócić ku drugiej osobie?

— Co ja słyszę! ty kochasz inną?

— Wyznaję to ze szczerością jaką ci winien.

— Kto ona?— grzmiał starzec.

— Pozwól drogi ojciec, że dla pewnych powodów, jeszcze o tém przed tobą zamilczę.

— Zakochać się bez mego pozwolenia, to panie bracie trąci buntem *contra paternam potestatem*; ożenisz się może?

— Tego nie uczynię, bez twego zezwolenia i błogosławieństwa, drogi ojciec. Ale kochać mogę bez nieposłuszeństwa, bo miłość jak choroba, napada i ogarnia nas mimo naszej woli, a niekiedy wbrew nawet wszelkiemu przeciw niej usiłowaniu.

— Dobrześ ją przynajmniej nazwał chorobą. Na choroby są lekarstwa.

— Nie zawsze skuteczne.

— Zapewne kiedy lichy wezmie nazbyt górę. Ale twoja choroba nie tak jeszcze dawna.

— Jeżeli to istotnie choroba, to jest, jeżeli miłość moja miałaby być nie trwała, lekarstwem na nią będzie oddalenie się od jej przedmiotu. Wszakże jadę za granicę, i to właśnie powód dla którego nie wymieniam ci osoby, którą kocham. Za powrotem dopiero chciałem ci oznajmić o mojem stałem już postanowieniu.

— Rafinacya! głupstwo! wynalazki nowój mądrości, albo już jakaś zaraza; bo masz wiedzieć że i nasza Julja — dotąd, ani słowa, rozumna — dostała raptem podobnejże manji. Zakochała się w tobie (co już mam tać?) i jedzie do kroćset katów za granicę! Uf!

— Za granicę! Byćże to może? I sama ci to powiedziała?

— Powiedzała te słowa: „Muszę was opuścić i może na długo” — Jakże to tłómaczyć.

— Chce się może wynieść do miasta jakiego w kraju.

— Z tegoby nie robiła sekretu. Ty jedziesz, więc i ona za tobą, zwyczajnie kobieta rozkochana. Darmobyś tedy uciekał, dogoni cię wszędzie. Zostań tu, i ona się nie ruszy.

— Kilka dni temu zrobiła mi przymówkę, że się leniwie wybieram w podróż.

— To, to, to, alboż nie mam racyi? Chce wyjechać, lecz oczekuje aż ją wyprzedzisz.

— Na jaki koniec?

— Zgadnij kobietę! Prędzej odgadniesz z kądem jutro wiatr zawieje. Jużciż nie na ten koniec, żeby z tobą włóczyć się po uniwersytetach, muzeach i bibliotekach. Czuje nieboga że bez ciebie żyć nie może, więc rusza za tobą.

— Nie, mój ojczy, mylisz się, zapoznajesz zanną tę osobę, pełną skromności, przyzwoitości.

— A twojaż świeża definicya miłości — he?

— Tak daleko jój nie posuwałem.

— Każda gorączka może przejść w malignę, *si sero medicina paratur*. Dla tego, nie mamy czasu do stracenia. Ty się wybieraj niby w podróż, *festina lente*, a ja będę się starał mitrzyć otrzymanie dla niej pasportu, to mi łatwo przyjdzie. Tymczasem Bóg może da że sobie wybijesz z głowy baronowę, bo mnie bratku nie oszukasz. Nie brzdysz się dojrzałym wiekiem twój ulubionój, o toż *notabene* nasza Julja, jakim sodalis, rokiem od rozwódki młodsza.

Lucyan się uśmiechnął i wołał na ten raz zosta-

wić ojca w jego mniemaniu, aniżeli się na dłuższe wystawić badanie.

Po tej rozmowie starzec wsiadł na swego stępa-ka i puścił się na zwiady, żeby się dowiedzieć na kóten trakt obróciła Julja, Lucyan zaś udał się do Tekli którą zastał we łzach. Gdy jej opowiedział rozmowę swoją z ojcem, zgodzili się na to oboje; że wnioski starego były przesadzone, zawsze jednak postępowanie Julji miało w sobie coś tak tajemniczego i tak razem dziwnego, tak nagła bez widocznej przyczyny zaszła w niej zmiana, że musieli się wyrzec dalszego odgadywania przyczyny, w oczekiwaniu azali się ta jakim sposobem sama im nie wyjawi. W najsmutniejszym, biedna młoda para widziała się teraz położeniu, i prawie bez nadziei pomyślniejszej przyszłości. Los ich obojga leżał w ręku ciotki, a ponieważ tej widoki całkiem były ich zamysłem przeciwne, nic więc nie zostawało, jak uleść konieczności, nie przedsiębrać żadnego kroku, czekać i ufać w Bogu, z zupełnem poddaniem się świętej Jego woli.

Gdy Lucyan odszedł, Tekla po raz pierwszy głębszemu oddając się rozmyślanii, badała siebie w skupieniu ducha, azali jej miłość była rzeczywiście niewinną, nienaruszającą świętych obowiązków

wdzięczności względem tak dobroczynnej ciotki? Przebiegłszy myślą początek i postęp tej miłości, i zważywszy walkę toczoną ze swym sercem, znalazła iż w tej boleśnej walce, miłość, pomimo upadającej nawet nadziei, brała atoli codziennie górę nad powinnością. Delikatne, trwożliwe sumienie dziewicy, wyrzucało jej rozmaite przeciw swej dobrodziejce grzechy: ileż razy bowiem sarkąła na nią w duchu, śledziła jej kroki, przeszkadzała ile mogła poufałym jej z Lucyanem rozmowom; czuła słowem że grała rolę rywalki, tajemnie wprowadziła i przerywanie, lecz z pewną niekiedy złosteczką. „Nikt tego nie spostrzegł, mówiła sobie, ale Bóg widział wszystko i osądził mię zapewne samolubną i niewdzięczną. Odbierając dobrodziejstwa, człowiek staje się dłużnikiem tego który go obdarza, i biada niewdzięcznej duszy coby nie usiłowała wypłacić podobnego długu jakąbądź ofiarą! A cóżem ja dotąd mej ciotce przyniosła w ofierze? nic takiego coby warte było tego imienia. Kochałam ją, czciałam, ależ to mi przychodziło z rozkoszą; byłam jej posłuszną — tak, dopóki w sercu mojem nie znajdowałam do tego przeszkody; lecz zaledwie to serce zajęło się miłością ku Lucyanowi wbrew woli i widokom ciotki, wnet stałam się nieposłu-

szną, o, gorzej jeszcze, bo stanęłam jej na zawadzie, pozyskując serce tego którego ona wybrała sobie, większe odemnie do wyboru tego mając prawo. Bezemnie znalazłaby może w nim wzajemność i byłaby szczęśliwą; jam więc ją bodaj pozbawiła szczęścia i stała się przyczyną dzisiejszych jej niezmiernych cierpień.”— Te, i tym podobne wyrzuty udręczając serce oddziaływały na umysł i zapalały wyobraźnię biednej Tekli. Cała już teraz myśl jej, wszystka jej żądza, zajęte były szukaniem sposobu, jakimby zgładzić mogła swą winę i okazać czynem wdzięczność należną swój ciotce. Zobaczymy wkrótce co postanowiła i wykonała w tej mierze.

Nadeszła godzina obiadu, ale nikt o jedzeniu nie myślał; w kuchni nawet coś nie szło po temu, i dom cały w ogólności przedstawiał po raz pierwszy obraz nieładu, trwogi i zamięszania. Rotmistrz wrócił ze swojej wyprawy chmurniejszy niż był wyjechał, bo się napróżno zmęczył rozpytywaniem wieśniaków; widać że i oni spać jeszcze musieli czasu przejazdu swjej pani.— „Trzeba czekać z obiadem” — rzekł do służby, i poszedł wychylić kieliszek starki, znać chcąc sprawdzić przysłowie „na frasunek dobry trunek.” Zaledwie wziął w usta porcyę owego kordjału, gdy turkot zajeżdżającego przed

ganek pojazdu, tak go potężnie wzruszył w samem przetykaniu, że mu wódeczka gębą i nosem napowrót wyleciała. Nie było czasu naprawić pudła, biegł bez pamięci z kieliszkiem w rękę, i gdy spotkał wchodzącą do domu Julję, przywitał ją kaszłając i dziwne wyrabiając miny, czem ją pobudził do uśmiechu. Uspokoiwszy nareszcie rozdrażnienie swej krtani, wytłómaczył tego przyczynę, a panna Bogacka znowu się uśmiechnąwszy, zapytała czy się znajdzie dla niej coś do zjedzenia? Rzucono się zaraz do zastawienia stołu, a P. Jakób uradowany powtarzał w duchu: „Bogu dzięki, wróciła, uśmiecha się i głodna. *Haec sunt signa bonae spei!*” W samej rzeczy, ranna ta przejazdka sprawiła, widać było, jakąś pomyslną zmianę; twarz Julji przybrała znowu wyraz dawniej swej słodyczy. Nie była wesołą, lecz spokojnie poważną: oczy zaś, widocznie strudzone i trochę zaognione, zdradzały iż za mało spać a wiele płakać musiała. Nikt ją zapytać nie śmiał dokąd i po co jeździła, ona też nic o tem nie wspominając, rozmawiała ze wszystkimi swobodnie i jadła z apetytem sporządzone naprędce potrawy. Po obiedzie udała się do siebie, zostawując domowych uradowanych, chociaż zaspokoić swej ciekawości nie zdołali, albowiem i Kasia

nie dała z siebie wydobyć sekretu tej podróży i stangret milczał jak niemy.

Wieczor spędziła Julja samotnie w swoim pokoju. Nazajutrz rano o zwyczajnej godzinie weszła do salonu, a tam już na nią oczekiwała Tekla. Silne, rzewne uczucie malowało się na bladej twarzy dziewczycy, krok jej był chwiejący się, cała postać jakby zgięta pod ciężkiem brzemieniem. Gdy Julja usiadła, ona ukląkłszy u kolan ciotki i błagalnym na nią patrząc wzrokiem, rzekła drżącym głosem :

— Najdroższa ciociu, mam cię prosić o jedną łaskę.

— Wstań, dziecię moje, i mów śmiało. Wiesz jak mi jest miło zaspakajać twe rozsądne chęci. Czemuż więc głos ci tamuje się w piersi?

— Boję się żebym ciocię nie rozgniewała. —

— Jakim sposobem? Chcesz mię chyba opuścić?

— Nie chciałabym, ale muszę. —

— Tegom się, wyznam, nie spodziewała.

— Uważam w tém wolę nieba— uczułam w sobie powołanie.

— Do stanu małżeńskiego — dokończyła Julja z uśmiechem.

— Ach! słusznie się więc obawiałam! Ciocia się gniewa.

— Widzisz że się śmieję.

— O można czasem śmiać się gniewając. I byłoby za co, gdybym tak myślała jak ciocia mówi. Mnież to w moich latach, z moją wietrzną głową, a do tego sierocie, myśleć o zamężciu? Nie ciociu — ja chcę być mniszką.

— Z wietrzną jak mówisz głową? W samej rzeczy wyborne usposobienie do stanu duchownego. Dawnoż zrobiłaś to postanowienie?

— Przeszłej nocy.

— Miałaś więc objawienie przez sen?

— Ciocia wciąż żartuje. Wyraźnie się gniewa.

— Powinnabym się gniewać, bom cię rozumiała dotąd szczerą, otwartą, a widzę że taką nie jesteś.

— Chciiej wierzyć ciociu, że najszczerze zrobiłam postanowienie.

— Zrobiłaś postanowienie, temu wierzę, ale czy z powołania?

— Mocna chęć nie jestże powołaniem?

— Nie zawsze. Chęci są zmienne. Szczeremu powołaniu towarzyszy pokój, wesele serca, a ty jesteś niespokojna, cierpiąca, rozpaczająca prawie.

— Bo żałuję tych z którymi się na zawsze rozstanę, a do których lgnie me serce.

— Aha, otoż zrobiłaś postanowienie wyraźnie przeciwne uczuciom twego serca. Masz więc powody jakieś, które ukrywasz, a przeto nie jesteś szczerą.

— Mój Boże, jakże to powiedzieć. Nie chciałybym być tobie ciężarem.

— Dałamże ci poznać, że mi ciężysz?

— Ciocia jest samą dobrocią; ale mnie się tak zdaje.

— A mnie się zdaje, że nie mówisz czystej prawdy, i sama osądź czy mię to nie powinno boleć? Za tyle mych około ciebie trudów, za matczyne ku tobie przywiązanie, miałam zdaje się prawo oczekiwać od ciebie nieograniczonego zaufania.

— Ach nie mów tak droga ciociu, bo mię tym czynisz nieszczęśliwą.

— Wszakże żądam tylko, żebyś mi ufała: nie widzę w tém twego nieszczęścia.

— Ja ci ufam najmocniej, i jeżeli myślisz żem niegodna być zakonnica, a chcesz bym przy tobie została, słucham cię i odstępuję od mego zamiaru— ale pozwól mi zarazem prosić ciebie o jedno dobrodziejstwo.

— A, nakoniec! Cóż tedy mam uczynić?

— Nie wydawać mię nigdy za mąż.

— Chcesz za moim przykładem zostać starą panią, abym miała w tobie wierną do śmierci towarzyszkę. Umiem cenić tę ofiarę i cieszę się żeś zesłała przecie na myśl mniej tragiczną, bo mam za rzecz pewną, że nie osobliwsza byłaby z ciebie zakonnica. Żałuję tylko że się wyrzekasz zamęzcia: zepsułaś mój planik, bo, poufanie za poufanie, przyznaję ci się — żem cię chciała wydać za Lucjana.

Tekla krzyknęła i padła znowu przed Julją tuląc twarz do jej kolan.

— Widzę — rzekła ta poważnie — że co w tem to chętnie byłabyś mi posłuszną, bo Lucjana kochasz, prawda?

— Prawda! — łkając powtórzyła Tekla.

— Wyszła więc w końcu prawda jak oliwa na wierzch. No, uspokój się, opłakałaś twą winę, przeto ci ją przebaczam; za pokutę jednak nie powiesz Lucyanowi nic o tej naszej rozmowie, bez mojego pozwolenia.

Tekla porwana wdzięcznością i przejęta skruchą, chciała siebie oskarżać, ale Julja zamknęła jej usta i kazała otrzeć oczy, słysząc nadchodzących.

Byli to rotmistrz i Lucyan, oba mocno wzrusze-

ni: twarz ojca zaczerwieniona z wyrazem silnego postanowienia, syn blady niespokojny i smutny. Nastąpiła wnet scena, którą dla lepszego uwydatnienia wystawić tu musimy w dramatycznej formie.

ROTMISTRZ. Za pozwoleniem kuzynki, przychodzimy z Lucyanem szturmować raz jeszcze do jej serca.

JULJA (z lekkim wzruszeniem). Ze strony pana Lucyana będzie to jeszcze atak pierwszy.

ROTMISTRZ. Tém więc powinien być silniejszy.
(do syna) Klękaj!

JULJA (prędko). Bardzo proszę! panie rotmistrzu, co to za myśl?

LUCYAN (przyklękając na jedno kolano): Rozkaz ten mojego ojca spełniam z największą ochotą. Nie mógłbym przyjąć postawy dosyć unizonej, gdy się ośmielałam błagać ciebie pani, abyś nie osierociała twych dzieci, bo niemi są wszyscy mieszkańcy Julina.

JULJA (podnosząc go) Nim na to odpowiem, chcę wiedzieć czy to jest jedyna do mnie prośba pana Lucyana?

ROTMISTRZ (uradowany). Nie do djaska przepraszam, za pozwoleniem, on ma jeszcze jedną ważniejszą, ale nie śmie.

(Lucyan wstrząsa się i zwraca ku ojcu wzrok błagalny).

JULJA (spokojnie). Niechże ją usłyszę.

ROTMISTRZ (do syna). Gadajże! jeśli ci zbawienie miłe!

LUCYAN (do Julji z wyrazem boleści). Mój ojciec...

JULJA. Mów od siebie mój kuzynie; — wahasz się — więc chcesz chyba żebym się domyśliła, że przychodzisz prosić mnie o rękę....

LUCYAN. Boże! tego nie przewidział! — pani...

JULJA (z powagą). Proszę mi nie przerywać, ani udawać zdumienia. Mówiłam żeś przyszedł prosić mnie o rękę....

ROTMISTRZ. Tak, tak.

JULJA. O rękę Tekli.

(Lucyan patrzy na nią w osłupieniu).

ROTMISTRZ (przerażony). Co? coto? jakto? za pozwoleniem....

JULJA (serjo). A cóż to myślałeś rotmistrzu?

ROTMISTRZ (zakłopotany). Myślałem, myślałem — za pozwoleniem — nie to, nie to wcale — na ten zaś związek nigdy nie zezwolę, jakem....

JULJA. A kiedy ja się nisko ci pokłonię?

LUCYAN (upada przed nią na kolana). O najwspanialsza z kobiet!

ROTMISTRZ. Bój się pani Pana Boga! czy ja śnię?

Ale nie, to być nie może, fiksacya, za pozwoleniem, z czegożby oni żyli?

JULJA. A kiedy ich przybiorę za własne dzieci?

ROTMISTRZ. Ha, wtedy abdykuję mą władzę i przelewam ją całkowicie na kuzynkę dobrodziejkę, wyznając w pokorze żem na ten raz był, za pozwoleniem, osłem.

(Całuje jej ręce, ona go ściska).

JULJA (do Lucyana podnosząc go). Więcej otwartości, oszczędziłoby nam dużo gwałtownych wzruszeń. Ale zapomnijmy o tém co przeszło, aby się rozsądnie zająć tém co ma nastąpić Zezwalając na wasz związek z czułością matki, powinnam oraz postępować drogą matek roztropnych. Masz lat 21, jeśli się nie mylę?

ROTMISTRZ. Piętnastego *praesentis* zaczął rok 22.

JULJA. Tekla nie ma jeszcze pełnych 17stu. Oboje więc jak na małżonków trochę jeszcze za młodzi. Lucyan dla zdrowia i dla lepszego poznania świata i ludzi, miał wszakże zamiar zwiedzić obce kraje. Trzy lata mu na to wystarczą: Tekla zaś przez ten czas pod moim kierunkiem zarządzać będzie domem, aby praktycznie nabyć mogła wiadomości potrzebnych dobrej gospodyni, obok

małych talentów umilających pożycie — jeżeli się na ten plan zgadzacie?

LUCYAN i TEKLA (razem). O, najlepsza matko!

ROTMISTRZ. Benefaktorko, jakich już nie ma w tym zepsutym wieku!

JULJA (biorąc rękę rotmistrza). Więc odbierzcie nasze błogosławieństwo.

(Lucyan i Tekla klękają u ich nóg, Julja i Rotmistrz błogosławia tę parę w milczeniu).

JULJA (odchodząc na stronę). Dzięki ci Boże żeś mię tak natchnął i dodał sił do spełnienia...

(Ociera prędko łzy i wraca ze spokojną znowu twarzą).

ROTMISTRZ (bijąc się w czoło). Stary głupcze! ani się domyślałeś tyła w niej mądrości! To Salomon nie kobieta!

JULJA. Uściskajmyż się kochany kuzynie. Spodziewam się że mi nie wzięłaś za złe, odłożenie aktu ślubnego do trzech lat?

ROTMISTRZ. Przepraszam, miałbym przeciwnie do zarzucenia, że termin za krótki. Jabym wotował na lat sześć przynajmniej. Dla Lucyana za pozwoleniem kuzynki, napiszę sam instrukcję, czem się ma zajmować w obcych krajach, aby za powrotem nie przywiózł tu nam, broń Panie, nowej ja-

kiej filozofii. Dość, dość mamy już tej zarazy. Wypiszę ci mój chłopcze akademije w których studyowali niegdyś sławni w dziejach naszych mężowie. Tam czerpaj mądrość i naukę, nie zaś w nowomodnych uniwersytetach, w tych wieżach babilońskich, gdzie uczą młodzież bluźnić różnemi językami. Jeżeli zawędrujesz aż do Hiszpanii, odpraw nabożnie pielgrzymkę do Kompostelli, i przywieź mi jaki szczątek relikwji ś. Jakóba mojego patrona.

GRZESIO (wchodząc). Wszyscy gospodarze wiosek pani zebrali się do dworu. Pełniutki dziedziniec.

JULJA. Cożby to być mogło?

ROTMISTRZ. Domyślam się. Musieli się dowiedzieć o zamiarze wyjazdu za granicę, przyszli więc, *in corpore*, błagać swoją dobrą panią żeby ich nie opuszczała.

JULJA. Dobrzy ludzie! mogą być o to spokojni. Nie myślałam nawet o dalekiej podróży, lecz abyście się nie gubili w domniemaniach, pozwałam wam myśleć że was trochę zwodziłam chcąc się przekonać czy wszyscy tak mnie kochacie, jak pragnę być od was kochaną. Okazało się że się nie myliła, i za to dziękuję Bogu.

ROTMISTRZ. Aj, aj, za pozwoleniem, ta ciekawość

mogła nie jednemu z nas napędzić jakiej broń Boże, choroby.

JULJA. Darujcie. Więcej już w grzech ten nie wpadnę. Wzajemna ufność podporą jest miłości; a teraz pójdźmy podziękować kochanym kmiotkom za ich dobre serce; niech się dziś spólnie z nami weselą, niech ekonom i ochmistrzyni zajmą się szczerze ich ugoszczeniem. Lucyan i Tekla nie wezmą za złe, że tu ich zostawimy samych.

Takie było rozwiązanie tego małego dramatu, równie szczęśliwe jak niespodziane dla wszystkich jego aktorów. Można powiedzieć, że ono było dziełem baronowej, to jest nieprzewidzianym skutkiem nierozsądnego kroku jej zemsty. Gdyby nie ów list delacyjny, Julja długoby jeszcze może nie mogła się rozbratać z łudzącą ją myślą, nie odkryłaby, w czas jeszcze, miłości dwojga kochanków, aniby się dostatecznie przekonała o zacości ich serc tak święcie jej oddanych. Potrzeba było jakiejś nadzwyczajnej okoliczności, jakiegoś nader silnego bodźca, ażeby spokojny ten i łagodny umysł wstrząsnąć, pobudzić do reakcyi i wprawić w stan exaltacyi, siłą której Julja do zbadania i odkrycia prawdy użyła środka wbrew charakterowi swemu przeciwnego. Przejęty listek Tekli do Lucya-

na, otworzył jej oczy: w tem albowiem pisemku skreślona była pokrótce, lecz z całą prawdą historia dziewiczego serca, od chwili narodzenia się w niem nowego uczucia, aż do owej drugiej, co jej przyniosła pewność że jest kochaną. Głównym naturalnie epizodem tej opowieści była miłość Julji, lecz tu właśnie Tekla odkryła najpiękniejszą stronę swego serca, gdy tę słabość swej rywalki usiłowała usprawiedliwiać; gdy uznawała siebie mniej godną ręki Lucyana, a przyznawała jej większe do tego szczęścia prawo. Sposób zaś w jaki wyrażała swój żal, swą boleść nad cierpieniem tej której wszystko była winna, dowodził najszczerzego, najmocniejszego do niej przywiązania, rzucając zarazem dostateczne światło i na prawość Lucyana, również jak i ona przejętego synowskiej czci i miłości uczuciami. List więc ten zbijał zwycięzko potwarze baronowej i nie mógł nie obalić wszelkich w Julji uprzedzeń, wszelkiego podejrzenia i nieufności ztąd w niej powstałych. Ujrzała się skruszoną, zawstydzoną, upokorzoną przez dwojga tych dzieci, i naturalnym zwrótem ku prawdziwemu charakterowi swej duszy, przedsięwzięła zwyciężyć siebie, i jeżeli nie przewyższyć ich, przynajmniej dorównać im we wspaniałości.

Dla utwierdzenia się więc w tym zamiarze, zrobiła ową tajemną wycieczkę do jednego niezbyt odległego klasztoru, gdzie po gorących do Boga modłach o łaskę natchnienia i pomoc w wykonaniu swego przedsięwzięcia, otworzyła swe serce światłemu kapłanowi, i radami jego wsparta, upominaniami do reszty skruszona, przystąpiła do Stołu Pańskiego z duszą uspokojoną i usposobioną do odebrania łaski utwierdzenia w dobrym postanowieniu. Zostało jej tylko obmyślić sposób jakimby, nie uwłaczając osobistej swęj godności i odpowiednie stanowisku swemu względnie młodej pary i swoich domowników, rozwiązać mogła tę dla nich ciemną zagadkę, uszczęśliwić wszystkich, a nie dać się im przecie domyślić tego co przed nimi chciała mieć ukrytym. Widzieliśmy jak to się jej wszystko udało; bo przy łasce Boga znajdzie się w potrzebie dowcip nawet w duszy najprostszej. Z drugiej strony, Tekla do przyniesienia z siebie ofiary ciotce, pobudzona została podobnież temi samemi okolicznościami, które spowodowały cierpienia Julji. Trudne cnoty nie dają się spełniać bez silnych pobudek, i najczęściej wywoływane są ważnym jakim wypadkiem. Gdy więc cnotliwa dziewczyna ujrzała ciotkę swoją przywiedzioną, jak się jej zdawało, do

rozpaczy, nie wahała się już wtedy uczynić dla niej z siebie ofiarę; aby zaś razem okazać się posłuszną ciotce i zostać wierną Lucyanowi, postanowiła zaślubić się Bogu. I gdyby była taka wola Najwyższego, rzecz pewna, iż Tekla spełniłaby święcie swą ofiarę i zajaśniałaby cnotami duchownego stanu; bo po takiej próbie piękna jej dusza nie mogła jak postępować coraz dalej na drodze chrześcijańskiej doskonałości. Stało się atoli, jak widzieliśmy inaczéj, i tém szczęśliwiej, że bohaterka tej powieści Julja, wyszła takóž z honorem z tej walki, i zdołała naprawić nieszczęśliwą swą krewkość jedynym sposobem jaki zostawał w jej mocy.

Gdy po odejściu ojca i ciotki, Lucyan i Tekla pozostali sami, brakowało im z razu słów do wypowiedzenia sobie wzajem uczuć napełniających uszczęśliwione ich serca. Nagłe to przejście w jednej chwili z niepewności i trwogi do spełnienia wszystkich swych życzeń, odurzało ich nieznaną rozkoszą, a ktoby spójrzył wtedy na nich, nie wiem czy odgadłby do razu, smutek-li czy radość poruszały ich wnętrze; z oczu bowiem dziewicy łzy płynęły jeszcze, i pierś wzdymała się jakby z niej ciężar nie spadł całkowicie; we wzroku zaś młodzieńca malowało się silne uczucie wespół z wy-

razem zdumienia, jakby należycie nie pojmował co się z nim obecnie działo. Ach, bo na tym padole płaczu, uniesienie szczęścia nawet łzy nam z oczu wywabia, i, jakby rzecz, słodką boleścią ściskając serce tamuje głos w piersi.

Otworzyły się naresztę ich usta i potoczyła się bez ładu i związku rozmowa, której nie potrafiłbym być stenografem, tak już obcym stał mi się język miłosnej kochanków pogadanki.

Nie obejrzeni się, a już ich zawołano do stołu. Obiad był świąteczny z wetami, przy których Julja za zdrowie młodej pary spełniła bieliszek pieniącego się szampana, a rotmistrz dokończył butelki toastem na cześć sprawczyni szczęścia wszystkich ją otaczających. Jednocześnie i na dziedzińcu wiejska gromada, wychylając szklanki, grzmiała okrzykami radości, a głosy te serc pocziwych i wdzięcznych, lepiej niżby dźwięki najętych grajków towarzyszyły patryarchalnej uczcie. Koniec więc obiadu stał się weselszym niż był jego początek: twarz Julji jaśniała pogodą, rotmistrz sypał przysłowiami, śmieliej niż zwykle baraszkował, i omal nie skakał; o kochankach niema co mówić, pijani byli szczęściem, lecz to się dawało widzieć tylko

w błyszczących ich źrzenicach i na słodko uśmiechniętych ustach.

Gdy zebrano ze stołu i małe gronko nasze przez otwarte okna przypatrywało się uczującym wieśniakom, rotmistrz rzuciwszy okiem za bramę, zawołał: Tam do djaska, otoż, jak z pilnej potrzeby ktoś nieproszony wali wprost do nas! Ekwipaż baronowej jeśli dobrze widzę—i dodał po cichu—diabełże prowadzi tu swoje kumoszkę!—Julja i Lucyan zdziwili się tém nie pomału, lecz się wnet okazało, iż to był tylko P. szambelan.

—Wię pani— rzekł on do Julji po przywitaniu— żem omal nie potratował na dziedzińcu jej wazalów, takie ich tam tłumy. To mi przypomniało feodalne czasy, poetyczne czasy, kiedy to pod dębem lub wiązem stuletnim zasiadał senior, czasem i nadobna kasztelanka na trybunał sądowy, wymierzać sprawiedliwość swoim poddanym. Czy i tu nie było coś takiego?

—Nic w tym rodzaju panie szambelanie. Małeńka uczyła dla dobrych włościan na podziękowanie za ich prace i przychylność.

—Ach i to pięknie, i to poetycznie! Ja to pojmuję, lecz na nieszczęście używać nie mogę. Wioski moje tak ztąd daleko.

—Na księżycu— szepnął Lucyan Tekli. Szambelan to usłyszał, i chcąc widać zaambarasować Lucyana, obrócił się do niego pytając?

—*Vous dites?*

—Przyszedł mi na myśl księżyc— odparł Lucyan.

—Znać poetę; marzy o księżycu— ciągnął szambelan.— My nie poeci wolimy słońce. Dzisiejsze szczególnie jest miłe, łagodnie świeci i ogrzewa— dodał rzucając wzrok czuły ku pannie Bogackiej— Grzech prawdziwie ukrywać się przed niém. Ogród pani wabi nas do siebie; śmiałybym więc proponować przechadzkę. Mam pierś jakoś ściśnioną, radbym wolniej odetchnąć wodząc panią po ślicznych jej szpalerach. Zbyttnia to może śmiałość?

—Owszem— odrzekła Julja— lubię świeże powietrze i za chwilkę gotowam służyć; każę tylko przygotować herbatę w altanie.

Szambelan nie posiadał się z radości, prawil grzeczności wszystkim obecnym, lecz się wnet zachmurzył i sypnął w duchu krociami szatanów, gdy służący oznajmił o przybyciu pana marszałka Spylińskiego.

Wnet też roztworzyły się podwoje i z szelestem, butnie, lecz ze wdzięcznym uśmiechem wszedł

reprezentant powiatu, witając gospodynię następnymi słowy:

—Znowu mię pani u nóg masz swoich. Otrząsałem się na chwilę z urzędowych trudów i przybywam z dawnym chociaż raz już odrzuconym projektem.

Na to mu Julja zwyczajem swoim odpowiedziała prośbą aby usiadł. Marszałek się uklonił, i lekkim schyleniem głowy powitał obecnych, a spostrzegłszy pana Igrzyckiego, rzekł doń kwaskowato:

—A! pana szambelana. Baronowa w dobrym zdrowiu? Jechałem ongi do Althofa, ale goniec z depeszami zwrócił mię z drogi.

—Moja kuzyna będzie niepokieszona — odrzekł ironicznie szambelan otwierając swoje tabakierę. Spyliński wyciągnął wnet ku niemu dwa palce jak do zażycia tabaki, ale on, niby tego nie widząc, zamknął tabakierę, poczęstowawszy z niej własny tylko swój nos. Nie zostawało więc marszałkowi jak cofnąć rękę i usiąść obook podkmozanki.

—Czy zawsze serce pani z kamienia? — rzekł do niej z wyrazem.

—Nie rozumiem pana — odrzekła.

—Pan marszałek chciałby serce pani zmiękczyć — dorzucił szambelan.

—Bardzo proszę pana szambelana nie utrudzać sobie explikowaniem słów moich— odparł Spyliński z gniewem.

—O najchętniej— rzekł tamten wstając— zostawuję panu pole do jak najobszerniejszej explikacyi.

Marszałek plac otrzymawszy ponowił projekt swój pikniku, na który ku wielkiej jego radości panna Bogacka do razu się zgodziła. Szambelan zaś przygryzając wargi, postąpił ku stojącemu na boku rotmistrzowi i ukazując na Lucyana i Teklę, poufałą między sobą rozmową zajętych, rzekł:

—Śliczna pareczka. Wartoby ich połączyć.

—He, he!— odrzekł P. Jakób mrużąc oczy— nic niepodobnego żeby się to kiedy nie stało.

—P. Lucyan piękne mieć może widoki w stolicy, przy protekcyi przyjaciół mających tam znaczenie— mówił dalej szambelan.

—Wysokie progi na nasze nogi. Mój syn źle jest usposobiony na dworaka panie szambelanie. U niego co w myśli, to i na języku.

—Albo to źle? To owszem bardzo szlachetnie. Prawością przy talentach zrobi sobie fortunę.

—Nie wiem czy fortunę, lecz mniemam że so-

bie zrobi pocziwe imie; a to także czegoś warte, panie szambelanie.

— Niezawodnie. Jabłko upada blisko swej jabłoni, panie rotmistrzu, jak mówi przysłowie. x

— Przyjmuję ten komplement z należytą reko-gnicją—ale otoż mamy jeszcze gościa.—I rotmistrz ukazał na drzwi któremi wchodził P. Talerkiewicz, a szambelan rzekł szydersko:

— Biedny marszałek nie skończy swej explika-cyi. Ten rywal zbije go z tempu.

Rzeczywiście Talerkiewicz przeciął na poły pa-tetyczną jakąś tiradę pana Spylińskiego, posuwając się tuż mimo niego do ucałowania ręki podkomo-rzanki, ze stosownym do tego ceremoniału długim komplementem.

— Jak się miewa pan podczaszyc?—rzekła doń Julja — Kuzyn mój pan rotmistrz mówił mi żeś był nie zdrów.

— Tak mociumdziko — odpowiedział Talerkie-wicz, miotając wzrok gniewny na szambelana — Zli ludzie napędzają nieraz nam pocziwym choro-by, ale z łaski Boga ja się nie boję nawet czarta, nie tylko złego człowieka. Na pierwszego mam wodę święconą, a na drugiego arkusz stęplowego papieru.

Szambelan, z największą obojętnością słuchał tej mowy, oglądając swoją tabakierę.

— Cóż to — zawołał marszałek — czyby aspana napadali rabusie? nie mi o tem nie mówił sprawnik, któremu dziś dawałem posłuchanie: ja w pewne dni tylko przyjmuję urzędników powiatowych; to daleko wygodniej.

— Mamy rabusiów różnego rodzaju, nawet w wyższej klassie, ale i o tych będzie wiedziała zwierzchność — powiedział patrząc na szambelana Talerkiewicz.

— Bardzo to aspanu rekomenduję — dorzucił marszałek — największém jest usiłowaniem mojem utrzymać bezpieczeństwo współobywateli pod każdym względem.

— Obligowany — odparł podczaszyc — ale za pozwoleniem jegomościem, pójdę wyżej.

— Wyżej! do tronu może? — sarknął marszałek.

— Nie tak wysoko, lecz wyżej daleko od władzy pana marszałka.

— Szczęśliwa droga, czekamy z powrotem.

— Spotkamy się może na innej drodze prawnej mociumdzieju.

— Na każdej potrafię skarcić zarozumiałość aspana.

— Oddaj mi wprzód asindzi zabrane ze szlacheckiej opieki moje pieniądze, a potem dmij sobie w nos jak się podoba; ma się rozumieć do nowej elekcji, do której dzięki Bogu nie tak już daleko.

Marszałek nie znalazł już słów do wyrażenia swej zgrozy na taką zuchwałość szlachetki. Odwrócił się więc od niego i rzekł do Julji :

— Przepraszam panią, że bardzo niechętnie narażę ją na słuchanie wyrazów przechodzących wszelką miarę złego tonu i zapamiętałości.

— Nie rozumiałam dysputy w przedmiocie całkiem dla mnie obcym — odpowiedziała z obojętnością.

— A z przechadzki naszej — wrzucił szambelan — nic już dziś pono nie będzie.

— A to dla czego? za chwilę pójdziemy na herbatę do ogrodu.

— Roskoszą pani jest czynić szczęśliwych — mówił dalej P. Igrzycki wskazując na Lucyana i Teklę — oto i tej młodej pary uszczęśliwienie dziełem jest pani, jak wnoszę z tego co mi poufał P. rotmistrz.

— Niema już w tem sekretu — rzekła Julja — Owszem, jako moim dobrym sąsiadom, prezentuję panom nowonarzeczonych.

— A, winszuję z całego serca! — zawołał marszałek kłaniając się poważnie; szambelan poszedł ku młodej parze i powiedział obojgu coś grzecznego, potem uściskał rotmistrza i wrócił do swojego krzesła.

Talerkiewicz winszował także, a potem rzekł do rotmistrza:

— J. W. ciotka wyposaży zapewne pannę hojnie?

— Ja się w to nie mieszam — sucho mu odparł rotmistrz.

— Zgadłeś panie podczaszycu — rzekła Julja — daję mojej siostrzenicy wieczyste Julin, excypując sobie dożywocie na folwarku Spoczynku.

— Tylko? — krzyknął ciekawym głosem podczaszyc.

Marszałek przechylił się na poręcz krzesła jak zdrętwiały. Szambelan gryząc wargi sięgnął do tabakiery i wpakował sobie w nos potężną szczyptę tabaki.

— Spoczynek, stanie się po mojej śmierci własnością Lucyana — dodała.

— A kapitały? — pytał Talerkiewicz.

— Nie są wielkie. Myślę chrześcijański z nich zrobić użytek.

— Ta—a—k? — słabym głosem wyjąknął pod-

czasyc, i głucho nastąpiło milczenie. Pierwszy je przerwał szambelan, gdy patrząc na zegarek rzekł:

— Jak to czas prędko bieży. Kuzyna moja ka-zała mi wrócić koniecznie na szóstą, bo to jej obia-dowa pora.

Na to mu tak odpowiedziała panna Bogacka:

— Nie śmiem zatrzymywać, wiedząc jak pani ha-ronowa lubi punktualność. Proszę jej donieść o za-ręczynach Lucyana z Teklą. Zechce wybaczyć żem jej nie odpisała; byłam zajęta temi zaręczynami, które wnet po dojściu mię jej listu nastąpiły. Wia-domość o tém nie będzie sądze, dla łaskawej mojej sąsiadki obojętną.

Szambelan ukłonił się i wyszedł, a Julja obró-ciła się do Spylińskiego mówiąc:— Pan marszałek będzie może łaskawszy? Herbata za chwilę w al-tanie.

— Prawdziwie nie mogę mościa dobrodziko, dzień pocztowy. Wybrałem się do pani na momencik i wracać muszę do spraw publicznych, którym się poświęcam. A prócz tego, nie chciałbym być tu prze-szkodą, jako obcy, w dniu tym solennym dla pani i dla państwa młodych uszczęśliwionych i obdarzo-nych tak wspaniale ku zbudowaniu całej naszej oko-licy.

— Więc do zobaczenia na pikniku. A kiedyż go będziemy mieli?

— Dobrze jeszcze nie wiem — za tydzień, może za dwa; zależeć to będzie zresztą od urzędowych moich interesów; w każdym razie będę miał honor uwiadomić. Upadam do nóg pani.

To powiedziawszy, ceremonjalnie, pięknie się uklonił, i ruszył majestatycznie ku drzwiom, a gdy rotmistrz chciał go przeprowadzić, rzekł mu:

— Bez tych ceremonji panie rotmistrzu, wiem drogę, żegnam aspana.

— Niechże i bez ceremonji. Jam człek w tych rzeczach nie uparty — mówił P. Jakób wracając ode drzwi.

— Pan podczaszyc, spodziewam się, dotrzyma nam kompanji do herbaty — odezwała się Julja do ostatniego obecnego jeszcze konkurenta, który tak jej na to:

— Mociumdziko, herbatę piję tylko w chorobie. Mam zaś w tej chwili do pomówienia z Imć panem rotmistrzem w jego kwaterze.

— O bardzo proszę — rzekł mu P. Jakób i dodał zcicha:

— Teraz to *tempus propitius*, do probowania

szczęścia: zostałeś *solus et unicus* ze wszystkich konkurentów.

— *Servus humillimus*, mam inszy wcale do asindzieja interes.

— Czy tak? — Oto więc klucz od mojej stancyi. Pan wiesz do niej drogę i wiesz takż gdzie moja lulka i tytuń. Bez ceremonji, jak mówi nasz marszałek, niech mu Bóg da zdrowie. Ja będę zaraz służył szanownemu panu.

— Tak też właśnie lubię — rzekł podczaszyc wymykając za drzwi.

Wszyscy się śmieli, a najdłużej rotmistrz, powtarzając: — Ot, jakby ich wymiotł. *Vivat* kuzynka dobrodzika. *Vivat!*

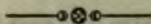
„Przeszłaś w mądrości Sfinxy i Fenixy”, jak mówi nieoszacowany nasz Warmiński. Dałaś im odprawę lepiej niż czarnym jusznikiem. Jak niéma złota, w nogi hołota. —

— Raz to już ostatni — rzekła Julja — pretendentów do mej ręki stawiałam na probę; uwolniłam się przecie od nich na zawsze. Nie sądzono mi od Boga wyjść za mąż: może też w tém było cokolwiek i własnej mej winy; lecz utyskiwać na to nie będę. Stara panna z pretensją do młodego wieku, może wyglądać śmieszna, a to najpewniej że

jest nieszczęśliwą; lecz ta co się umie zastosować do swojego położenia, co jest kochaną i poważaną, a szczególnie, gdy jej los posłuży przyłożyć się do szczęścia innych, o, ta zachowa pokój duszy i wewnętrzne zadowolenie, i obok tego nie ustąpi w godności, w szacunku u ludzi, żadnej innej niewieście. Dziękuję wam żeście mi dopomogli uznać tę prawdę w całym jej znaczeniu. O jedno was tylko proszę, żebyście mię odtąd nazywali matką: w tym słowie jest jakaś słodycz niewymówna, do której tęskni każde prawie kobiece serce.

— O najlepsza matko! — wykrzyknęli razem Lucyan i Tekla — myśmy cię zawsze tym świętym imieniem w sercach naszych nazywali.

— Teraz już jestem szczęśliwą — zamknęła Julja i twarz jej zajaśniała słodką pogodą.



EPILOG.

Zadawałoby się że powieść już skończona; przeczuwam atoli, może zresztą mylnie, że czytelnicy będą chcieli wiedzieć co się stało z baronową: azali zawiedziona w nędznej swej zemście, usiłowała jeszcze prześladować Lucyana, i jaki był koniec przewrotnego jej życia? Dla tych więc którym ta powiastka nie wydała się za zbyt długą, przedsięwzięłem dodać ten epilog, czy *hors-d'oeuvre*, czy jak kto sobie zechce nazwać podobne zakończenie końca.

Po dwóch tygodniach, od dnia swoich zaręczyn, Lucyan ze łzą w oku i ze ściśnioném sercem, rozstał się ze swém niebem, udając się naprzód do Lwowa, gdzie nań oczekiwał towarzysz podróży,

dawny szkolny kolega, Stefan W***, ten sam któregośmy czytelnikom ukazali w 7-mym rozdziałku naszej powieści. Towarzystwo miłego przyjaciela osładzało Lucyanowi tęsknotę serca, a podróż w pożytecznym odbywana celu, dostarczyła mu przyjemnego zajęcia umysłu. Dwa lata przeszły im na zwiedzaniu Niemiec, Szwajcarji, Belgji, Niderlandów, Francyi i Hiszpanji, a w trzecim roku podróży udali się z Kadyxu morzem do Genui, z kąd się już znowu łodem puścili przez Toskanję do Rzymu.

Tyle tylko chcę tu wspomnieć o tej podróży, ile się ona wiąże z głównymi wypadkami mej powieści. Nie będę więc wodził czytelnika po tych miejscach godnych widzenia, które nasi podróżujący z nienasyconą ciekawością zwiedzali w Rzymie, a wprowadzę ich wprost na owe wspaniałe wschody Kapitolu, po których tenże Lucyan ze Stefanem dnia jednego wstępowali, rozmawiając z sobą o tym pomniku wielkości dawnego Rzymu. Już byli obezšli do koła dzisiejsze *Campidoglio* wznoszące się w części na fundamentach *Capitolii* Wespazyana; obejrzelili sterczące jeszcze wśród zwalisk kolumny świątyni Jowisza kapitolinińskiego, gdzie stoi teraz kościół XX. Franciszkanów, i wchodzili pod głó-

wny portyk gmachu, podziwiając wiekopomne dzieło wielkiego Michała-Anioła, gdy ujrzeli dwie osoby, mężczyznę i damę, przypatrujące się cudownemu widokowi, jaki z tego punktu rozlega się do koła. Lucyan w tej samej chwili przypomniał sobie nieszczęśliwą ową epokę, kiedy to oczarowany wdziękami pani Althof marzył o *Korynnie* i o *Kapitolu*, a na to wspomnienie dreszcz mu przebiegł po żyłach, gdy dama, której twarzy nie mógł być jeszcze widzieć, nagle się ku niemu obróciła — i oto też Korynna, to jest pani Althof, stała tuż przed nim. Cofnęli się oboje na krok od siebie. Baronowa pobladła, i rzuciwszy jakby gniewne i bolesne razem na Bogackiego spojrzenie, ujęła spiesznie ramię swego asystenta, mówiąc: *Signor, andiamo!* i pociągnęła prawie go za sobą ku schodom.

—Zdaje mi się pani Althof? — zapytał Stefan Lucyana, który stał jeszcze jakby odurzony.

—Ona sama! Ależ bo nie spodziewałem się spotkać się z nią tutaj.

—I ona bodaj me życzyła sobie bardzo tego spotkania, bo, jakem pocziw, zerknęła na ciebie *acuratissime* tak jak niegdyś bolesnej pamięci królowa Kartagińska spojrzała w oczy Eneaszowi na

polach Elizejskich. Powiedz dla Boga! co to za misterium?

—Właśnie że misterium, nic się nie dowiesz odemnie mój drogi.

—Bodajbyż cię z twoją dyskrecją! źle mi odpłacasz za mą gadatliwość— ale prawda, narzeczeni, gorzej jak żonaci, milczą o dawnych swoich awanturkach. No, gdy nie chcesz iść za nią dla odnowienia znajomości, pójdźże ze mną dla obejrzenia wnętrza sławnego Campidoglio; bo i ja coś nie czuję w sobie ochoty śledzić kroki nowej tej Dydony. A widać dotąd, że była kiedyś piękna — lecz to już *tempi passati*. Niechże się ostatkami jej wdzięków cieszy *Signor andiamo*, smyk włosch z długim nosem, dopóki się jej podoba za nos ten go wodzić. I zawołał na przewodnika:— *Ola! Signore cicerone, avanti, presto! Conduci noi in questo edificio.*”

Tak papłotał wesoły Stefan wchodząc do Kapitolu, podczas gdy Lucyan wolno za nim postępował, zajęty wspomnieniami przeszłości. To spotkanie z baronową wrzuciło mu do duszy pewną gorę, bo już to jest w naturze uczuciowego człowieka, że skoro kobieta raz mu opanowała serce, nigdy się zeń całkowicie wyгнаć nie dozwoli. Mo-

zna z nią zerwać stosunki, lecz poprzestać całkiem myśleć o niej, albo na widok jej być obojętnym, niepodobna.

Nazajutrz po tym wypadku, Lucyan, wracając wieczorem z miasta, znalazł u siebie na stole bilecik pod swoim adresem. Poznał do razu rękę baronowej, i zdumiony czytał co następuje:

„Czas odkrywa prawdę, prostuje sądy, niszczy „uprzedzenia, a tak częstokroć w umyśle i w sercu wielkie sprawuje zmiany. Dwa lata temu, „obrażona, zelżona najniewinniejszém posądzeniem, „zamknęłam się w mojej dumie, i wolałam cierpieć, aniżeli człowieka który mi tak bolesny cios „zadał, oświecić o jego błędzie. Dziś chcę inaczej, „bo długa reflexia przekonała mię, że powinnością „kobięty jest szanować opinią, godnych zwłaszcza „szacunku ludzi. Pragnęłam tedy spotkać się z panem, „ażeby go przekonać żeś się w sądzie swym „o mnie, z czytania wiadomego rękopisu, srodze „pomylił. Spotkaliśmy się naresztę— lecz na widok jego, gniew i boleść nagle w mej duszy zbudzone odjęły mi rozwagę — uciekłam jak od „śmiertelnego wroga— i znowu sama z sobą walczycie musiałam, aby wrócić do uczynionego postanowienia. Zwyciężyłam siebie po raz drugi — i,

„bądź co bądź, chcę okazać żeś przeciwko mnie
 „zgrzeszył, wprawdzie nie z dobrej woli, lecz
 „przez zwyczajną młodemu wiekowi porywczosć.
 „Masz tedy wiedzieć, że to coś *tam* czytał i co
 „cię tak oburzyło, zmieniłoby rzekome swe zna-
 „czenie, gdybyś miał cierpliwość gruby ten rękopis
 „doczytać do końca. Chcesz-li teraz błąd swój na-
 „prawić? Chcesz-li dokończyć tu ze mną rozpo-
 „częte tam bezemnie czytanie? — — Lecz po co
 „tu pytać! wszakże gdybyś tego uczynić nie chciał,
 „musiałabym cię mieć za coś gorszego od mor-
 „dercy.”

Łatwo się z listu tego domyślić, że pani Althof, wpadłszy na myśl rehabilitowania się w opinii Lucyana, przerobiła zapewne drugą część swych *Spowiedzi*, gwoli potrzebie ukazania jemu, iż to co czytał w pierwszej, nie mogło być odeń należyte zrozumianem bez komentarza, i że pierwotne fakta zmieniały swoją naturę splatając się z późniejszymi. Obrachowała czas, przez który on był tą lekturą w jej gabinecie zajęty, i z pewnością wnioskować mogła, że zaledwie zdołał do połowy przebiec jej rękopis w Althofie.

Nie rychło wyszedł Lucyana z zadziwienia swego. Czytał i odczytywał dziwne to pisemko, przy-

wodząc sobie na pamięć główne miejsca brzydkich owych *Spowiedzi*; kombinował jedno z drugim, i nie mógł trafić na pewny jaki wniosek. — „Jestże to (mówił sobie) nowe z jej strony kłamstwo? chciałaby tym obrotem wciągnąć mię nanowo w swe sidła?— albo-li też prawdą jest, że w dalszym ciągu tej autobiografii znalazłbym objaśnienie tych niepojętych faktów, dające im wcale inną postać?— — Lecz gdy sobie przypominam wierutne te szkarady, pojąc niepodobna jakby się mogła z nich całkiem oczyścić— w jakimby celu tyle na siebie nazmyślała złego, żeby w końcu okazać, iż to wszystko nie było rzeczywistem!— Słyszałem wprawdzie, że kobiety-literatki doznają niekiedy raptusów dziwnie fantastycznych, a w tych paroxyzmach rzucają na papier najdziwaczniejsze pomysły, najniedorzeczniejsze zmyślenia, i to dla własnej tylko chwilowej uciechy— — Mogło i tu być coś podobnego— ale mogło i nie być. Ani więc jej potępić, ani też usprawiedliwić z zupełną nie mógłbym pewnością.”

To wahanie się Lucyana mogłoby się wydać dziwnem, gdybyśmy nie znali jego charakteru, skłonnego do widzenia w ludziach prędkiej dobrej niżeli złej ich strony; lecz jeżeli w tej mierze na-

zbyt może był pobłażający, natomiast każdy swój postępek pod surowe prawidło poddawał. Ztąd też i w tym przypadku wiernym się charakterowi i zasadom swoim okazał.

Spędziwszy część nocy na rozmyślaniu o tej rzeczy ze wszystkimi jej okolicznościami, i na zbadaniu siebie aż do głębi duszy, odpisał naza-jutrz baronowej w te słowa:

„Przyznaję się do tej winy, żem sąd mój o au-
 „torce *Spowiedzi* oparł na tych tylko kartach rę-
 „kopisu, które czas mi dozwolił przeczytać. List
 „pani dostatecznie mię przekonywa, że byłbym
 „sądził inaczej, gdybym doczytał do końca. Ża-
 „łuję najmocniej i przeprzeszam za moją poryw-
 „czość. Odwołuję mój sąd w obec pani i siebie,
 „bom go nikomu innemu nie objawił. Oto jest
 „com powinien, co mogę uczynić i co najchętniej
 „czynię. Jeżeli pani, przyjmując żal mój i skru-
 „chę raczysz mi odpuścić winę, nie masz potrze-
 „by udowodniać prawdy słów listu, którym mię
 „zaszczyciłaś. Znasz mą szczerość, mój aż do dzi-
 „wactwa oryginalny charakter: nie bierz mi więc
 „za złe, że się uchylam od czytania z nią *drugiej*
 „części *Spowiedzi*, i chciej wierzyć, że nader

„ważne względy zniewalają mię, stać się, wbrew
 „mojej chęci, rozkazowi jej nieposłusznym”

Ledwie skończył, gdy służący wprowadził doń
 grooma baronowej po respons. Znajomy nam John,
 pocałowałwszy rękę Lucyana, rzekł:

—Nareszcie znaleźliśmy pana! a szukaliśmy go,
 szukali po różnych krajach.

Ale Bogacki zamknął mu talarkiem gębę, i wy-
 prawił z listem za drzwi.

Wszystko to Stefan widział i słyszał. Spójrza-
 wszy więc przyjacielowi w oczy, zapytał z figlar-
 nym uśmiechem:

—Od królowej Kartagińskiej, nieprawdaż? Zga-
 duję już po części co do ciebie pisze *infelix Dido*.

I zaczął deklamować z Eneidy:

„Mene fugis? per ego has lacrymas....

(Quando aliud mihi jam miserae nihil ipsa reliqui)

Si bene quid de te merui, fuit aut tibi quicquam

Dulce meum, miserere domus labentis, et istam

Oro, si quis adhuc precibus locus, exue mentem!” (*)

(*) Odemnież uciekasz? Ach, zaklinam cię na te łzy mo-
 je (bo mi nieszczęśliwej nic innego nie zostało) jeżeli
 cokolwiek godna twój wdzięczności, jeżeli byłam tobie
 cokolwiek miłą, ulituj się nad upadającą, a gdy mo-
 żesz jeszcze wysłuchać mej prośby, zmień twój zamysł.

Tak, *exue mentem!* wyrzecz się młodej twej narzeczonej, a weź mnie starą. Nie zgadłemże mój drogi? Ta piękność dawnej daty miała cię kiedyś w swych sidłach, lecz nie potrafiła utrzymać, i to ją dręczy do tego stopnia, że gotowa dziś rzucić swojego *cavaliere serviente*, by z tobą na nowo żeglować *sur le fleuve du Tendre*. Jam to wszystko wyczytał z jednego jej spojrzenia, ha! bo też umiem czytać po wierzchu w oczach kobiet. Szukała cię po całej Europie, mówił jej sługus, szukała, znalazła, i naturalnie przysyła teraz propozycyę do nowego traktatu. A ty coś jej odpisał? *Infandum regina jubes renovare dolorem!* — *Desine meque tuis incendere teque querelis.* (*) — Niezawodnie tak jej odpisałeś; ale czyś, broń Boże, nie dodał przez grzeczność: *Nec me meminisse pigebit Elyssae.* (**) Toby było nie dobrze. Rozkochana kobieta czepia się każdego słowa i przerabia je na swoje kopyto, jak pieniacz w procesie. *Il faut couper court* w podobnym przypadku, choćby nam przyszło uciekać z Rzymu.

(*) Każesz królowo wznawiać boleśne pamiątki—
Porzuć twojami skargi dręczyć mnie i siebie.

(**) Nie przestanę pamiętać o tobie Elizo.

Zamyślony Lucyan nie wiele dosłyszał z tej humorystycznej przemowy; pokazało się wszakże, iż Stefan przepowiedział trafnie.

Pani Althof, po uważném odczytaniu odpowiedzi Lucyana, znalazła ją miększą aniżeli się spodziewała. Pewną już była teraz, że o potwarczym owym jej liście do Julji nic on nie wiedział, a ztąd poczerpnęła nadzieję złapania go nanowo. Cóż ją do tego prowadziło? Miłość? czy też tylko zemsta? Któż takiej kobiety prawdziwy stan serca odgadnie? To tylko pewna, że usiłowała bądź co bądź, pociągnąć młodzieńca ku sobie. Długoby tu opisywać całą strategją wyćwiczoną w swęj sztuce kokietki; przenikliwy czytelnik potrafi sobie wystawić zasadzki i harce zręcznie prowadzone, i może się już kto obawia żeby nasz Lucyan, któregośmy tak pięknie zalecali, nie zrobił w końcu nam wstydu? Na szczęście tak się nie stało. Narzeczonny Tekli, pod tarczą honoru i cnotliwej miłości, oparł się napadom chytręj zwodzicielki, a baronowa po raz drugi upokorzona, dyszała już tylko gniewem i żądzą zemsty. Niebawem dały się Lucyanowi uczuwać skutki jej nieprzyjaźni. W domach które nawiedzał, zaczęły się szerzyć rozmaite o nim plotki, nawet kardynał sekretarz Stanu,

u którego on dotychczas łaskawe znajdował przyjęcie, zmienił nagle swoje z nim obojętne. Biedny młodzian łamał sobie głowę nad odgadywaniem przyczyny tego niepowodzenia, lubo przezorniejszy Stefan nie przestawał twierdzić, że się to wszystko działo z łaski pani *Dydony*-Althof.

W samej rzeczy, baronowa snowała przeciw Lucyanowi salonowe intrygi, i za pomocą swego *cavaliere serviente*, kłóciła go z jego znajomemi. Mało tego, jeszcze mu niebezpieczniejszy podkopała dotek; mając albowiem pokryjome stosunki z niektórymi członkami ówczasowego towarzystwa Karbonarów, podała im myśl zawerbowania dwóch naszych wędrowców do swojego związku, których polityczne opinie wystawić umiała w najbardziej fałszywém świetle. Skutkiem tej machinacyi, Lucyan i Stefan znaleźli się, sami o tém nie wiedząc, w styczności z osobami podejrzanemi u rzymskiego rządu.

Jeden z onych adeptów karbonaryzmu, człek niepospolitej nauki i wymowy, bardzo się im obu podobał; smakowali sobie w jego towarzystwie i dysputowali z nim w różnych materyach, wcale się niedomyślając prawdziwego jego nazwiska i celu. Lucyan widział w nim tylko zwolennika nowej filozoficznej szkoły, i usiłował go przekonywać o błę-

dnem jej dążeniu; Stefan zaś, mniej ugruntowany w religii, dawał się cokolwiek uwodzić błyskotnymi wymownego włocho paradoksami, a ztąd w ścisłej z nim wszedłszy znajomość, bywał często u niego i brał odeń do czytania książki. Nadaremnie przyjaciel ostrzegał go i do pożyteczniejszej zachęcał pracy, Stefan coraz się głębiej zatapiał w filozoficznych studyach, coraz też częściej widywał niebezpiecznego swojego mistrza.

Tak stały rzeczy, gdy jednego ranka przyjaciele nasi z niemałym zadziwieniem ujrzeli wchodzącego do nich urzędnika policyi, który im wręcz oświadczył, że spełniając rozkaz kardynała-ministra, przystąpić musi do rewizji ich papierów. Lucyan z największą spokojnością umysłu oddał mu wszystkie swoje pisma i książki, obwarowawszy je swoją pieczęcią. Stefan uczynił to samo, lecz co do książek, ukazał z nich kilka mówiąc, iż te miał sobie niedawno pożyczone i że ich jeszcze nie czytał. Urzędnik zapytał o nazwisko właściciela tych książek, zanotował je, a potem zabrał z sobą opieczetowane paki, zapowiadając że takowe nie prędzej będą im powrócone, aż po rozpatrzeniu w biurze jeneralnej policyi, i prosząc zarazem, ażeby się tymczasem z mieszkania swego nie oddalali.

—Ostrzegałem cię—rzekł Lucyan do Stefana gdy zostali sami—żebyś się bardzo nie wdawał z tym ponurym włochem. Człek ten być musi tutejszemu rządowi podejrzany; w mieście jest teraz mowa o nowych knowaniach sekty Karbonarów, rząd więc musi się mieć na ostrożności, szczególnie względem cudzoziemców, których tu zawsze pełno i rozmaitego rodzaju. Możemy być w ambarasie z powodu znajomości naszej z tym włochem, jeżeli on *Carbonajo*.

—Niech piorun trzaśnie tego kusiciela!—wykrzyknął Stefan bijąc się w czoło—Durzył mi głowę pięknymi frazesami, odkrywał nowe nieobejrzane polityczne horyzonty, aby widać tą drogą prowadzić mię do swojej węglarni, aż oto bodaj *maestro briccone*, zaprowadzi ucznia do kozy!

—Ale ty przecie do niczego się nie zobowiązałeś?

—Do niczego jeszcze — ale było już do tego blisko.

—Bądźże spokojny, a niech cię to nadal robi ostrożniejszym.

—Gdyby się tylko na ten raz wykręcić, dam ci słowo, że odtąd nie będę szukał prawd nowych ani przyjaciół między włochemi.

Po tej rozmowie, Lucyan napisał list do kardy-

nała sekretarza Stanu, upraszając o chwilkę posłuchania; za ledwie atoli dnia trzeciego otrzymał pozwolenie stawienia się przed Jego Eminencyą.

Kardynał przyjął go z obliczem surowem i rzekł:

— Zawiodłem się, mój panie, w opinii jaką miałem o nim — lecz jakżem nie miał ufać zacnej osobie, od której mi przywiozłeś list rekomendacyjny? Tymczasem aspan, jak wiem, oddałeś się złemu towarzystwu.

— Wasza Eminencya.

— Proszę mi nie przerywać! bardzo o to proszę! Mówię żeś się oddał najgorszemu towarzystwu. Zaprzeczasz może, żeś się zaznajomił i wszedł w stosunki z niejakimi M***, V*** i R***?

— Nie przeczę że oni się poznajomili ze mną, lecz w żadne z niemi nie wchodziłem stosunki.

— A wiesz kto oni, ci dobrzy jego znajomi?

— Miałem ich za ludzi porządnych i światłych.

— Światli ile się podoba — porządni, jak to sobie kto tłumaczy; nie mniej przeto jednak są to zbrodniarze, słowem karbonary.

— Tegom przewidzieć nie mogłem, widując tych panów nie tylko w domach niektórych magnatów, ale co większa, i na pokojach Jego Eminencyi kardynała O***.

— Hem — bo masz wiedzieć, że ci hultaje umięją mydlić ludziom oczy — pewnym osobliwie ludziom — nie daleko widzącym, chociaż patrzą z wysoka. Ale rzecz nie o tém. Jeżeli, jak utrzymujesz, nie wchodziłeś z żadnym z nich w ściślejsze stosunki, powiedźże mi z łaski swojej, jakim sposobem bezecna broszura, paszkwil, płód nieczysty tego jaszczurczego gniazda, tej przeklętej karbonaryi, zakazana tutaj pod wielką bardzo karą, znalazła się w mieszkaniu aspana?

— Honorem moim zaręczam Waszej Eminencyi żem nie miał w ręku ani widział podobnej broszury. Ja się do polityki nie mięszam.

— Da się to widzieć ze sledztwa, mój panie. Uprezdam go jednak, że przed tem jeszcze dochodziły do mych uszu o aspanu wcale dlań nie pochlebne wieści.

— Do żadnej, J. O. panie, nie poczuwam się winy, spokojnie zatem ostatecznego na mnie wyroku W. Emin. oczekiwać będę, wiedząc iżes równie mądry jak sprawiedliwy.

Kardynał, w ciągu tej rozmowy, wpatrywał się uważnie w otwartą, szlachetną twarz młodzieńca. Ta obserwacya znacznie widać humor jego złagodziła, rzekł albowiem po chwili:

— Mogłeś uważać żeś mi się był podobał, że z przyjemnością widywałem go u siebie. Masz fizygnomię szczęśliwą, posiadasz piękne zdolności, i tę skromność co najbardziej młodego człowieka zaleca. Ale cóż potem? gdy, jak się domyślam, liźnałeś niebezpiecznych, przewrotnych doktryn, marzysz o politycznych reformach, i chybiając celu siebie i drugich prowadzisz do zguby.

— Dotąd chronił mię Pan Bóg od podobnych marzeń. Prawoznawstwo przedmiotem jest mych studyów, a sztuki nadobne mojem wytchnieniem. Widzę że tu spotkał skrytych nieprzyjaciół, chociaż nikomu nicem nie zrobił złego.

— Jeżeliś istotnie niewinny, nikt ci zaszkodzić nie potrafi, bo stoisz pod tarczą sprawiedliwości rządu Ojca Świętego. Nim się zaś rzecz cała wyświekli, pozostać musisz pod aresztem, w swoim mieszkaniu, co, spodziewam się, nie wyda się jemu jako znającemu prawo, zbyteczną z mej strony surowością.

— Zaiste J. O. panie, uznawam w tem dobroć i łaskawość W. Eminencyi i czuję się wdzięcznym, odrzekł kłaniając się Lucyan, a kardynał grzecznie go pożegnał.

W kilka dni potem rozpoczęło się urzędowe sledz-

two. W zabranych papierach i książkach nic się podejrzanego nie znalazło, oprócz owej broszury, którą gdy ukazano Lucyanowi, odpowiedział że ją widzi po raz pierwszy i że od nikogo w Rzymie książek nie pożyczał. Stefan zeznał, że mu tę broszurę dał pan M***, dniem przed rewizją, że nie miał jeszcze czasu jej czytać i nie domyślał się co mogła w sobie zawierać; dodając, że towarzyszy jego nic o niej nie wiedział, ani też o innych od pana M*** pożyczonych książkach. Podobnie, i na inne mnogie zapytania Inkwizytora, badani odpowiadali zgodnie, bez wahania się lub płątania rzeczy. Zawsze jednak znaleziona u nich zakazana książka, stanowiła winę, przewidzianą kryminalnym kodexem.

Pana M*** i jego spółników nie było już w Rzymie: uwiadomieni przez swoich szpiegów o rewizyi zaszedł w mieszkaniu młodych dwóch Polaków, i przewidując dalsze tego skutki, wymieśli się w czas cichaczem z miasta i przepadli jak w wodę. Lecz ze śledzenia o ich tam pobycie wykryło się, że nie tylko się znali z panią Althof, lecz że się z nią nader często, bądź u niej, bądź na innych miejscach, widywali. Uległa więc i ona tym nieprzyjemnym kolejom, na które przez zemstę wystawiła Lucyana,

a lubo umiała wykręcać się zręcznie, nie wyszła jednak całkiem na sucho, bo ją uznano za polityczną intrygantkę i rozkazano, aby, jako *sospetta*, opuściła Rzym i państwo papieżkie niezwłocznie.

Tenże sam los spotkał i Lucyana. Chociaż bowiem kardynał sekretarz Stanu silnie go protegował, tyle tylko mógł dlań zrobić, że kategorja jego przeszła do trybunału *Signatura di grazia*. Uniknął więc kryminalnej procedury, lecz mu kaza-no wyjechać z Rzymu; Stefana zaś sprawa gorszy-wzięła obrót, bo ją oddano pod zawyrokowanie trybunału kryminalnego (*Sagra Consulta*), samego zaś zamknięto w zamku S. Anioła.

Stroskany Lucyan przedsięwziął udać się do Neapolu i oczekiwać tam końca procesu towarzysza. Przed wyjazdem złożył swoje pożegnanie kardynałowi, i błagał go o protekcyą dla Stefana. Starzec okazał się tą razą bardzo łaskawym, ubolewał nad tym wypadkiem, tłumacząc że w obecnych okolicznościach, gdy tajne polityczne towarzystwa z coraz większą występują zuchwałością, rząd Jego Świątobliwości zmuszony jest do najenergiczniejszego przeciw-działania. Obiecał wszelako użyć swojego wpływu, ażeby po zapadłym wyroku wyjednać u Ojca Świętego dla młodgo przestępcy ułaskawie-

nie. Poczem dał mu kartę upoważniającą do wzięcia wojskowej eskorty od granicy do miasteczka neapolitańskiego Fondi, a to iż w tamtej okolicy zaczęli się ukazywać bandyci. Udzielił mu nakoniec swojego błogosławieństwa, i na domiar łaski dozwolił odwiedzić towarzysza w więzieniu.

Ze lżejszém cokolwiek sercem udał się Lucyan do zamku S. Anioła. Znalazł Stefana ulokowanego nie tak źle jak się obawiał. Czysty i światły był jego pokoi; komendant okazywał mu wszelką ludzkość, nawet grzeczność, bo poznawszy w nim dobrze wychowanego młodzieńca przedstawił go swojej rodzinie, i wszystkich mu godziwych w jego położeniu rozrywek dozwolił. Rozstanie się dwóch przyjaciół było rzewne, lecz się pocieszali wzajem dobrą nadzieją.

Tegoż dnia ruszył Lucyan wetturynem ku granicy neapolitańskiej, a że i po drodze słyszał o bandytach, wziął więc na pograniczu eskortę. Był już tylko o dwie włoskie mile od miasteczka Fondi, gdy mrok wieczorny padać zaczął; kazał tedy jechać śpieszniej, ale droga była piaszczysta, a strudzone koniska zaledwie ciągnęły podróżne *calessino*. Wjechawszy do parowu obrosłego gęstemi krzewy, usłyszeli kilka wystrzałów w małej przed sobą od-

ległości.—, *Santissima madre di Dio!* (wykrzyknął *vetturino*) *Ojme! siamo perduti! Banditi! banditi! Signore bisogna tornare*” — i chciał zawracać, lecz mu tego Lucyan nie dopuścić, i wnosząc że to jacyś podróżni musieli być napadnięci, sam wskoczywszy na kozieł, pędził jak mógł ku temu miejscu. Jakoż wnet ujrzeli powóz zatrzymany, kilka osób leżących plackiem na ziemi, a kupę bandytów rabujących podróżną karetę. Lucyan, uzbrojony pistoletami i pałaszem, zeskoczył na ziemię, i wsparty przez dwóch swoich żandarmów uderzył na rabusiów tak walecznie, że nim się łotry obejrzeliby już dwóch z nich gryzło piasek. Pozostali nie śmieli dotrzymać placu, i wystrzeliwszy po raz uciekli w chru-
sty, unosząc co który mógł zabrać z sobą. Zmrok i gęste krzaki nie dozwoliły żandarmom ścigać uchodzących. Po skończonej dopiero utarczce, Lucyan uczuł ból w ramieniu lewem i spostrzegł że dostał postrzał; rozkazał więc naprędce chustką obwiązać ranę, a tymczasem leżący na ziemi podróżni zaczęli się ruszać i powstawać. Było ich osób cztery, dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Najpierwszy zerwał się na nogi woźnica, przeklinając bandytów co tylko mógł, i z rozpaczą przeglądając wypróżnione swoje kieszenie. Wstali potem drudzy na wpół martwi

z przestrichu; jedna tylko kobieta pozostała leżąca bez ruchu. Z odzieży jej poznał Lucyan że była wyższego stanu i zapewne panią ekwipażu; przykląkwszy więc na jedno kolano, podniósł zlekka jej głowę, i ujrzał — kogoż? Baronowę Althof! Smiertelna bladość okrywała jej lica, oczy miała zamknięte, słowem, wydawała się martwą. Pokojowa jej Balbina, szamotała się jak w malignie trzęsąc się jeszcze od strachu, a groom stał osłupiały, trzymając się za głowę, która widać była się spotkała z kolbą rozbojniczego muszkietu. Musiał tedy Lucyan, niezważając na bolące swe ramię, zająć się trzeźwieniem baronowej, i miał z nią dużo pracy, zanim zaczęła dawać znaki życia. Bezprzytomną jeszcze zanieiono do karety, wszystko wkrótce przyszło do porządku, oba pojazdy ruszyły w drogę, i bez dalszych przygod stanęły w miasteczku Fondi.

Chłód nocy orzeźwił panią Althof, i gdy jej kareta zatrzymała się w dziedzińcu austerji, mogła już wysiąść o własnej sile; inaczéj zaś rzecz się miała z biednym naszym rycerzem. Strata krwi, i trud jaki sobie później zadał około trzeźwienia baronowej, nareszcie ruch powozu i moralne wzruszenie, osłabiły go bardzo, a gdy ze źle opatrzonej rany znowu się krew rzuciła, stracił ostatek

sił, i w stanie zupełnej omdlałości wniesiono go do téjże austerji.

Przywrócony wreszcie do zmysłów, nie wiedział zrazu gdzie był i co się z nim działo. Ujrzał się w łóżku otoczony kilku osobami: dama, której twarzy nie dostrzegał, klęczała u jego wężgłowia; nieznamy mężczyzna trzymał go za rękę, macając puls, i powtarzając z zadowoleniem, że wszystko będzie dobrze, że kula szczęśliwie nie drasnęła kości, a tylko zbyt obfity krwotok stał się przyczyną tych mdłości. Podał mu potem łyżkę lekarstwa, nakazał spokojność i odszedł. Wnet i owa dama cichutko, niepostrzeżona wyniosła się innemi drzwiami.

Dopieroż Lucyan, przychodząc powoli do zupełnej przytomności, zebrał w pamięci szczegóły całej swéj przygody. Znowu tedy fatalność jakaś kazała mu się spotkać z tą kobietą, od której chciałby być jak najdalej. Bolało to go więcej niżeli zranione ramię, a przecie niepodobno było zostawić ją w tém położeniu bez rady i pomocy; wiedział bowiem że baronowa zrabowana była prawie do szczętu, ocalała jedynie *wasza* z sukniami i bielizną; co tylko zaś miała pieniędzy i kosztowności wszystko to stało się łupem bandytów.

Dręczony smutnemi myślami, nie mógł chory po-

krzepić się snem spokojnym, a ztąd chociaż rana nie była niebezpieczna, stan jego się pogorszył, tak iż nie prędzej jak trzeciego dnia dozwolił mu doktor wyjść z łóżka. Dowiedział się wtedy, że i pani Althof złożona była chorobą. Gwałtowny przestrah i kontuzye zadane jej od zbójców, a później smutek i trwoga o życie swego wybawcy, wprawiły ją w gorączkę nerwową dość niebezpieczną. Nowy ztąd dla Lucyana kłopot, silniejszy jeszcze powód do nieopuszczania jej w tém położeniu; z całą tedy troskliwością zajmował się on chorą, a ponieważ koniecznie widzieć go chciała, nie opierał się temu, nawiedzał, pocieszał i wszelką ofiarował jej pomoc, prosząc, żeby była spokojną i myślała jedynie o zachowaniu swojego zdrowia.

Ta względem niej wspaniałość i delikatność ze strony człowieka któremu tyle zrobiła a więcej jeszcze chciała była zrobić złego, stała się dla niej nader ciężką karą; wyrzuty sumienia i upokorzona duma szarpały na przemian jej serce. Płakała krwawemi łzami, lecz się z tém ukrywała, ztorzezcząc losowi w cichości. Dobry Lucyan brał to wszystko za oznaki szczerego żalu i chęci poprawy, i tém chętniej poświęcał jej swoje usługi. O siebie wcale już się teraz nie lękał: zbadał bowiem swe

sumienie i znalazł że mu nic nie wyrzucało. Baronowa nie była już dlań ani ową pełną wdzięku i wyższości kobietą co go przed tem ujęła w swe pęta, ani tą niecną prześladownicą z której łaski tyle niedawno ucierpiał w Rzymie; widział w niej jedynie istotę cierpiącą i tem nieszczęśliwszą że się czuła występna, widział rodaczkę i sąsiadkę potrzebującą jego pomocy; dla tych więc pobudek, zapominając całej przeszłości, zajął się obecnym jej losem, i, dzięki jego troskliwości, chora wyszła z niebezpieczeństwa, a stopniami odzyskując siły, mogła być przewieziona do Gaëty, gdzie znalazła dobrego lekarza, zdrowsze powietrze i lepsze wygody. Lucyan wszystko to opatrzył, wszystkie koszta ze swjej opędził kieszeni. Baronowa, osłabiona na ciele, upadła nie mniej na duchu, nie wiedziała prawie co się z nią działo; przyjmowała bez oporu wszelką pomoc od swego dobroczyńcy, ten albowiem z łagodnością lecz i z mocą panował nad nią nieograniczenie, niedozwalając jej wchodzić w żadne tłumaczenia.

Powrót do zdrowia pani Althof bardzo był powolny; lekarz się nawet obawiał żeby nie wpadła w suchoty. Widząc to Lucyan przypomniał sobie życie tej kobiety, i żal mu się zrobiło biednej jej

duszy. Szukał więc sposobów jakby jej w tém dopomódz, jakby hardy ten umysł i to zepsute serce skłonić do prawdziwej pokuty, do opłakiwania w pokorze grzechów długiego dość życia; a że się już był poznał z jednym z Gaetańskich prałatów, światłym i miłym starcem, wprowadził go więc w tym celu do baronowej. Przyjęty z uprzejmnością, znalazł prałat w téj damie grzeczną, cierpliwą słuchaczkę: nie dysputowała z nim wcale, lecz umiała zręcznie zwracać potok jego wymowy na przedmioty mniejszej wagi, a dostrzegłszy że Monsignore lubił i uprawiał literaturę, wprowadzała go często w pokusę rozprawiania o swoich literackich pracach. Tym sposobem duchowne te konferencye przynosiły więcćj przyjemności dla prałata jak pożytku dla penitentki, chociaż ten w dobrej wierze mniemał że ją nawraca i kruszy.

Może tu w miejscu będzie przytoczyć, że Lucyan w częstém listowaniu ze swą narzeczoną, starał się same-li tylko dobre o sobie przesyłać wiadomości, a zajmującemi opisami miast i krajów które zwiedzał, osładzać jej gorycz długiego rozdziału. Tak więc donosząc o wyjeździe swym z Rzymu, nie wspomniał nic o przykrościach co go tam spotkały; z Gaë-

ty zaś posłał relacją przygody z bandytami, wspominał o uratowaniu baronowej, zamilczając o tem że sam odniósł ranę. Do tego listu załączony był biletik tej pani do swojego komissarza, z rozkazem aby się starał co najprędzej przysłać jej pieniędzy. Z przestraczem i razem z radością czytali mieszkańcy Julina szczegóły bitwy i zwycięstwa Lucyana, ślubując Bogu dziękczynne modły za opiekę nad ich ukochanym. Biednej Tekli nie wychodzili z myśli bandyci, lubo rotmistrz zapewniał, że człek waleczny łątwą z niemi ma sprawę. Julja więcej niż włoskich bandytów bała się dla Lucyana towarzystwa chytrzej baronowej, napisała więc doń z ostrzeżeniem żeby tej kobiecie nie ufał, i starał się co najprędzej od niej oddalić. Macierzyńska ta troskliwość była na ten raz wprawdzie niepotrzebną, sam bowiem Lucyan byłby, jak widzieliśmy, dawno już to zrobił, gdyby szlachetne pobudki jeszcze go nie zatrzymywały. Z jednej strony stan zdrowia pani Althof, z drugiej niepewność o losie Stefana przedłużały pobyt jego w Gaëcie. Lada dzień spodziewał się dowiedzieć o zapadłym wyroku i z niepokojem oczekiwał każdej z Rzymu poczty. Jakaż więc była jego radość, gdy jednego ranka przebudzony nagłym szelestem w przedpokoju, ujrzał wpadające-

go i rzucającego się mu na szyję wiernego swojego druha.

Po niezliczonych uściskach, Stefan usiadłszy na krawędzi łóżka, opowiedział o szczęśliwym ewencie swej sprawy.

„Gdym stanął, mówił, przed groźnym trybunałem, wzięto się naprzód do odczytania aktu oskarżenia, w którym mię opisano jak węża, a potem po zwykłych preliminarnych zapytaniach, ukazano mi *corpus delicti*, ową, wiesz, przekłętą broszurę którą niestety poznałem z tytułu i okładki. Przepadłem, myślę sobie, bo jakże pedantów tych przekonać zem jej nie czytał? aż tu mój obrońca, niech mu Bóg nagrodzi, wziął do ręki książeczkę, i wprzód nim głos zabrał przerzucił machinalnie jej karty—zgadnijże co tam znalazł?—oto że wszystkie karty były nierozcięte! Uradowany z odkrycia, nie miał już wielkiej pracy przekonać sędziów zem do tej broszury nie zaglądał wcale, że tedy wszystkie moje twierdzenia tchnęły szczerością i t. d., z czego naturalnie konkludował że oskarżenie samo przez się upadało. Dowód mej niewinności był tak jasny, może się też zresztą i protekcyja kardynała do tego przyłożyła, dość że prokurator jeneralny odstąpił swęj skargi, poczem trybunał wyrzekł że nie było

sprawy, i w tejże chwili odzyskałem wolność. Co za szczęście że mój *maledetto amico carbonaro* dał mi exemplarz swój broszury jeszcze nietknięty, i że mi zabrakło czasu do zobaczenia co się w niej święci! Dalejże ja w nogi — *adio, famosa Roma! addio la mia vezzosa donzellina!* bom się, nie tracąc czasu, był już zakochał w jednej z córek komendanta zamku S. Anioła; żal mi trochę niebożątka, ale z włochami i włoszkami już kwita. Chwała Bogu żem już z tobą, a jeszcze nam obu będzie lepiej gdy się wyniesiemy z tego kraju pomarańcz, karbonarów i bandytów — *A propos*, dowiedziałem się po drodze żeś miał awanturę *du plus grand genre*: okryłeś się chwałą, uratowałeś damę z rąk zbójców. Szczerze ci tego zazdrozczę. Mów! młoda? piękna? Tobie zaręczonemu nic po tem, ach, czemużem ja nie był w twój skórze!

—Hamuj twój zapał Stefusiu,— odrzekł Lucyan, chcesz wiedzieć kogom uratował? Oto naszą damę z Kapitolu.

—Bodajbyż cię! Czemużes lepiej nie zostawił tej dobrodziki bandytom? Z jéjże to łaski ucierpieliśmy oba. Ów długonosy *cavaliere serviente*,

a raczej *patito*, trafił takż do więzienia, i tam wszystko przede mną wyśpiewał — — —

—Z Panem Bogiem; dość o tem, a ty nie złorzecz tej niewieście, bo już ona nikomu szkodzić więcej nie będzie.

—Umarła więc? *Requiescat!*

—Żyje, ale blizka suchot, a do tego w całej jej istocie tak wielką ujrzysz zmianę, że się gniew twój, sądzę, do razu rozbroi.

—Pozwól raczej że do razu temu nie uwierzę. Znam twą pobłażliwość, i pomnę jakieś się na mnie gniewał kiedyś ci, temu dwa lata, opowiadał esklandrę tej pani w Warszawie.

—Zgadzam się że podówczas mogłem być w błędzie; ale co dziś sam osądzisz czy się myłę. Nieszczęście i choroba, mój drogi, bywają najskuteczniejszymi do poprawy wad naszych środkami.

Stefan dalej się nie spierał, a gdy zaczął widywać baronowę, i bliżej ją poznał, sam się przejął ku niej litością, i wszystko jej w poczciwem swém sercu przebaczył.

Wpływ cudowny włoskiego nieba, przyniósł ulgę cierpiącej; kaszel się złagodził, gorączka pofolgowała, a że i pora roku była po temu, więc po-

stanowiono gwoli życzeniu pani Althof, udać się morzem do Neapolu. Żegluga odbyła się pomyślnie; podróżujące trio nie mogło się nacieszyć do syta jedyną w świecie panoramą cudnej tej stolicy.

Nazajutrz po swém przybyciu, obrali sobie na mieszkanie jedną z poblizszych rokosznych willi, z kąd młodzi dwaj przyjaciele kolejno robili wycieczki do miasta i po okolicach, zwiedzili krater Wezuwiusza i co piękniejsze wyspy, lecz prawie zawsze zostawał z nich jeden przy baronowej, która w około tylko mieszkania krótkich mogła używać przechadzek.

Ta kobieta obok wad, jakieśmy w niej widzieli, posiadała w wysokim stopniu talent pociągania ku sobie kogo tylko chciała. W obecnej więc chwili, gdy złamana jej duma przeszła w łagodną powagę, a fantastyczny humor zamienił się w cierpliwość i słodycz, stała się bardziej jeszcze zajmującą, a bladosc lic i złagodzony blask żrenic, w doskonałej były harmonji z melancholiczną i pełną zarazem wdzięku cudną jej postawą. W każdym jej ruchu, spójrzeniu, uśmiechu, równie jak i w każdym słowie, malowała się owa gracya o której mówi Lafontaine:

„Et la grace plus belle encore que la beauté.”

Tą gracyą i słodkim dowcipem ujęty Stefan, przywiązał się szczerze do czarodziejki. Lucyan zaś miał się z nią ostrożnie, nie mogąc tego nie widzieć, że biedna walczyła już teraz na dobre ze swem sercem, coraz silniejszą ku niemu przejmującą się tkliwością. Nauczony doświadczeniem, wolał jej i siebie na dalsze nie wystawiać próby, a co prędzej się z nią rozdzielić. Zostawiał Stefana, który ochoczo się podjął czuwać nad jej zdrowiem i towarzyszyć jej później w powrocie do kraju. Baronowa, znając Lucyana, nie mogła nie przewidzieć że się tak stać musi, lecz już nie przemyślała jakby go zatrzymać, bądź że się jej to zdawało całkiem niepodobnem, bądź że ostatnie wypadki pozbawiły ją dawniej energji; tyle tylko zostawało w niej mocy ducha, ażeby miłość, wstyd i upokorzenie zamknąć w głębi serca, i wśród pożerczego ognia umrzeć nie wydając jęku. Gdy więc nadeszła chwila pożegnania, nic w niej nie zdradziło wewnętrznej srogiej boleści. Z uczuciem i godnością zapewniła go o swój nieskończoną wdzięczności, życzyła mu wszelkiego szczęścia, i podając rękę zakończyła temi słowy: „*Jamque vale, et sis memor mei*” (*), jakby dla wrażenia mu

(*) Żegnaj więc już, i pamiętaj o mnie.

w pamięć owych szczęśliwych godzin, które spędzali z sobą w Althofie.

Lucyan uczuł się głęboko wzruszonym, tego właśnie życzyła sobie baronowa najmocniej; przeczuwając bowiem że się z nim rozstawiała na zawsze, chciała w tej ostatniej uroczystej chwili ukazać mu się taką, aby jej obraz nie zatarł się w jego pamięci, a w sercu żal po niej został na zawsze. Nie tajemy też, że młody człowiek poniósł z sobą żal i pamięć żywą, i że dość długiego trzeba było czasu i najsilniejszej woli, aby zwalczył niepojęty urok który nań ona rzuciła; któż wie nawet czyby tego dokazał, gdyby nie rychły powrót do Julina. Tam dopiero, gdy ujrzał anielską istotę, wybraną swojego serca, witającą go z radośnemi łzami, z zapałem kochanki i razem z lubą wstydlivością dziewicy, gdy na pobladłych jej licach czytał wycierpianą przez blisko trzy lata tęsknotę, o, wtenczas już wszystko co nie było Teklą, przestało go zajmować, wszystko co go daleko od niej spotkało, wydało się mu teraz jakby sennem marzeniem, a jeżeli obraz baronowej tkwił mu jeszcze w głowie, serce już nie brało żadnego w tem udziału.

Od tej chwili rozpoczęło się dla niego pasmo dni pogodnych, zaranie onej szczęśliwości co go czekała w małżeństwie, Nie znalazł on w swej Tekli żadnej prawie z błyszczących zalet światowej kobiety, lecz natomiast co dnia w niej odkrywał nowe piękności duszy, coraz pewniejsze rękojmie szczęśliwego z nią pożycia. W Julji znalazł toż zawsze poczciwe, kochające serce, obok swobodnej już od wszelkiego marzenia głowy. Zwała go znowu Lucyankiem, nie szczędziła dlań żadnej z prawych macierzyńskich pieśszczot, i z wesołą skwapliwością zajmowała się przygotowaniami do uroczystego aktu ślubowin swych dzieci. W powierzchowności jej nic się nie zmieniło. Była jeszcze na swój wiek piękną, taką zupełnie jakąśmy ją na początku tej powieści ukazali. Ta czerstwość ciała, skutkiem była zdrowia duszy; od chwili bowiem jak się spostrzegła w błędzie, a na ranę swego serca w religji i rozumie znalazła lekarstwo, z każdym dniem stawała się spokojniejszą, weselszą i zarazem zdrowszą. W przechodzie przez tę bolesną próbę, serce jej nie utraciło nic ze swej tkliwości, rzecz owszem można, że się stało więcej jeszcze kochającym; lecz miasto ześrodkowania swych uczuć w jednej górującej namiętności, mia-

sto kochania jednego człowieka, rozlewało swą miłość na wszystkich, i w uszczęśliwianiu drugich własne swe znachodziło szczęście. Taki jest skutek zwycięstwa odniesionego w walce z najuporczywszą może ze wszystkich namiętności.

Wszystko tedy w Julinie oddychało miłością i pokojem, a gdy nadszedł dzień weselnych godów, dopieroż to tam zawrzało jak w kotle. Muzyka, tańce, zjazd liczny, obfitość wszystkiego w przyzwoitej mierze. Było i płaczu przy świętym obrzędzie, ale któż kiedy poczytał sobie za biedę zalać się takimi łzami. Po kilku dniach miłej wrzawy, wesołego przewrócenia dziennego porządku, nielitościwego opustoszenia spiżarni, piwnic i apteczki, kiedy się nareszcie rozjechali hojnie uraczeni goście, nastąpiła pożądana, osobliwie dla nowych małżonków cisza, i na horyzont Julina weszła, im odtąd stale przyświecać mająca gwiazda szczęścia domowego.

Dnia jednego, gdy przy wieczornej herbacie domowe gronko otaczało stolik, a Lucyan opowiadał o swoich podróżach, wypadło mu jakoś zrzeczy wspomnieć Stefana, aż w tejże chwili drzwi

się rozwarły, i tenże Stefan, jak ów *Lupus in fabula* (*), stanął przed nim z duszą i ciałem.

Po zwyczajnych, w takim przypadku, wykrzyknikach i uściskach między dwoma przyjaciółmi, po przedstawieniu Stefana damom i t. d. zapytał go Lucyan, czemu od tak dawna nie pisywał do niego?

—Smutnej byłyby treści listy moje — odrzekł posępnie — a takich pisać nie lubię.

—Pani Althof więc — — —

—Nie żyje — dokończył Stefan.

—Nie żyje! — powtórzyły w jeden głos Julia i Tekla składając ręce.

Lucyan spuścił głowę, i nastąpiło milczenie, które przerwał Stefan mówiąc:

—We dwa miesiące po twym odjeździe umar-

(*) Nie każdemu zapewne wiadome jest znaczenie łacińskiego przysłowia *Lupus in fabula*, albo *in sermone*, a po polsku: „o wilku mowa a wilk tu.” Otoż starożytni naturaliści, a między innemi Pliniusz (L. VIII. c. 22) twierdzili, że gdy wilk ujrzy człowieka piérwój niżeli sam odeń był spostrzeżony, wtedy ten człek utracą natychmiast mowę. I tak czytamy w IX. sielance Wirgiliusza!

„Vox quoque Moerim

Jam fugit ipsa: lupi Maerim videre priores.”

Z tego więc oczewiście zrodziło się powyższe przysłowie używane w razie, gdy ten o kim była mowa wpadł niespodzianie i obecnością swoją sprawił chwilowe milczenie.

ła z galopujących suchot. Usiłowania najbieglejszych lekarzy okazały się bezskutecznymi, ale umarła z wielką stałością umysłu, i opatrzona sakramentami.

— Bogu niech za to będą dzięki— zawołała Julja.

Tekla nie miała odwagi spojrzeć na męża, wiedziała bowiem o stosunkach jego z nieboszczką, a ztąd pojęła co się w tej chwili działo w jego duszy i nie wzięła mu tego za złe. Julja zaś na widok Lucyana, rzekła w duchu: —On nie wie po kim płacze, i nie trzeba żeby się dowiedział. Śmierć zgładziła wszystko między nią i nami. Oby grzesznica znalazła przebaczenie u Boga!

Dopiero nazajutrz rano opowiedział Stefan przyjacielowi szczegóły choroby i śmierci baronowej, które tu umieszczamy dla ukazania, jakie były ostatnie jej myśli i uczucia.

Odjazd Lucyana śmiertelnym dla chorej był ciosem. Mężtwo, na jakie się w chwili pożegnania zdobyć potrafiła, wyczerpało sił jej ostatek; a straszliwa pewność że go już nigdy nie ujrzy, że wkrótce całego jego serca żona stanie się panią, nie zostawiała jej żadnej pociechy, najmniejszej nadziei. Rzekła więc sobie z bolesną rezygnacją: —„Nic mi więc nie pozostało prócz widoku blizkiego

końca mych cierpień. Nie było kiedyś dla mnie nic straszliwszego nad ideę śmierci, dziś innem na nią patrzę okiem, bo mię już nic do tego świata nie przywiązuje. Gwiazda moja zaszła — rachunek mój ze światem zamknięty. Nie obwiniam nikogo prócz siebie. Szczęście sprzyjało mi stale, sprzyjało póty, póki serce moje baczenie trzymałam pod strażą. Wpuściłam doń nieprzyjaciela — i stałam się najnędzniejszą z kobiet. Kochać bez wzajemności, doznać od kochanka zdrady, znosne to są jeszcze męki, ale zostać za jednym razem przedmiotem wzgardy i litości człowieka, który przed chwilą mię ubóstwiał — i nie módz ani wziąć zeń pomsty, ani naprawić swęj straty, ani naresztę wygnać go z serca — i na dobitkę jeszcze czuć się w proch zdeptaną okrutną jego litością, nienawistną mi jego cnotą! — o, niech mi kto ukaże w samem piekle coś okropniejszego! — — Trzeba więc umrzeć, ale tak umrzeć aby śmierć mi była wyzwoleniem i rehabilitacją: abym się zbyła upokarzającej litości tego człowieka, a wzięła ze sobą do grobu choć cząstkę jego serca.”

Takimi się nieszczęśliwa karmiła ciągle myślami, wpadając czasem w uniesienia rozpaczy, co też w części mogło być skutkiem trawiącej ją

gorączki. Strzegła się atoli wyjawic przed Stefanem najmniejszą oznakę słabości umysłu, tak iż musiał podziwiać nadzwyczajną moc jej ducha; ile zaś razy to udawanie przechodziło jej siły, umiała go od siebie oddalać, aby w samotności oddawać się rozpaczy. Śmierć tymczasem szybkimi ku niej postępowała krokami, a gdy lekarze nie już poradzić nie umieli, chora pożegnała ich, by już się zająć przygotowaniem do ostatniej chwili i spisaniem ostatniej swęj woli. Spowiadała się i przystępowała do św. kominunji, lecz z jakim to wykonała usposobieniem, Bogu tylko wiadomo; ludzie zaś widzieli w niej aż do końca wielką przytomność i stałość umysłu. Przed samym zgonem opuściły ją bole, kazała się więc wynieść w krzesło na terasę i obrócić twarzą ku rodzinnej stronie. — „Czemuz nie jestem tam — rzekła do Stefana — śmierć byłaby mi lżejszą — lecz stało się, nie szemrę — wkrótce duch mój znać już nie będzie czasu ani przestrzeni — nie żal mi więc życia co go w tak ciasnych więziło granicach — was dwóch tylko żałuję — jego i ciebie pocziwy Stefanie — was dwóchbym tam kiedyś spotkać chciała — więcej nikogo — nikogo!” — Te były ostatnie konającej słowa.

Z opowiadania Stefana wniosł Lucyan z boleścią, że ostatnie uczucia baronowej nie były nacechowane chrześcijańską pokorą i skruchą; widział owszem w tym jej stoicyzmie, w tej mniemanej mocy ducha, nieszczęśliwą zatwardziałość serca i niedostatek żywej wiary, i rzekł ze smutkiem:— Napróżno więc spodziewałem się tej pociechy, że śmierć bogobojna pojedna ją z Bogiem! — Zdumiał się potem nie pomału, gdy mu Stefan oddał pakiet i srebrną zalutowaną puszkę: w pierwszym zawierał się baronowej testament, a w drugiej jej serce. Testament formalnie sprawiony, czynił Lucyana Bogackiego jedynym spadkobiercą wszystkiego, co po zaspokojeniu wierzycieli i opłaceniu sług, pozostać mogło majątku testatorki, z tym jednym warunkiem, a raczej prośbą, ażeby coś z tego spadku obrócił na jaki dobry uczynek. Był oraz mały legacik dla szambelana Igrzyckiego, a Stefanowi W* zapisywała własny swój olejno malowany portret znakomitego penzla, znajdujący się w Althofskim zamku. Serce zaś swoje chciała mieć złożone w tamecznym parku, w pomniku już tam będącym, na którym prosiła, aby położono taki napis: *Tutaj me serce grób sobie wykopało.*

Nikt prócz Lucyana nie odgadł prawdziwego

słów tych znaczenia; Tekla może się i domyślała czegoś, ale nadto miała delikatności, aby się z tem odezwać przed mężem. Dla czytelnika komentarz byłby niepotrzebny.

Ledwieby nie można było testamentu tego nazwać ostatnią i największą ze strony baronowej zemstą, tak się biedny Lucyan tą jej łaską obraził, taki wstręt czuł w sobie do przyjęcia od tej kobiety podobnego daru. Testatorka nie zostawiała wprawdzie blizkich krewnych, lecz mógł się znaleźć daleki jaki powinowaty, coby się sądził wydziedziczonym. Mniej go atoli frasowały sądy publiczności w tym razie, więcej powodów znalazł we własnem swém uczuciu do odrzucenia tej sukcesyi. — Wiedziała przecie, mówił, że mam dosyć, sądziła więc że jestem interesowany, albo też nie chcąc zostać mi nic winną, wołała dług wdzięczności, dług serca, zapłacić pieniędzmi. Omyliła się — uczuć moich nie sprzedaję; a z tych co miałem dla niej, jedno tylko zachowam — politowanie.”

Gdy się z tem odkrył przed żoną, ojcem i ciotką, rotmistrz po swojemu, biorąc rzecz *grunto-wnie*, zbijał szkrupuły syna argumentami, któreby wielu bardzo innych zupełnie przekonały; ale wiadomo nam że Lucyan należał do małej bar-

dzo liczby ludzi, mianowicie do pewnego rodzaju dziwaków. Próżne tedy były w tym razie ojcowskie upomnienia, cytacye i argumentacye, syn z respektem pozostał przy swém postanowieniu.

Śród tej dyskusyi tak się do męża odezwała Tekla:

— Zdaje mi się, serce, że podług testamentu masz obowiązek obrócić część majątku zmarłej na dobry uczynek? Obróćże na ten cel wszystko co weźmiesz, a dogodzisz razem jej i sobie.

— Tak też zrobię, aniele! — zawołał całując żonę, — oddam wszystko na zakłady dobroczynności.

— A mnie czy pozwolisz Lucyanku wścibić swoje trzy grosze? zapytała Julja.

— Mów droga matko, ale błagam, nie każ mi tknąć się fatalnej tej sukcesyi.

— Do tego namawiać cię nie będę, chociażbyś to mógł zrobić z kąd inąd bez grzechu — dodała zacna panna przez delikatną uwagę na zdanie rotmistrza. Alem sobie przypomniała, że nieboszczka baronowa wzięła po ciotce dobra z krzywdą prawego sukcesora, pewnego pana Żeromli, i że ten, dla świętego pokoju wszedłszy z nią w ugodę, wyrzekł się, mówiono, większej części należącego mu się spadku. Człęk to, słyszałam, zacny, ojciec licznej rodziny, niegdyś dostatni, a

dziś, skutkiem klęsk co nań gęsto spadły, w trudnem być ma położeniu. Jeżeli tedy niecofnione jest twe postanowienie zrzec się zapisu nieboszczki, możesz naprawić jej grzech względem ukrzywdzonego, przelewając na niego prawa i obowiązki tobie podług tego zapisu służące.

Z radością przyjął Lucyan tę radę, i chwili nie zwlekał z jej wykonaniem. Pojechał do pana Żeromli i znalazł wszystko tak jak mu powiedziała Julja. Zastał pocziwą rodzinę obarczoną troskami i smutkiem, a zostawił ją w uniesieniach radości, upojoną szczęściem. Doznał wtedy téj największej dla serca czułego roskoszy, stać się w obec nieszczęśliwych zastępcą Boskiej Opatrzności. On, który dotąd odbierał dobrodziejstwa, mógł dzisiaj sam być dobroczyńcą. Przyznajcie więc mili czytelnicy, że miał rację, za powrotem do domu, rzucając się w objęcia Julji i Tekli, wykrzyknąć:—Matko! zono! ukażcie mi szczęśliwszego nademnie człowieka?

—Anibys ty nam ukazać potrafił szczęśliwszych od nas dwóch kobiet — odrzekła mu Julja, i łzy słodkie trojga cnotliwych istot zmieszały się z sobą.

Rotmistrz obecny tej scenie uczuł że mu serce rośło, i nie pojmował czemu się cieszył z tego czego rozumnie pochwalić nie mógł. Ukrył jednak

w sobie to wzruszenie, a gdy syn go przeproszał za nieusłuchanie jego rady, rzekł kiwając głową:

—No, no, bądź o mnie spokojny: wszak ci już mówiłem, że co kuzynka znajduje dobrem, to i mnie takim się wydaje, choćby przeciwko temu mój rozum nie wiem jak się upierał. W jej sercu więcej jest mądrości, aniżeli w obu naszych głowach.

Aczkolwiek successya po baronowej znalazła się obarczoną niemałemi długami, atoli, po zrobionej likwidacyi, państwo Żeromlowie zdołali utrzymać się przy Althofie, dokąd się też i przenieśli na stałe mieszkanie. Miłem się stało to sąsiedztwo Julinowi, i dwie te rodziny weszły z sobą w najściślejsze stosunki przyjaźni. Lucyan, za każdą swoją bytnością w Althofie, nawiedzał grób serca baronowej: były to w życiu jego jedyne chwile pośpępnego dumania, a kiedy raz mu żona radziła zaniechać odnawiania smutnych wspomnień, odpowiedział: —„Przy tobie, mój aniele, czuję tylko żem szczęśliwy, ten zaś grobowiec przypomina mi że mogłem, z własnej mej winy, stać się na cały wiek mój nieszczęśliwym.”

K O N I E C.



<http://rcin.org.pl>

INSTYTUT

DANIELSKA WIOSNA

Biblioteka

ul. Nowe Światy 72

00-70 Warszawa

25-22 22 25 22

F
415